

Georgette Heyer

*Wyrafinowana
gra*



Wstęp

Co jakiś czas mojemu mężowi, temu samemu od dwudziestu trzech lat, udaje się mnie zaskoczyć. Gdy pewnego wieczoru, nie tak dawno temu, wybieraliśmy się do restauracji na kolację, pojawił się w eleganckiej granatowej marynarce. Byłam zaskoczona. Mąż, amator dżinsów i koszulek polo, nie nosił marynarki, chyba że groziła mu śmierć głodowa z wyroku nadętego kierownika restauracji.

Zapytany, co to za okazja, błysnął zębami w uśmiechu i powiedział: „Lubisz, kiedy jestem elegancko ubrany, prawda?”

Prawdopodobnie właśnie dlatego Jay i ja po dwudziestu trzech latach wciąż jesteśmy małżeństwem. Jaka kobieta nie marzyłaby o mężczyźnie, który potrafi się zmienić - czasami nawet wbrew własnej woli i zdrowemu rozsądkowi - po to tylko, by ją zadowolić?

Literatura zaludniona jest Kopciuszkami i Sabrina-mi, które zmieniają się, by sprostać mężczyźnie swoich marzeń. Nieczęsto jednak trafia się bohater rodzaju mę-

skiego podejmujący podobne wyzwanie. Niezrównana Georgette Heyer (1902 - 1974) sięgnęła po ten temat w swojej powieści z epoki georgiańskiej. „Wyrafinowana gra” to rarytas, którego czytelnicy nie powinni przeczyc.

Philip Jettan, zamiast włożyć wieczorową marynarkę, postanawia całkowicie się zmienić, zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie, odkrywając w trakcie tego procesu to, co naprawdę liczy się w życiu i w miłości. Oryginalny tytuł tej ponadczasowej powieści, brzmiał „Transformacja Philipa Jettana”.

Co ciekawe, była to jedyna książka Georgette Heyer, którą wydała ona pod pseudonimem literackim Stella Martin. Gdy ukazała się ta powieść, autorka liczyła zaledwie dwadzieścia jeden lat i nie miała jeszcze wykształcenia. Miała jedynie ogromny talent, niczym nieoszlifowany diament, żywą wyobraźnię oraz bystre oko i wyczucie historycznych detali. Chociaż swoją pierwszą powieść napisała, mając zaledwie siedemnaście lat, umiejętnością wglądu w ludzkie zachowania oraz tajemnicze odruchy serca wykraczała daleko poza swój wiek.

Sama Georgette Heyer nadzwyczaj pilnie strzegła swojej prywatności. Nigdy nie udzielała wywiadów, potrafiła także nie wyrazić zgody na wznowienie niektórych wcześniejszych dzieł, uważała je bowiem za zbyt jawnie autobiograficzne. Natomiast w powieściach ochoczo zagłębiała do serc i umysłów każdej postaci - od troskliwego ojca i wuja Philipa w tej książce, po dworskich dandysów i wiejskich prostaczków.

Miałam zaledwie trzynaście lat, gdy moja matka, zapalona czytelniczka, wręczyła mi powieść Georgette Heyer. Pamiętam, że było to angielskie wydanie w taniej papierowej okładce, jedno z wielu w tamtych latach. Pamiętam także, że język wydał mi się nieco sztuczny, szybko jednak przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zawładnęła mną magia Heyer. Przeniosłam się w błyskotliwy świat eleganckiej socjety, zaludniony niezapomnianymi postaciami, wzbudzającymi respekt. Autorka niezwykle pieczołowicie odmalowała subtelne i ukryte dotąd szczegóły odległych czasów i miejsc - fascynujące maniery, konwencjonalne stroje, urocze niuanse zachowań, gustów oraz języka. Nie pamiętam już tytułu tej książki, ale od tamtej pory potrafię nieomylnie rozpoznać niepowtarzalny styl Heyer, ilekroć sięgam po jedną z jej powieści.

Także i teraz, czytając „Wyrafinowaną grę”, z miejsca rozpoznałam jej oryginalny talent literacki i poczułam się, jakbym po wielu latach usłyszała głos starego przyjaciela. Georgette Heyer ma swój wyjątkowy sposób posługiwania się frazą, własny dobór słów oraz nazwisk, które po zamknięciu książki jeszcze na długo pozostają w pamięci. Postacie noszące nazwiska Brenderby albo lady Malmerstoke robią wrażenie, prawda? Niewielu pisarzy może pozwolić sobie na użycie tylu oryginalnych słów jako synonimu czasownika „powiedzieć” lub na to, by przedstawić bohatera stąpającego drobnym kroczeniem w trzewikach na czerwonych obcasach, upudro-

wanego, z przyklejonymi muszkami. Heyer śmiało sięga po takie ornamenty, by ożywić swoją historię tak, jak to tylko ona potrafi.

„Wyrafinowana gra”, podobnie jak najlepsze powieści tego gatunku, koncentruje się na wzlotach i upadkach miłosnych relacji pomiędzy parą głównych bohaterów. Na bogato odmalowanym tle Heyer umieszcza postać Philipa, dobrodusznego młodego człowieka, który liczy sobie około dwudziestu trzech lat, jest wysoki i przystojny... Jego ojciec, mający reputację hulaki i eleganta, solidnie ugruntowaną w pierwszych rozdziałach powieści, jest rozczarowany synem - „nieokrzyszonym gołowąsem” i bezskutecznie próbuje namówić Philipa, by zechciał przeistoczyć się w wytwornego, eleganckiego dżentelmena.

Jest jednak coś, co nigdy się nie zmienia. Młody człowiek rzadko robi to, czego spodziewa się po nim jego rodzic. Philip, mający naturę wiejskiego chłopaka, woli niewyszukane sporty, prostą kuchnię i pracę na roli od pomady, jedwabnych płudrów i trzewików o czerwonych obcasach... ale tylko do momentu, w którym odkrywa, że jego sąsiadka, prześliczna Cleone Charteris, wróciła do domu jako rozkapryszona elegantka. Biedny Philip! Kochał od zawsze tę dziewczynę i jak typowy nieświadomy mężczyzna był przekonany, że padnie mu w objęcia, gdy tylko on wyjawi jej swoje intencje.

Niestety, ku źle skrywanemu przerażeniu Philipa, w ślad za Cleone pojawia się niebywale elegancki wielbiciel. Zaślepiiony zazdrością Philip wyzywa rywala na

pojedynek o łatwych do przewidzenia skutkach. Bohater Heyer przegrywa niejednym razem, zanim uda mu się wygrać, a jego droga do szczęśliwego zakończenia bywa bardzo wyboista. Jednak nawet pojmany i pokrwawiony, domaga się względów wybranki.

A jej reakcja? Nie zapominajcie, że to bohaterka Georgette Heyer. Dlatego ma zwyczaj mówić wprost, bez zastanowienia. Nigdy nie poślubi takiego nieokrzesanego wiejskiego prostaka jak Philip.

Wyzwanie jest jednoznaczne. Philip, choć niechętnie, musi przyznać, że jego ojciec miał od początku rację. Rzeczywiście, jest nieokrzesanym prostakiem. Wobec tego decyduje się podjąć kroki, które sprawią, że z tego prostaka zmieni się w obytego w świecie eleganta. I tu rozpoczyna się klasyczna wędrówka naszego bohatera, w trakcie której spotyka zarówno mentorów, jak i oszczerców; napotyka na różne przeszkody i musi rozstrzygać dylematy, by w końcu poznać prawdę o sobie.

To przecież jednak bohater Heyer. Dlatego nie omieszka przy tym dobrze się bawić.

I jak bardzo się zmienił! Kiedy wkracza w świat elity, widzimy go rozprawiającego z przekonaniem o brązowej bieliźnie, układającego koronki żabotu i gotowego sięgnąć po szpadę w obronie honoru. Jedyne bohater Heyer jest w stanie podjąć to najbardziej męskie z wyzwań, mając na sobie pończochy ze szlaczkiem z różowych kolibrów.

A niepoprawna Cleone? Dostrzega zmiany w Phi-

lipie i odkrywa, że prostaczek przestał już być wiejski. Wszystko ma jednak swoją cenę. Zwłaszcza w książkach takich jak ta.

Jak w typowej szekspirowskiej komedii, z jej wszystkimi meandrami i zwrotami, intryga rozwija się, obfitując w zdarzenia dramatyczne, wyzwania losu, słowne pojedynki, a także nieporozumienia, potwierdzające niesłychaną inwencję autorki. W pewnym momencie Cleone musi stawić czoło uroczemu dylematowi:

„Jestem zaręczona z dwoma dżentelmenami. Co mam począć?”

Gdybyśmy mieli tylko takie kłopoty!

Pośród tego zamętu jedynie Philip wie, czego jej naprawdę potrzeba.

- Podejrzewam, że dama ta chętnie skorzysta z krzesła - wtrącił się Philip. - Jamesie Brenderby, posadźcie waszą przyszłą żonę!

Sir Derykowi ramiona zatrzęsły się z tłumionego śmiechu. Podprowadził Cleone do sofy, na którą osunęła się, kryjąc twarz w dłoniach.

Philip odsunął kotarę.

- Za pozwoleniem, ale się oddalę. Zdecydowanie jestem: tu zbyt czyny. Mademoiselle, messieurs. - Wyszedł, a kotara opadła.

Jak widać, nasz wiejski prostaczek szybko się uczy. Robi co trzeba, a potem zostawia ukochaną jej własnym domostwem.

Cleone się nie spieszy. Swoją kapryśną naturą doprowadza czytelnika do rozpaczy, by na koniec dostrzec to, co autorka i nam chce pokazać - że mężczyzna, który zmienił się dla swej ukochanej, był dla niej od początku odpowiedni.

Nie szukajcie na kartach tej książki opisów naszej pary figlującej w łóżku. Heyer ukazuje pociąg fizyczny w sposób znacznie bardziej subtelny. Philip i Cleone są młodzi i pełni namiętności. Heyer ufa jednak, że czytelnik dostrzeże obietnicę w powłóczyście spojrzaniu lub niespiesznym pocałunku, złożonym na wyciągniętej dłoni damy. Mistrzowski sposób, w jaki autorka ukazuje napięcie pomiędzy parą bohaterów, nie pozostawia wątpliwości co do tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami lub zaciągniętą kotarą.

Jestem wielką wielbicielką talentu Georgette Heyer oraz jej umiejętności pisania dialogu szybkiego jak błyskawica, ciętego i nierzadko pełnego subtelnej ironii. Oto kolejny uroczy fragment, w którym Philip, świeży elegant, rozmawia ze znajomym o swojej przemianie:

- *Uważasz, że jestem chłodny?*
- *W gruncie rzeczy, owszem. A nie jest tak?*
- *Z całą pewnością jest. Mieć serce to dziś takie niemodne.*
- *Och, ale z ciebie hultaj.*
- *Już mi to mówili. Pewnie dlatego, że nie mam na sumieniu nawet najmniejszej niedyskrecji. Swoją drogą, to ciekawe, że ciebie nikt nie ochrzcił tym mianem, choć*

w pełni na to zasługujesz. Aja, człowiek o nieskazitelnej reputacji, uchodzę za blagiera i ladaco. Chyba napiszę sonet na ten temat.

Proste ponadczasowe przesłanie tej opowieści głosi, rzecz jasna, że pozory mają mniejsze znaczenie niż przymioty serca. „Wyrafinowana gra” to wczesna powieść młodej autorki, zmierzającej dopiero ku szczytom swoich możliwości. Jednak nawet ta powieść zawiera elementy charakterystyczne dla dorobku Georgette Heyer, na który składa się pięćdziesiąt siedem pozycji.

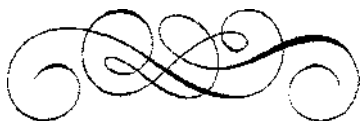
Autorka z niezrównaną pieczołowitością rekonstruuje epokę georgiańską. Bawi się humorem, tym wprost i tym subtelnym. Potrafi też perfekcyjnie dozować elementy komiczne. Książka osadzona jest w malowniczym wiejskim krajobrazie, ze stosownymi fragmentami umiejscowionymi w wielkim mieście, ale nacisk położony jest oczywiście na rozwój romansu. I nawet jeśli od czasu do czasu czytelnik doznaje w swych oczekiwaniach zawodu, pogłębia to tylko pragnienie doprowadzenia pary naszych bohaterów do szczęśliwego finału.

A postaci, oczywiście, niemal wyskakują ze stron książki. Cleone ukrywa pod rozkapryśzoną maską ujmującą wrażliwość, a upór, z jakim Philip pragnie ją zdobyć, dowodzi, że jest idealnym materiałem na męża. Bohaterowie mają skłonność do prowadzenia misternych, kwiecistych dialogów, udaje im się jednak zdobyć serca czytelników i sprawić, by uwierzyli w ich miłość.

A teraz, drogie czytelniczki, zaparcie sobie czajniczek

herbaty - polecam odmianę nazwaną Lady Grey, z miodową nutką - zróbcie sobie gorącą grzanekę z masłem, połóżcie nogi na fotelu i owińcie się ciepłym szalem. Czy jesteście już gotowe, by przenieść się w cudowny świat Georgette Heyer?

Susan Wiggs



Rozdział pierwszy

Rezydencja Jettanów

Gdybyś, Drogi Czytelniku, zabłądził kiedyś wśród wzgórz Downs w hrabstwie Sussex, gdzieś pomiędzy Midhurst i Brighthelmstone natrafisz na Little Fittledean - małą wioskę położoną w przyjemnym ustroniu pomiędzy dwoma falistymi pasmami wzgórz, wokół której trzech dżentelmenów wybudowało niegdyś swoje rezydencje. Jeden z nich wybrał stronę północną, o pół mili za wsią, na zboczu wzgórza. Był to pan Winton - człowiek niespecjalnie ciekawy i nieżonaty, za to z dwójką dzieci - Jamesem i Jennifer. Drugi - niejaki sir Thomas Jettan - wybudował dom na zachód od wioski, niedaleko London Road i Great Fittledean. Miejsce wybrał bardzo starannie, pod lasem, i otoczył swoją siedzibę ogrodami w stylu holenderskim. Działo się to jeszcze w ubiegłym stuleciu, za panowania króla Karola II*. To, co było wówczas lśniąco białą

* Karol II, 1630-85, król Anglii, Szkocji i Irlandii od 1660

budowlą o nagich ścianach, mocno rażącą na tle leśnego otoczenia, stało się obecnie, mniej więcej siedemdziesiąt lat później, przyjemnym, obrośniętym pnączami domostwem, na które czas wpłynął bardzo korzystnie. Pan Jettan był niebywale dumny ze swojej siedziby. Nie było dnia, w którym podczas obchodu włości nie oglądałby budowli, oceniając ją ze stu najrozmaitszych punktów widzenia. Miała ona przecież stać się wiejską rezydencją Jettanów na lata, traktowaną niemal jak własne dziecko. Nie miała być nigdy sprzedana, lecz przechodzić z ojca na syna, a z syna na wnuka. Nie mogłaby też nigdy przypaść w udziale żeńskim potomkom, nawet w linii prostej, gdyż stary Tom zdecydował, że nazwisko Jettan ma być przypisane do niej po wsze czasy.

Stary Tom rozgłaszał swoje zamiary po całej okolicy. Wszyscy przyjaciele i znajomi musieli obejrzeć biały dom i wysłuchać opowieści o minionych występkach właściciela, a także jego obecnych cnotach, które - jak ich zapewniał - zawdzięczał tej pięknej posiadłości. Już nigdy więcej nie będzie wiódł egzystencji motyla, jak to przed nim czynili jego przodkowie. Dom ten miał stać się jego przystanią, jego inwestycją na przyszłość. Swych dwóch synów wychowa w duchu szacunku dla rodzinnego gniazda, i może nawet uda się w końcu przełamać tradycję, zgodnie z którą wszyscy Jettanowie mieli naturę lekkoduchów.

Sąsiedzi pokpiwali sobie dobrodusznie z dziecinnych mrzonek starego Toma, a nienazwane dotąd domostwo ochrzcili po cichu Dumą Toma.

Nadane przez sąsiadów żartobliwe miano dotarło do uszu Toma Jettana w momencie, gdy zastanawiał się nad stosowną nazwą dla swojej rezydencji. A on, choć próżny, nie był jednak pozbawiony poczucia humoru, gdy więc pojął jego sens, zaśmiał się i klepnął z aprobatą w udo. Nie minął miesiąc, gdy na kutej bramie białego domu sąsiedzi, ku swemu przerażeniu, ujrzeli misternie wyrzeźbioną pozłacaną wstęgę z napisem Duma Jettana. To, że ich żart został odkryty i w ten sposób wykorzystany, wywołało powszechną konsternację. Ci zaś, których Tom miał wkrótce odwiedzić, oczekiwali go w atmosferze nerwowego zażenowania. Tom dał jednak wszystkim rychło do zrozumienia, że nie tylko nie poczuł się urażony, ale jest wręcz wdzięczny za znalezienie tak stosownej nazwy dla rezydencji.

Niestety, proroctwa oraz nadzieje na przełamanie tradycji nie ziściły się w przypadku żadnego z jego synów. Starszy, Maurice, używał życia do woli, nim wreszcie osiadł w Dumie Jettana; zaś drugi, Thomas, nigdy nie zaniechał kawalerskich nawyków, nie okazywał też żadnego przywiązania do rodzinnego domu.

Stary Tom zostawił testament, w którym dawał Mauriceowi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli przekroczy pięćdziesiątkę i nadal nie będzie chciał zamieszkać w rodzinnej posiadłości, stanie się ona własnością jego brata Thomasa oraz jego spadkobierców.

W związku z tym Thomas radził Maurice'owi ożenić się i spłodzić kilkoro dzieci.

- Bo niech mnie diabli, jeżeli ja miałbym to zrobić,

mój chłopcze! Staruszek musiał chyba stracić rozum, skoro spodziewał się, że jakiś Jettan zechce zamieszkać w tej dziurze! Powiem ci wprost, Maurice, nie chcę tego domu. To ty jesteś starszy i musisz tym samym przejąć wszystkie... obowiązki! - Po tych słowach zaniósł się cichym śmiechem, gdyż był z niego niepoprawny hultaj.

- Będę, oczywiście, tu mieszkał - odparł Maurice. - Trzy miesiące tutaj, a dziewięć gdzie indziej. Czy ktoś może mi tego zabronić?

- Czy testament na to zezwala? - spytał z powątpiewaniem Tom.

- W każdym razie nie zabrania. Wezmę też sobie żonę.

Słyszając to, Tom wybuchnął śmiechem, lecz pod karcącym spojrzeniem brata natychmiast się zmięgował.

- Nie posądzaj mnie o brak szacunku. Starszy pan ledwie od trzech dni spoczywa w grobie! Ale, na Boga, możesz mi wierzyć, że staruszek uśmiełby się razem ze mną. Daję głowę! - Stłumił kolejny wybuch śmiechu i wzruszył ramionami. - Albo nawet śmiałby się jeszcze wcześniej, zanim stał się tak szaleńczo przeczulony na punkcie tego wielkiego jak stodoła domiszcza. Nie starczy ci pieniędzy, żeby je utrzymać, Maurry - dorzucił radośnie - nie mówiąc już o żonie.

Maurice, zasepiony, zaczął obracać w palcach monokl.

- Ojciec zostawił więcej, niż mogłem się spodziewać - oświadczył.

- I cóż z tego? Tydzień hulanki i będzie po wszystkim!

Maurry, na miły Bóg, naprawdę zamierzasz wziąć się za ten majątek?

- Nie, zamierzam wziąć sobie żonę. A całą resztę pozostawię w jej rękach.

Tom podniósł się z trudem i wbił w brata zdumione spojrzenie.

- Niech mnie diabli, ale wydaje mi się, że pod wpływem tego domu zamieniasz się w naszego staruszka. Maurry, opanuj się, człowieku!

Maurice uśmiechnął się.

- Trzeba czegoś więcej niż Dumy, Tom, żeby mnie okiełznać. Uważam, że to zbyt dobry majątek, żeby go sprzedawać albo odrzucić.

- Jeżeli o mnie chodzi, gdybym mógł położyć rękę na dwóch tysiącach gwinei, każdy mógłby go sobie wziąć! - stwierdził Tom.

Maurice spojrzał na brata.

- Wszystko co mam, należy również do ciebie, Tom. Dobrze o tym wiesz. Bierz, ile chcesz, dwa tysiące albo dwadzieścia.

- To diablo miło z twojej strony, Maurry, ale na razie nie zamierzam cię wysysać. I nawet nie próbuj ze mną dyskutować, bo jeszcze nie mam jasności co i jak. Lepiej mi powiedz coś więcej o przyszłej żonie. Kto to ma być?

- Jeszcze nie zdecydowałem - odparł Maurice, po czym lekko ziewnął. - W każdym razie jest w kim wybierać.

- No tak, przystojny z ciebie czort, daję słowo! Co byś powiedział na Lucy Farmer?

Maurice wzdrygnął się.

- Oszczędź mi, proszę. Myślałem raczej o Marianne Tempest.

- Co?! O córce starego Castlehilla? Chłopcze, wykończyłaby cię w miesiąc!

- Nie jest jednak pozbawiona... posagu.

- To prawda, ale zastanów się jeszcze, Maurry! Rozważ to sobie! Dwadzieścia lat, a już taka jędra!

- Co, wobec tego, sądzisz o Jane Butterfield?

- Nie mam nic przeciwko tej dziewczynie - odparł Thomas, skubiąc wargę. - Ale, na Boga! Mógłbyś z nią żyć?

- Nie wiem, nie próbowałem - odparł Maurice.

- No właśnie, a małżeństwo to tak straszliwie nieodwołalna decyzja! Gdyby można było pożyć razem przez miesiąc czy dwa przed ślubem... Wątpię, by dziewczyna na to przystała.

- Gdyby przystała, nie chciałbyś jej później poślubić - stwierdził Maurice. - Szkoda. Nie, nie sądzę bym potrafił żyć z Jane.

Thomas znów usiadł.

- Prawda jest taka, Maurry, że my, Jettanowie, musimy zenić się z miłości. Żaden z nas nigdy nie zrobił tego bez uczucia, nawet jeśli głównym powodem były pieniądze.

- Kiedy to takie nieeleganckie - zaoponował Maurice.
- Człowiek żeni się z rozsądku i dla wygody. A ukochanych można mieć i pięćdziesiąt.

- Co?! Jednocześnie? Chyba byłoby ci niezbyt wygodnie, Maurry. Strach pomyśleć, pięćdziesiąt ukochanych - niech mnie diabli! Już trzy wystarczą, żeby cię doprowadzić do szaleństwa. Możesz mi wierzyć.

Wąskie wargi Maurice'a drgnęły w uśmiechu.

- Skądże znowu. Pięćdziesiąt rozłożonych na całe życie i z żadną z nich nie jesteś związany. Toż to szczęście, Tom, ty hultaju!

Thomas pogroził mu palcem, a jego pulchna, dobroduszna twarz nagle spoważniała.

- Żadna z nich nie byłaby prawdziwą miłością, inaczej nie byłaby jedną spośród pięćdziesięciu. Posłuchaj mojej rady, chłopcze, i jeszcze poczekaj z ożenkiem. Nie łammy rodzinnej tradycji. - Odchylił się w fotelu i wyrecytował stare porzekadło Jettanów: - „Po hulaszczej młodości małżeństwo z miłości i błogie lata statecznej starości”. Choć nie wiem, czy to prawda z tą stateczną starością. Może tylko ci, co żenią się z miłości, stają się cnotliwi. Tak czy inaczej, nie próbuj złamać tej zasady, Maurry.

- Ach tak? - Maurice uśmiechnął się. - A co mnie powstrzyma?

Thomas znowu się podniósł i ujął brata pod ramię.

- Ja pierwszy, gdyby przyszło co do czego. Gdybyś chciał ożenić się bez miłości, podniosę raban w kościele i uprowadzę pannę młodą. Ale byłaby zabawa: sprzątnąć bratu narzeczoną sprzed nosa. Tego srogiego nosa. Niech mnie diabli, taki właśnie masz nochal. Że też wcześniej tego nie zauważyłem - srogi, ponury i stary. A teraz uspokój się, chłopcze, bo znów będziesz musiał się śmiać.

Maurice poczekał, aż dobry humor brata przygaśnie.

- Tom, łatwo ci radzić, żebyś nie żenił się bez miło-

ści. Muszę się ożenić, bo ty z pewnością tego nie zrobisz. I skąd weźmiemy spadkobierców? Co powinienem zrobić? Chciałbym to wiedzieć.

- Poczekać, chłopcze, poczekać! Nie jesteś jeszcze taki stary, żebyś nie mógł pozwolić sobie na zwłokę.

- Mam trzydzieści pięć lat, Tom.

- W takim razie masz przed sobą jeszcze piętnaście, zanim będziesz musiał się ustatkować. Posłuchaj mojej rady i poczekaj!

Maurice zdecydował się więc poczekać. Przez cztery lata rozjeżdżał się po Europie, używając życia, jak to zwykli czynić dżentelmeni w tamtych czasach. Jednak w roku 1729 napisał z Paryża do brata w Londynie długi list. Wyznawał w nim, że jest zakochany, a dama jego serca to anioł dobroci, słodyczy, łagodności i miłości. Napisał jeszcze znacznie więcej w tym duchu, a Tom musiał to wszystko przeczytać, ziewając i śmiejąc się na przemian. Damą ową była niejaka Maria Marchant, która miała przy tym całkiem ładny posag, a także miłe usposobienie. W tej sytuacji Tom natychmiast odpisał, gratulując bratu oraz udzielając temu związkowi błogosławieństwa. Wyraził także życzenie, by jego stary kochany Maurry przestał wreszcie podróżować i wrócił do kraju, do kochającego brata Toma.

W postscriptum dorzucił, że postawił pięćset gwinei w Newmarket, by wygrać w kości tysiąc pięćset już w następnym tygodniu. I gdyby nie ten drobny zakład z Harrym Beshamem i przesładujący go pech, byłby dziś najbardziej beztroskim spośród śmiertelników, miast być

nieszczęsną, strwożoną kreaturą, oczekującą lada godziny wizyty zastępców szeryfa.

Po tym liście nie było więcej korespondencji. Żaden z braci nie uważał, by zostało jeszcze coś do powiedzenia, obaj też nie zwykli tracić czasu na pisanie bez pilnej przyczyny. Thomas nie zaprzętał już sobie głowy małżeństwem Maurice'a. Zakładał, że ślub odbędzie się w Anglii w najbliższych miesiącach, zaś Maurice może uznać za stosowne wrócić natychmiast, zgodnie z jego poradą. Odłożył więc na bok list brata i oddał się swoim zwykłym zajęciom.

Tom mieszkał przy Half-Moon Street. Domem zarządzała kucharka, żona Moggata - służącego i zarazem lokaja. Rządziła ona również nieszczęsnym Moggatem, a ten odkuwał się, kiedy tylko się dało, na swoim dobrodusznym panu. Tak więc można było w gruncie rzeczy powiedzieć, że pani Moggat podporządkowała sobie wszystkich. A ponieważ Tom sobie tego nie uświadamiał, ani trochę mu to nie przeszkadzało.

Miesiąc po tym, jak odpisał bratu, został zaskoczony o poranku wiadomością, że jakiś dżentelmen życzy sobie z nim porozmawiać. Tom był jeszcze w swojej sypialni i popijał czekoladę, a jego zaokrągloną figurę spowijał niebywale jaskrawy jedwabny szlafrok. Nie zdjął też szlafmicy, a peruka leżała na toaletce.

Długi i chudy Moggat wślizgnął się przez ledwie uchylone drzwi i chrząknął głośno tuż za plecami chlebodawcy.

Tom, który właśnie przełykał czekoladę, nie usłyszał

skradającego się Moggata. Dźwięk, jaki wyrwał się z gardła jego lokaja, zaskoczył go do tego stopnia, że się zakrztusił.

Sługa, głęboko zatroskany, dopóty klepał pana po plecach, dopóki ten nie przestał kaszleć i prychać. Potem Tom odwrócił się w fotelu i spojrzał na służącego.

- Niech cię piekło pochłonie! Co to ma znaczyć? Zakradasz się do pokoju i robisz hałas, kiedy ja piję. Tak, mój kochany. Właśnie kiedy piję. Niech cię diabli! Słyszysz, co mówię? Niech cię wszyscy diabli!

Moggat słuchał go w ponurym milczeniu, a gdy Tom przerwał, by zaczerpnąć tchu, skłonił się i, jakby nigdy nic, oznajmił:

- Na dole czeka pewien dżentelmen, który życzy sobie z panem porozmawiać.

- Dżentelmen? Żaden dżentelmen nie przychodzi o tej porze. Nie wiesz o tym, ty patentowany ośle? Przynieś mi jeszcze czekolady!

- Ale to dżentelmen, sir.

- Mówię ci, że żaden dżentelmen nie będzie nikogo nachodził o tej godzinie. No, idźże już, Moggat!

- Chociaż mówiłem temu dżentelmenowi, że mój pan nie jest jeszcze ubrany, w związku z czym nie może przyjąć gości, powiedział, że nie ma to dla niego najmniejszego znaczenia i byłby niezwykle wdzięczny, gdyby go pan natychmiast poprosił na górę. Więc ja...

- Co za tupet! - ryknął Tom. - Jak on się nazywa?

- Kiedy zapytałem tego dżentelmena, kogo mam zaanonsować, dał mi do zrozumienia, że to nieistotne.

- Niech go diabli! Wyproś go za drzwi, Moggat. Pew-

nie to jeden z tych przeklętych zastępców szeryfa. Po co go, durniu, wpuściłeś?

Moggat westchnął z rezygnacją.

- Jeśli wolno mi powiedzieć, sir, ten dżentelmen to nie zastępca szeryfa.

- No to kto?

- Niestety, nie wiem.

- Bałwan z ciebie. Jak ten jegomość wygląda?

- Ten dżentelmen - Moggat położył leciutki nacisk na to słowo - jest wysoki i... hm... szczupły. Ma dosyć ciemne oczy i brwi i, jeśli można tak powiedzieć, ubrany jest niezwykle modnie. Nosi szpiczasty kapelusz, su-to marszczony brunatny płaszcz, oblamowany na modłę francuską...

Tom zerwał z głowy szlafmycę i cisnął nią w lokaja.

- Ty tępa pało! Myślisz, że chodzi mi o części jego garderoby? Wyproś go za próg, tego śniadego hultaja. Wyproś go!

Moggat podniósł z podłogi szlafmycę i wygładził ją ze smutkiem.

- Temu dżentelmenowi było bardzo pilno, żeby się z panem zobaczyć, sir.

- Ha! Próbuje mnie okpić, ladaco! Jakbym tego nie wiedział. Awanturnik i...

- Nie, sir - rzekł Moggat z naciskiem. - Nie mógłbym z czystym sumieniem powiedzieć, że to awanturnik. Za pozwoleniem, ale to wyjątkowo spokojny i opanowany dżentelmen. Głos miał łagodny, ach, jaki łagodny...

- Wyrzuć go! - krzyknął Tom. - Mówię ci, że nikt nie

będzie mnie nachodził o tej godzinie. Przecież mogłem jeszcze spać, do kata! Przekaż temu jegomościowi, żeby wrócił o stosowniejszej porze, a nie o bladym świecie. I nie próbuj ze mną dyskutować, Moggat. Powiem więcej, nawet gdyby to był mój brat we własnej osobie, też bym go nie przyjął.

Lokaj znowu się skłonił.

- Poinformuję tego dżentelmena, sir.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Tom rozparł się wygodnie w fotelu i sięgnął po jeden z listów. Nie minęło pięć minut, a znów usłyszał skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się i zobaczył przy swoim łokciu Moggata.

- He? Czego chcesz?

- Za pozwoleniem, sir, ale ten dżentelmen mówi, że jest pańskim bratem - łagodnie odparł służący.

Tom podskoczył, jakby go kto postrzelił.

- Co takiego? Mój brat? Co ty gadasz? Mój brat?

- Tak, to sir Maurice.

Tom poderwał się, chwycił perukę i nasadził ją sobie na głowę, tyłem do przodu.

- Do stu tysięcy piorunów i kartaczy! Chodź no tu, Moggat, ty zakuta pało! Jak śmiesz zostawiać mojego brata na dole? Pytam, jak śmiesz? - Ciaśniej niż zwykle owinał się szlafrokiem, wypadł z pokoju i zbiegł po schodach na dół, gdzie czekał na niego Maurice.

Stał przy oknie w bibliotece, bębniąc palcami w parapet. Gdy jego brat wpadł jak burza do pokoju, odwrócił się i ukłonił.

- To tak mnie miło witasz, Tom? „Przekaż temu jegomościowi”

mościowi, żeby wrócił o stosowniejszej porze... Nawet gdyby to był mój brat we własnej osobie, też bym go nie przyjął". To doprawdy paradne!

Thomas przebiegł drobnymi kroczkami pokój i zamknął długie, smukłe dłonie brata w swoich miękkich i pulchnych.

- Mój drogi Maurry! Kochany stary druhu! Nie miałem pojęcia, że to ty! Mój lokaj, ten dureń... ale mniejsza o to. Kiedy wróciłeś do Anglii?

- Tydzień temu. Byłem w Dumie.

- Tydzień temu? I nie zjawiłeś się u mnie do tej pory, hultaju? - Mówiąc to, popchnął brata na fotel i rozpromieniony zajął miejsce naprzeciwko.

Maurice rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę. Na jego ustach błąkał się uśmieszek, lecz z oczu wyczierała powaga, gdy odpowiedział:

- Musiałem najpierw zainstalować żonę w jej nowym domu.

- Żonę? - Tom wytrzeszczył oczy. - Widzę, że nie tracisz czasu. Można zapytać, gdzie i kiedy poślubiłeś tę damę?

- Trzy tygodnie temu w Paryżu. A teraz wróciłem do domu, by mogła się spełnić ostatnia część przepowiedni Jettanów.

- Na miłość boską, chłopcze! - wykrzyknął Tom. - Tylko mi nie mów, że wróciłeś, by żyć tu statecznie aż do starości.

- Coś w tym rodzaju. - Maurice pokiwał głową. - Ale poczekaj, aż poznasz moją żonę.

- No cóż, poczekam. Co zamierzasz? Zostać hreczkosiejem z pół tuzinem bachorów?

W oczach Mauricea mignął gniewny błysk.

- Tom, byłbym ci wdzięczny, gdybyś przestał być tak grubiański.

- Grubiański? Mój Boże, Maurice, co cię napadło?

- Jestem mężczyzną żonatym - odparł Maurice - i jako taki nauczyłem się... hm... panować nad językiem. Moja żona...

- Maurry, nie mógłbyś nazywać tej damy po imieniu?

- przerwał mu błagalnie Tom. - Uwierz mi, ale nie mogę raz po raz wysłuchiwać tych dwóch słów, nawet jeśli dla ciebie są powodem dumy.

Maurice zarumienił się lekko i uśmiechnął.

- Dobrze więc. Maria jest bardzo słodką i delikatną istotą.

- A ja dałbym głowę, że poślubisz jakąś tęgą rubaszną dziewczynę o zuchwałym uśmiechu.

- Ja! Maria jest potulna, łagodna i...

- Dobrze już, Maurry, dobrze - przerwał mu pospiesznie Thomas. - Sam ją sobie obejrzę, bądź więc tak dobry i nie psuj mi niespodzianki. Powiedz lepiej, jadłeś już śniadanie? Nie? To chodź ze mną na górę. Gdzie ten nicpoń Moggat? Moggat! Gdzie się podziewasz? Ach, tu jesteś. Idź, człowieku, i szykuj mi się do śniadania. I przynieś mi do pokoju jeszcze jedną filiżankę czekolady. - Otulając się fałdzistym szlafrokiem, ujął brata pod ramię i poprowadził ku schodom.

Maurice Jettan przywiózł do rodzinnej siedziby świeżo poślubioną małżonkę. Była to dama łagodna i pełna słodyczy, która wręcz uwielbiała przystojnego męża i w stosownym czasie obdarzyła go synem, Philipem. Gdy dumni rodzice zaprezentowali swego pierworodnego wujowi Tomowi, ten odkrył w nim prawdziwego Jettana, ze wszystkimi rodzinnymi cechami. Ojciec chłopca twierdził wprawdzie, że nie widzi żadnego podobieństwa ani do siebie, ani do kogokolwiek, jednak uwagi brata sprawiły mu niekłamana przyjemność. Tom ze śmiechem przepowiedział też, że młody Philip okaże się Jettanem pod wieloma względami. Wspomniał nawet o młodzieńcu, który powinien zdolnościami przewyższyć ojca, a Maurice z dumnym uśmiechem popatrzył na czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę.

- I - zakończył Tom - będzie on miał papę, który doradzi mu w sprawach dobrego gustu lepiej niż ktokolwiek inny. Pokażesz mu przecież elegancki świat, Maurury. Uważaj, żebyś tu nie zaśniedział, bracie. Nie wolno ci wypaść z towarzystwa.

- Nie, nie wolno - przytaknął Maurice, nie przestając uśmiechać się do swego potomka. - A ten mały będzie mnie potrzebował znacznie później.

Przez pięć kolejnych lat Maurice zajmował poczesne miejsce pośród londyńskiej socjety, z czasem odkrył jednak, że potrzeba uciech i podniet coraz bardziej w nim słabnie. Decydującym wydarzeniem w jego życiu stała się śmierć Marii. Gdy Maurice otrząsnął się z żalu, zabrał

na wieś synka i przez kilka kolejnych lat rzadko bywał w Londynie - z wyjątkiem wizyt u brata albo u krawca. Potem jednak znów zaczęło go nosić, spędzał więc coraz więcej czasu z Tomem. I tak, stopniowo, wkroczył znów w świat, z którego się wycofał, ale już nigdy nie oddał mu się tak bez reszty jak niegdyś. Teraz coraz częściej ciągnęło go do Dumy, a mały Philip całkiem zawładnął jego sercem. Dlatego też dzielił czas pomiędzy miasto a Dumę. Gdy budził się w nim niespokojny duch, pakował kufry i pędził do Londynu albo do Paryża. A gdy niepokój mijał, wracał do Dumy na dwa lub trzy miesiące.

Gdy Philip skończył osiemnaście lat, Maurice zabrał go do Londynu, ale chłopak szybko się znudził. Sir Maurice uznał wówczas, że syn jest widocznie zbyt młody, by go wprowadzić w towarzystwo. Odesłał go wobec tego na wieś, z tą myślą, że za dwa lub trzy lata chłopcu będzie aż nadto pilno, by stamtąd wyjechać.

Jednak lata mijały, a Philip nie zdradzał najmniejszej chęci pójścia w ślady ojca. Odrzucał zaproszenia do odbycia podróży po kontynencie; za nic miał stroje i eleganckie maniery i gardził dworskim życiem. Wolał zostać na wsi, uzurpując sobie w znacznym stopniu pozycję swego ojca, dziedzica. Miał teraz dwadzieścia trzy lata, był wysoki i przystojny, ale, jak Maurice powiedział Tomowi, był jeszcze „nieokrzesanym młokosem”.



Rozdział drugi

W którym przedstawiamy pannę Cleone Charteris

Jakiś czas temu wspomniałam o trzech dżentelmenach, którzy wybudowali sobie domy wokół Little Fittledean. O jednym z nich niewiele zostało powiedziane, o drugim za to opowiadałam tak długo, że zrobił się z tego cały rozdział. Teraz wypada mi wspomnieć o trzecim dżentelmenie, który osiedlił się na krańcu wsi, mniej więcej dwie mile od Dumy Jettana, po stronie wschodniej. Aby tam dotrzeć, trzeba iść główną ulicą, mijając po drodze coraz rzadziej rozsiane chaty, aż do miejsca, gdzie kończą się chodniki i bruki. Ulica przeradza się w tym miejscu w polną drogę, obsadzoną po obu stronach drzewami i trawą. Jeszcze kilka kroków - i porośnięty mchem dach Sharley House wyłoni się zza wysokiego żywopłotu, osłaniającego posiadłość przed wzrokiem przechodnia.

Tutaj właśnie mieszkał pan Charteris, a przed nim jego ojciec i dziadek Ów pan Charteris był szczęśliwym mężem i ojcem córki. I właśnie ta córka najbardziej mnie interesuje.

Nosiła imię Cleone i była naprawdę prześliczna. Miała złote loki, chabrowe oczy i różane usteczka, które śmiały się i dąsały z równym wdziękiem. Panna skończyła właśnie osiemnaście lat i stała się źródłem euforii bądź rozpaczy wszystkich okolicznych młodzieńców. A najbardziej desperował pan Philip Jettan.

Philip był bowiem po uszy zakochany w Cleone. Trwało to od czasu jej powrotu z klasztoru, gdzie zdobyła skromną edukację. Przed wyjazdem ona i Philip, a także James i Jennifer Wintonowie, bawili się razem i kłócili, nieomal odkąd zaczęli stawiać pierwsze kroki. Potem Cleone wyjechała, by zyskać stosowną ogładę, zaś obaj chłopcy rzadko o niej myśleli, póki nie wróciła - a wtedy nie myśleli już o nikim innym! Znikła na zawsze figlarna towarzyska wspólnych zabaw, a jej miejsce zajęło Urocze Zjawisko. Philip i James zaczęli popatrywać na siebie wilkiem.

Zachwycona obrotem spraw, Cleone rządziła jak królowa i nastawiała przeciw sobie obu młodzieńców. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy odkryła, że rozmyśla o panu Jettanie znacznie częściej, niż by wypadało. Zaczął nawiedzać ją w snach, a ilekroć zjawiał się z wizytą, serce trzepotało jej w piersi, jakby chciało się wyrwać.

Cleone traktowała jednak swoje serce surowo, gdyż pan Jettan miał wiele cech, które nie budziły jej aprobaty. Choć z natury władczy i przystojny, był również pod wieloma względami rozpaczliwie nieokrzesany. Przed powrotem do Sharley House Cleone spędziła parę miesięcy w Londynie, u swojej ciotki. Kilku panów okazywało jej tam względy w sposób bardzo elegancki i obsypywało gradem komple-

mentów jej złotą główkę. Choć ani trochę o nich nie dbała, ich dworne hołdy sprawiały jej niebywałą przyjemność. Philip natomiast zwykł mówić wprost i na konkretny temat, a jego komplementy były mało wykwintne. Strój także pozostawiał wiele do życzenia. Cleone, która w kwestii koloru i stylu miała bardzo dobre oko, lubiła, by jej kawalerowie nosili się *a la mode*. Sir Matthew Treławney, na przykład, demonstrował najpiękniejsze pończochy ze szlaczkiem w motylki, natomiast Frederick King nosił frak tak dopasowany, że trzeba było pomocy trzech mężczyzn, by mógł się w niego wbić. Philip wkładał na co dzień wygodny żakiet, pogardziłby też pończochami Matthew Treławneya. Odmówił nawet kupna peruki, a swoje własne brązowe włosy zaczesywał do tyłu i wiązał na karku czarną wstążką. Żadnego pudru, żadnych loczków, niepolerowane paznokcie i nieumalowana twarz, pozbawiona najmniejszej nawet muszki. To wystarczyło, by, zdaniem Cleone, doprowadzić człowieka do łez. Nie płakała jednak, gdyż, po pierwsze, miałyby potem czerwone oczy, a po drugie, i tak nie na wiele by się to zdało. Philipa należało po prostu zmienić, gdyż... gdyż nie był jej obojętny.

Właśnie wrócił z Londynu, dokąd ojciec wysłał go pod pozorem załatwienia spraw związanych z majątkiem, a naprawdę po to, by jego nieokrzesa dusza uległa wreszcie urokom wielkiego miasta. Choć Philip nie był świadom tej ukrytej przyczyny, Cleone doskonale o niej wiedziała. Dziewczyna bardzo lubiła sir Maurice'a, i trzeba dodać, z wzajemnością. Gdy sir Maurice zorientował się, gdzie Philip rozgląda się za żoną, był nawet uradowany, mimo

że młody Jettan mógł sięgnąć znacznie wyżej. Mając jednak w pamięci rodzinne porzekadło, pozwolił, by sprawy potoczyły się własnym torem. Jedyne, co go trapiło, to wyraźny upór syna względem pierwszej części przepowiedni. Kochał Philipa i nie chciał go stracić, lubił też jego towarzysztwo, ale wzdychał często: „Na Boga, straszny z ciebie nudziarz, mój chłopcze!”

Teraz też padły te słowa, a proste brwi młodego Philipa zeszyły się u nasady nosa, by się znów rozejść, gdy odpowiedział z uśmiechem:

- Moim zdaniem, dwóch wesołków w rodzinie wystarczy, ojcze.

Sir Maurice'owi lekko drgnęły usta.

- Co to ma znaczyć, Philipie? Próbujesz mnie strofować?

- Bynajmniej, sir. Po prostu - ty to ty, a ja to ja.

- Na to wygląda. Zakochałeś się w prześlicznej panience. A ponieważ nadal jesteś, jaki jesteś, możesz doznać zawodu.

Philip zarumienił się lekko na aluzję do Cleone, a gdy usłyszał koniec zdania, zmarszczył brwi.

- Jak mam to rozumieć, ojcze?

Bystre szare oczy, tak podobne do jego własnych, spojrzały na niego z politowaniem.

- Panna Cleone nie będzie cię chciała, jeżeli nie zmienisz swoich obyczajów, mój synu. Nie widzisz tego? Co tak wykwintna istota może mieć wspólnego z takim nieokrzesanym gburem jak ty?

- Jeżeli panna Cleone ofiaruje mi serce, to dlatego, że

jestem, jaki jestem - odparł cicho Philip. - Ona zasługuje na prawdziwego mężczyznę, a nie na jakiegoś upudrowanego gogusia w koronkach.

- Mężczyznę, powiadasz. Święci pańscy! I ty się za takiego uważasz? Philipie, moje dziecko, jedź do Londynu, do wuja, i kup sobie perukę.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie bez peruki.

- Tam, do diaska! - wykrzyknął zdesperowany sir Maurice, stukając laską w posadzkę. - Pojedziesz do miasta, ty krnąbrny chłopcze! A przy okazji możesz zakończyć sprawę z tym hultajem Jenkinsem!

Philip kiwnął głową.

- Dobrze, skoro sobie tego życzysz, ojczu.

- Tego sobie życzę i basta! - zakończył sir Maurice.

Tak więc Philip pojechał, a teraz wrócił, pomyślnie załatwiwszy transakcję, ale bez peruki. Sir Maurice ucieszył się na jego widok bardziej, niż dał po sobie poznać. Wysłuchał wszystkiego, co syn miał mu do powiedzenia o Tomie Jettanie, a potem, nie pytając o najświeższe plotki z wielkiego świata, pozwolił mu odejść.

Pół godziny później Philip przejeżdżał przez bramę Sharley House, dumnie wyprostowany w siodle, z bijącym sercem i gardłem ściśniętym w trwożnym oczekiwaniu.

Cleone widziała, jak nadjeżdża. Siedziała w oknie bawialni i haftowała, rozleniwiona. Prawdę mówiąc, znudziło ją własne towarzystwo i nie miała nic przeciwko wizycie, Gdy Philip przejeżdżał pod jej oknem, wychyliła się lekko i posłała mu uśmiech. Młodzieniec od razu ją zauważył

gdyż wpatrywał się w każde okno czerwonego domu w nadziei, że w jednym z nich siedzi Cleone. Teraz zatrzymał konia i ukłonił się, z kapeluszem w ręce.

Cleone otworzyła okno i przechyliła się przez parapet, a jej złote loki wysunęły się spod czepka.

- Tak szybko pan wrócił? - zapytała, pokazując w uśmiechu dołeczki.

- Tak szybko?! - powtórzył. - To były lata, Cleone. Dziesięć lat.

- Też coś! - prychnęła. - Dziesięć dni i ani chwili dłużej.

- Tylko tyle i ani trochę więcej? - zapytał Philip.

Policzki Cleone zaróżowiły się lekko.

- Ani trochę więcej! - odparowała.

W oczach Philipa pojawił się triumfalny błysk.

- To znaczy, że liczyłeś dni.

- Oj! - wykrzyknęła Cleone, wydymając wargi. - To... to... okropne...

- Co jest takie okropne, droga Cleone?

- To bezczelność - zakończyła. - Oświadczam, że nie chcę cię widzieć. - Po czym, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów, zatrasnęła okno i cofnęła się w głąb pokoju.

Potem jednak zmięknęła i szybko zbiegła po schodach, do saloniku, gdzie zastała pana Jettana składającego uszanowanie jej mamie. Dygnęła skromnie, pozwoliła mu ucałować koniuszki swoich palców, a potem usiadła obok pani Charteris, która poklepała ją po rękę.

- Moje dziecko, to niesłychane. Philip wrócił z Londynu i nie ma ani słowa do powiedzenia na temat wielkomijskich uciech.

- Mamo, nieładnie tak mówić. Philip jest człowiekiem statecznym i zrównoważonym.

- Ech tam! - zbyła ją matka. - No, przyznaj się, Philipie. Nie spotkałeś tam ani jednej piękności, która skradłaby ci serce?

- Nie, pani - odparł Philip. - Nie pociągają mnie malowane damy z towarzystwa. - Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z Cleone.

- Założę się, że nie słyszałeś jeszcze najświeższych wieści - odezwała się Cleone po krótkiej przerwie. - A może sir Maurice ci powiedział?

- Nie... To znaczy, nie wiem. O co chodzi? Czy to dobra wiadomość?

- To się dopiero okaże - odparła Cleone. - Pan Bancroft wraca. Co ty na to?

Philip zamarł.

- Bancroft? Syn sir Harolda?

- Tak, Henry Bancroft. Czy to nie podniecające? Pomyśl tylko - nie było go tu przez osiem lat. Musi mieć...
- zaczęła liczyć na palcach - ...dwadzieścia sześć albo dwadzieścia siedem lat. Czyli jest już mężczyzną. Jestem - ogromnie ciekawa, jak on teraz wygląda.

- Hm. - Philip nie wykazywał entuzjazmu. - Czego on tu szuka?

Cleone przypomknęła oczy ocienione długimi rzęsami.

- Chce zobaczyć się ze swoim ojcem, oczywiście. Po tylu latach!

Philip wydał z siebie cichy odgłos, który przypominał pogardliwe prychnięcie.

- Założę się, że jest jakaś poważniejsza przyczyna. Gdyby chodziło tylko o to, przyjechałby znacznie wcześniej.

- Papa był dwa dni temu w Fittledean i zastał sir Harolda w doskonałym humorze. Prawda, mamó?

Pani Charteris pokiwała z roztargnieniem głową. Pokrywała właśnie drobnym ścięciem sztukę atłasu, rada, że może wyłączyć się z rozmowy.

- Tak. Wydaje mi się, że Henry...

- Kto? - Philip wyprostował się na krześle.

- Pan Bancroft - powiedziała Cleone i usta jej zadrżały w uśmiechu. - Wygląda na to, że pan Bancroft miał okazję się pojedynkować. Czy to nie okropne?

Philip przytaknął z większym niż zwykle zapalem.

- Nie wiem, doprawdy, czemu dżentelmeni muszą się bić - ciągnęła Cleone. - Moim zdaniem, to okropne. Ale, oczywiście, również eleganckie i ekscytujące. A biednemu panu Bancroftowi poradzono, by wyjechał z Londynu, gdyż rozgniewał jakąś ważną osobistość. Papa nie powiedział, kim jest dżentelmen, z którym bił się Henry, ale sir Harold wydawał się dość rozbawiony. - Podniosła wzrok na Philipa w samą porę, by dostrzec pogardliwy grymas na jego twarzy. - Och, może ty wiesz coś o tym? Mogłeś przecież coś słyszeć?

- Nikt, kto był w zeszyłym tygodniu w Londynie, nie mógł o tym nie słyszeć - odparł Philip, po czym nagle zmienił temat.

Gdy Philip wrócił do domu, zbliżała się pora obiadu. Udał się więc niechętnie na górę, aby się przebrać, gdyż sir Maurice był pod tym względem nieustępliwy. Nie tolerował bryczesów z kozłej skóry lub butów do konnej jazdy przy stole. Wobec samego siebie także był aż do przesady wymagający. Co wieczór zakładał atłasy i akсамity, jego pociągła twarz była umalowana i upudrowana, muszki przyklejone, a peruka niezwykle starannie związana na karku. Używał teraz laski, ale nadal trzymał się prosto. A laska, jak mu kiedyś powiedział Philip, to była tylko poza.

Przez pierwszą część posiłku Philip zachowywał milczenie, lecz gdy lokaje wyszli z jadalni, a sir Maurice podsunął mu kieliszek porto, zaczął nagle mówić, jakby słowa miał już od dłuższego czasu na końcu języka.

- Słyszałeś ojcze, że Bancroft wraca?

Sir Maurice wybrał orzech ze stojącego przed nim półmiska, zgniótł go w smukłych białych palcach i dopiero wtedy odrzekł:

- Chyba ktoś już mi o tym wspomniał. I cóż z tego?

- Nie mówiłeś mi o tym.

Szare oczy przeszyły go uważnym spojrzeniem.

- Czy to twój przyjaciel? Nie wiedziałem.

- Przyjaciel! - Philip z pogardliwym prychnięciem odstawił kieliszek. - Raczej nie.

- W czym rzecz? Skąd ta złość?

- Gdyby ojciec słyszał te plotki!

- Nie wątpię, że wielce bym się ubawił - stwierdził sir Maurice. - A co mówią?

- Że ten jegomość wciąż angażuje się w jakieś nieprzy-
stojne kłótnie. Tym razem poszło o lady Marchand.

- O lady Marchand? Czy nie o Dolly Marchand?

- Tak słyszałem. Czyżby ojciec ją znał?

- Ja... hm... znałem jej matkę. Powiedz mi, czy jest
równie czarująca?

- Ponieważ nie znam ani lady Marchand, ani jej matki...
Sir Maurice westchnął.

- Nie, oczywiście, że nie. Mów dalej.

- To obrzydliwa historia, oszczędzę więc ojcu szczegó-
łów. Lord Marchand i Bancroft pojedynekowali się w Ip-
swich. Marchand został ranny w płuco i mówi się, że się
z tego nie wykaraska.

- Niezdara - skomentował sir Maurice. - Bancroft rej-
teruje?

- Książę Walii, co zrozumiałe, jest wściekły. Bancroft
zjawi się tu we własnej osobie, razem ze swoim wstręt-
nym morale.

Na ustach sir Maurice'a zaigrał uśmieszek.

- A pan Jettan jest, całkiem słusznie, oburzony. Z cze-
go wnioskuję, że panna Cleone szykuje się już na powi-
tanie tego pogromcy damskich serc. Trzeba było jednak
sprawić sobie perukę.

Philip mimowolnie parsknął śmiechem.

- Ojciec jest niepoprawny!

- A co mi pozostaje? Mogę zapytać, od kogo usłyszałeś
tę gorszącą wiadomość, mój cnotliwy synu?

- Od Toma, oczywiście. Nie był w stanie mówić o ni-
czym innym.

- Niestety! Wniosek z tego, że świątobliwy młodzieniaszek nadal tkwi na swoim piedestale, a historyjka ta została ci niejako wciśnięta na siłę. Powiem ci, że doprowadzasz mnie do szału, mój Philipie. - Sir Maurice napotkał rozbawiony wzrok syna. - Tak, mój drogi, jestem wściekły. Podaj mi wino.

Philip podsunął ojcu karafkę. W jego poważnych zazwyczaj oczach zamigotały iskierki.

- Głowę dam, że nikt nie miał tak niegodziwego ojca - powiedział. - Słyszałem o takich, którzy wydziedziczyli synów za niemoralne prowadzenie się. Wygląda jednak na to, że ty byłbyś skłonny wydziedziczyć mnie za nie-naganne sprawowanie.

- To dość szczególna sytuacja - zgodził się sir Maurice - ale cię nie wydziedziczę.

- Nie?

- A po co? Pozbawiony pieniędzy, nie mógłbyś w żadnym wypadku... hm... pójść w moje ślady. Jednak zamierzam wyrzucić cię z domu.

- Nie jesteś ze mną szczery - zauważył Philip - bo w głębi duszy cieszysz się z mojej nieskazitelnej reputacji.

- Doprawdy? - Ton sir Maurice'a zdradzał uprzejme zainteresowanie. - Bóg mi świadkiem, że o tym nie wiedziałem.

- Gdybym teraz wyrwał się w świat i stał się takim lekkoduchem, jak sobie życzysz, ojcze, nikt nie byłby bardziej przerażony niż ty.

- Twierdzisz więc, mój synu, że nie chcę, byś poszedł

w moje ślady, ale, powiedzmy, Bancrofta? To ja ci powiem, że byłbym wtedy zde gustowany.

- O! - Philip energicznie się pochylił. - Więc się, ojczec, do tego przyznajesz?

Sir Maurice upił łyk wina.

- Oczywiście. Gardzę brakiem taktu, gdy w grę wchodzi *une affaire*. - Spojrzał na Philipa, który szybko się cofnął. - Miłosna przygoda powinna być rozegrana z ogromną zręcznością. Jettan winien zawsze pamiętać, że wolno mu mieć tylko jedną ukochaną. Natomiast inne - machnął ręką - należy traktować tak subtelnie, jak na to zasługują. A przede wszystkim takie przygody powinny mieć łagodny koniec. Nie chciałbym, żeby jakaś kobieta przez ciebie cierpiała, mój synu, chciałbym jednak, byś poznał świat oraz kobiety. Pragnąłbym, żebyś doświadczył uroków, ale i przykrości wynikających z obcowania z londyńską socjetą. Żebyś zakosztował podniety hazardu; byś poczuł dreszcz, krzyżując szpadę ze szpadą przeciwnika. Chciałbym, żebyś zadał sobie wiele trudu, wybierając fular lub fason kamizelki. Żebyś nauczył się prawić miłe komplementy i układać kragłe frazy. A ponad wszystko, byś poznał siebie oraz podobnych sobie mężczyzn i światowe życie...

- Urwał, popatrzył na syna, a potem z uśmiechem zapytał:
- Co powiesz na moją tyradę?

Philip uśmiechnął się z podziwem.

- Jestem urzeczony twoim darem wymowy, sir. Prawdę mówiąc, masz wyjątkowo piękny głos, ojczec.

-Też coś! - prychnął sir Maurice.



Rozdział trzeci

W którym pan Bancroft sprowadza kłopoty na Little Fittledean

Pewnego wyjątkowo słonecznego poranka, jakieś pięć czy sześć dni po powrocie pana Jettana z Londynu, głównej ulicy Little Fittledean dodało splendoru przejście pewnego Objawienia.

Objawienie owo przystrojone było we frak z materii w łososiowym odcieniu, kwiecistą kamizelkę z najcieńszego brokatu oraz śnieżnobiałe spodnie do kolan. Na nogach miało trzewiki o czerwonych obcasach i pończochy ze złotym szlaczkiem. Miało również laskę z bursztynową gałką i wysadzaną drogimi kamieniami tabakierę. Od czasu do czasu unosiło też do swego arystokratycznego nosa cieniutką jak pajęczyna chusteczkę. Sunęło główną ulicą w kierunku targowiska, ścigane zachwyconymi spojrzeniami oniemiałej ludności. Mieszkańcy wioski nigdy dotąd nie widzieli kogoś równie pięknego i godnego uwagi, jak ów dżentelmen. Patrzyli na czerwone obcasy, stukają-

ce o bruk, i podziwiali wykwintny krój jego fraka. Grupka dzieciaków przerwała zabawę, by przyjrzeć mu się z otwartymi ustami. On jednak nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Być może nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia. Nawet wtedy, gdy ktoś piskliwy dyszkantem wykrzyknął: „John!” w odpowiedzi na „Popatrz na jego trzewiki!”, nie pokazał po sobie, że dostrzega obecność kogokolwiek innego oprócz własnej osoby. Sunął dalej przed siebie, ospały i stosownie znudzony.

Nieco dalej, na tej samej ulicy, pewien dżentelmen zatrzymał konia, by porozmawiać z zażywną jejmością, która uśmiechała się do niego, dygając i skubiąc nieśmiało zapaskę. W pewnym momencie on również usłyszał stukot obcasów, a gdy jejmość spojrzała poza niego, wytrzeszczając oczy, odwrócił głowę i wzrok jego padł na Objawienie.

Nie myślcie sobie jednak, że wystrojony osobnik go zauważył. Nie, szedł dalej przed siebie, poziewując i wywijając laseczką.

Sir Maurice obrócił się w siodle, by lepiej przyjrzeć się białym spodniom. Koń zastrzygł uszami i głośno parsknął.

- Niech mnie piekło pochłonie - mruknął sir Maurice.
- Co za bufon!

Pan Bancroft tymczasem kroczył dalej niespiesznie w kierunku rynku. Bardzo, ale to bardzo znudzony, przyszedł aż z Great Fittledean w poszukiwaniu ewentualnej rozrywki. Już niemal zrezygnował, gdy wreszcie los go wynagrodził.

Oto przez rynek przechodziła właśnie, z koszykiem w rękę i w bardzo twarzowym kapelusiku na złotych loczkach, panna Cleone. Szła drobnym kroczeniem, jakby nigdy nic, policzki miała ledwie muśnięte kolorem, a jej wielkie oczy były jeszcze bardziej modre niż zazwyczaj. Na jej widok pan Bancroft stracił natychmiast nieco ze swej ospałości. Można nawet powiedzieć, że oczy mu się zaświeciły.

Cleone kierowała się wprost na niego i widać już było wyraźnie, że pan Bancroft nie zamierza ustąpić jej z drogi. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby był bez reszty pochłonięty obserwacją kota po swojej lewej stronie. Cleone, która zaglądała do niesionego koszyka, nie zauważyła pana Bancrofta, póki się z nim nie zderzyła. Wydała wtedy okrzyk przerażenia, odskoczyła i zastygła z szeroko otwartymi oczami.

Pan Bancroft zaczął się gęsto tłumaczyć. Zerwał z głowy kapelusz i skłonił się przed panną, odchylając się coraz bardziej do tyłu na ugiętej lewej nodze.

- Och! Wielkie nieba! - wyjąkała Cleone, uroczo zarumieniona. - Czy to pan, panie Bancroft?

Pan Bancroft odparł, że owszem. Był do tego stopnia skromny, że nazwał siebie kompletnym niezdara, który śmiał narazić pannę na taką przykrość.

Cleone pokazała mu w uśmiechu dołeczki, dygnęła i chciała się oddalić. Na to jednak pan Bancroft absolutnie nie mógł pozwolić. Zaczął więc usilnie nalegać, że weźmie od niej koszyk, potwornie ciężki jak na jej śliczne rączki.

Cleone rzuciła mu zalotne spojrzenie.

- Przecież jestem dla pana obca - zauważyła.

- Obca? Czy to możliwe, pani, bym raz ujrzawszy, mógł zapomnieć twą słodką twarzyczkę?! - wykrzyknął pan Bancroft. - Te błękitne oczy wycisnęły głębokie piętno na mojej duszy, te słodkie usta...

- Ale - przerwała mu Cleone, zarumieniona - moje imię umknęło pańskiej pamięci. Nie jest tak, panie Bancroft? Niech pan się przyzna.

Pan Bancroft machnął chusteczką w wystudiowanym geście.

- Imię, też mi coś! Cóż to takiego? To twarz pozostaje na zawsze w pamięci, natomiast imiona rzeczywiście mogą jej umknąć. Przy tym, czy można oddać zwykłym imieniem tak piękny obraz? - Skłonił się lekko. - Imię pani powinno brzmieć Wenus, droga pani.

- Sir! - wykrzyknęła wstrząśnięta panna, po czym dorzuciła: - Jestem Cleone Charteris.

Pan Bancroft stanął na wysokości zadania i z miejsca odparł:

- Moja droga, czy pani myśli, że tego nie wiem?

Cleone potrząsnęła głową.

- Nie wiedział pan. Doprawdy jestem głęboko dotknięta, że mnie pan zapomniał.

- Zapomnieć panią? - rzucił Bancroft z wyrzutem. - Jak mógłbym zapomnieć tę małą nimfę, która tak mnie dręczyła w młodości? Wstyd, pani!

- Och, nie dręczyłam pana. Jak pan może tak mówić? To pan był zawsze taki nieznośny. Pamięta

pan, jak się razem bawiliśmy? Pan i Jennifer, ja i Philip, i James.

- Nasze zabawy pamiętam - odparł - ale Jennifer nie. Kim są Philip i James?

- Ma pan przeraźliwie krótką pamięć - zganiła go Cleone. - Oczywiście, że pan pamięta Philipa Jettana.

- Jak mógłbym zapamiętać kogokolwiek prócz twojej urodzivej osoby, pani? - zaprotestował Bancroft. - Czy mógłbym zauważyć czyjąkolwiek obecność, gdy pani tam była?

Cleone zachichotała. Komplementy pana Bancrofta wydały jej się bardzo zabawne i oryginalne.

Dowcipny z pana człowiek, sir. A oto i mój dom.

- Niestety! - Pan Bancroft westchnął. - Jakże żałuję, że nie o milę dalej. - Otworzył bramę i przytrzymał ją z ukłonem. - Czy mógłbym złożyć uszanowanie pani Charteris? - zapytał błagalnie.

- Jeżeli ma pan ochotę - odparła Cleone, spuszczać wzrok.

Panią Charteris zastali w holu, mówiącą coś jednemu ze służących. Na widok olśniewającego pana Bancrofta chrząknęła i zrobiła krok w tył.

Tymczasem on postąpił do przodu, z kapeluszem w ręku.

- Nie śmiem nawet liczyć na to, że mnie pani rozpozna - rzekł z ukłonem. - Henry Bancroft błaga o pozwolenie ucałowania pani rączki.

Pani Charteris omdlewającym gestem wyciągnęła rękę.

- Henry Bancroft? Dobry Boże, czy to naprawdę pan?

Bancroft podniósł do ust koniuszki jej palców i ucałował je szarmancko.

- Spotkałem pannę, Cleone - powiedziała. - Trudno sobie wyobrazić moje zaskoczenie i moją radość.

- Doprawdy - wyjąkała pani Charteris. - Spotkał pan... No tak, oczywiście.

- Pan Bancroft był tak uprzejmy, iż zechciał uwolnić mnie od koszyka - wyjaśniła jej córka. - Udaje też, że mnie pamięta, *maman*. Ale mnie nie oszuka.

- Nigdy nie było moim zamiarem oszukać panią, panno Cleone. Byłem szczery, gdy mówiłem, że pani obraz na zawsze zapadł mi w duszę.

- Zabierz go do ogrodu, Cleone - błagalnym tonem szepnęła pani Charteris. - Z pewnością nasz gość będzie chciał zobaczyć się z twoim papą.

Coś takiego nie przyszło panu Bancroftowi do głowy, przełknął to jednak z należytą gracją.

- Zechce mnie pani zaprowadzić, panno Cleone? - Ukłonił się i podał jej ramię.

Cleone położyła koniuszki palców na jego ręce.

- Oczywiście, sir. Papę znajdziemy przy różach. - Ruszyli do drzwi.

- Róże! - Pan Bancroft westchnął. - Jakże odpowiednie tło dla pani urody.

Cleone odpowiedziała cichym, gardłowym śmiechem.

- Są tłem dla urody papy, a nie mojej - dorzuciła.

Gdy dwadzieścia minut później sir Maurice wkroczył do rozarium, zastał Bancrofta i Cleone w altance, pogrążonych w intymnej rozmowie, podczas gdy pan Charteris ścinał obok przekwitłe róże.

Pan Charteris powitał gościa machnięciem wielkich nożyc.

- Witam, sir Maurice! Dzień mamy, w istocie, ciepły i przyjemny. Przyjechał pan, żeby się z nami zobaczyć?

Sir Maurice odciągnął go na bok.

- Spotkałem we wsi tego... pstrokatego pawia. Co się dzieje, u licha! Co on tu robi?

Pulchne oblicze pana Charterisa rozjaśnił przebiegły uśmiech, podejrzenie podobny do ironicznego grymasu.

- Widziałeś pan kiedyś coś podobnego? - Zachichotał
- To młody Bancroft; na wygnaniu.

- Tyle sam odgadłem. Na wygnaniu, powiadasz? Bufon!

Pan Charteris uniósł ręce.

- To bardzo elokwentny młodzieniec i, zapewniam pana, dżentelmen z ogładą.

- Gładki mydłek! - prychnął sir Maurice. - Co za piekielny tupet! - Odwrócił się i ruszył w stronę altanki.

Cleone wstała na jego widok.

- Och, sir Maurice. - Podeszła do niego. - Nie zauważyłam pana.

Starszy pan uniósł do ust jej rękę.

- Byłaś zajęta czym innym, moja droga. Zechcesz przedstawić mi twego kawalera?

Cleone skarciła go wzrokiem.

- Ależ sir Maurice! To pan Bancroft. Pan Bancroft - sir Maurice Jettan.

Pan Bancroft zamiótł ziemię kapeluszem i skłonił upudrowaną głowę.

- Jestem szczęśliwy, że mogę odnowić z panem znajomość, sir.

Sir Maurice kiwnął głową.

- Słyszałem, że zamierza pan zaszczyścić Fittledean swoją obecnością przez kilka tygodni - rzucił, wstrząsany tłumionym śmiechem. - Musi pan koniecznie poznać mojego syna, Philipa.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności - zapewnił go Bancroft. - Mam nadzieję uczynić to natychmiast. To wielkie szczęście móc spotykać starych przyjaciół, zwłaszcza gdy się dowiaduję, że pewna osoba - tu skłonił się w stronę Cleone - nie zapomniała o mnie.

- Hm! - rzucił enigmatycznie sir Maurice, po czym niespodziewanie obdarzył młodego człowieka uśmiechem. - Przyjechałem tu, żeby usilnie prosić pana Charterisa, by zechciał wyświadczyć mi ten zaszczyt i przybyć na kolację we środę...

- Z największą ochotą, z największą ochotą - przytaknął pan Charteris, który do nich dołączył.

- ...wraz z małżonką oraz Cleone. Przyjdiesz, moja droga? Rozmawiałem już z twoją *maman*.

Cleone ujęła go pod rękę.

- To bardzo miło z pana strony. Bardzo dziękuję.

Sir Maurice poklepał jej drobną dłoń, po czym zwrócił się do pana Bancrofta:

- Ufam, że pan również nas zaszczyci.

- To kolosalna uprzejmość z pańskiej strony, sir, spieszę więc przyjąć zaproszenie. Powiedział pan we środę, tak? Z największą przyjemnością!

- Cleone, moja droga, podaj mi ramię i podejdź ze mną do tego krzaka róż. Wybierzesz mi jedną do butonierki, jeśli łaska. Nie, nie ty, Charteris, ona to zrobi swoimi ślicznymi paluszkami.

Sir Maurice poprowadził Cleone na drugi koniec ogrodu, zostawiając niepokieszonego pana Bancrofta. Gdy znaleźli się poza zasięgiem głosu, starszy pan spojrział w zuchwałe błękitne oczy.

- Szelmutka z ciebie, moja miła.

Na twarzy Cleone ukazały się czarujące dołeczki.

- Nie rozumiem, dlaczego pan tak mówi, sir.

- Oczywiście, że nie - zgodził się sir Maurice. - Co to znów za sztuczki? Chcesz wzbudzić zazdrość w Philipie, he?

- Sir! Jak pan może?

- Moja kochana, wiem o tobie wszystko, bo jestem już stary. Musisz za wszelką cenę sprawić, by Philip poczuł zazdrość.

- Ale ja nigdy...

- Oczywiście, że nie. Sądzę jednak, że byłby to bardzo dobry plan. Chłopak jest zbyt zadufany w sobie i flegmatyczny.

- Zadufany w... Och, w istocie tak!

- Jeśli potrząsniesz Philipem od stóp do głów, zyskasz błogosławieństwo jego ojca.

Cleone spróbowała powściągnąć drżenie warg.

- Sir... jest pan... bardzo brzydkim... intrygantem.

- Nie mówmy już więcej o tym. A teraz wybierz mi różę, moja mała czarownico. Gdybym miał dziesięć lat mniej, sam wzbudziłbym zazdrość w Philipie.

Cleone wspięła się na palce i położyła mu ręce na ramionach.

- Jest pan bardzo, bardzo niedobry - powiedziała z powagą.

Sir Maurice pocałował ją w policzek.

- Tak samo jak ty, psotnico, i chcę cię mieć za córkę. Tak świetnie do siebie pasujemy.

Cleone spłonęła ognistym rumieńcem i ukryła twarz w pole jego zakietu.

Sir Maurice wracał do domu zatopiony w myślach. Od czasu do czasu śmiał się cicho do siebie, lecz gdy później spotkał się z synem, był jak zwykle poważny.

Philip, który cały ranek spędził w polu, wszedł do biblioteki ze szpicrutą w rękę i usiadł w fotelu.

- Dwie z wielkich łąk zostały już skoszone. Powinniśmy skończyć do przyszłego tygodnia. - Wyjrzał z niepokojem przez okno. - Mam nadzieję, że nie będzie padać.

Sir Maurice spojrzał z dezaprobatą na jego buty.

- Będzie - odparł ze spokojem.

- Nie byłbym tego taki pewny. Zeszłego lata siano całkiem szerniało. Czy był ojciec... hm... czy był ojciec we wsi?

- Owszem.

-A czy... czy wstąpił może ojciec do... Sharley House?

- Aha.

- Czy... czy przyjęli zaproszenie? - Philip z udaną obojętnością bawił się szpicrutą.

- Tak. Spotkałem też tego jegomościa, Bancrofta.
- O! - wyrwało się Phiłipowi. - A gdzie?
- W rozarium. - Sir Maurice ziewnął.
Szpicruta upadła na podłogę.
- Co? W rozarium? Czym rozarium?
- W Sharley House, oczywiście.
- Gdzie on... Co on tam robił?
- Siedział w altance i rozmawiał z Cleone.
- Niech go wszyscy diabli! - wykrzyknął Philip, jakby
ziściły się jego najgorsze obawy. - A jaki on jest?
- Sir Maurice przyjrzał mu się uważnie.
- Jest może twojego wzrostu... a może trochę wyższy.
Ma także... giętki język i ujmujące maniery.
- Och, czyżby? - W *głosie* Philipa *zabrzmiały* posep-
ne tony.
- On i Cleone odnawiali dawną przyjaźń.
- Doprawdy? Jaką znów dawną przyjaźń? Przecież on
nigdy nie był naszym przyjacielem!
- Rzeczywiście, chyba nie - przyznał sir Maurice z mi-
ną niewiniątka. - Jest jakieś sześć czy siedem lat starszy
od ciebie, prawda?
- Pięć! - rzucił z naciskiem Philip.
- Tylko pięć? Oczywiście wygląda i wydaje się starszy,
ale można to przypisać temu, że widział więcej świata.
- Na to Philip nie raczył odpowiedzieć, spojrzawszy tylko
podejrzliwie na ojca. Sir Maurice pozwolił, by upłynęły
dwie lub trzy minuty, po czym znów zaczął mówić:
- A tak przy okazji, Bancroft będzie u nas na kolacji
we środę.

Philip poderwał się, zirytowany.

- Co to ma znaczyć, sir? Będzie tu na kolacji, i to we środę? Chyba nie zaprosił ojciec tego człowieka?

- Ależ zaprosiłem - odparł dobrotliwie sir Maurice. - Bo i czemu nie?

- Czemu nie? A co nam do niego?

- To się jeszcze okaże. - Sir Maurice uśmiechnął się ukradkiem. - Bancroft wręcz marzy o spotkaniu z tobą.

Philip parsknął z oburzeniem, a zarazem pogardą.

- Podejrzewam, że raczej chce kontynuować swoją znajomość z Cl... z panną Cleone - rzucił.

- No cóż, ładniutka z niej bestyjka - stwierdził jego ojciec.

Philip spojrział na niego z oburzeniem.

- Niech no tylko zobaczę, że swoimi namolnymi atencjami naprzykrza się Cleone, to... to...

- Nie sądzę, by uważała, że jej się naprzykrza - zauważył sir Maurice.

Na takie dictum Philip wymaszerował z pokoju, pozostawiając ojca rozradowanego i zadowolonego z siebie.



Rozdział czwarty

W którym pojawiają się kłopoty

We środę, o wpół do szóstej, do salonu Dumy Jet tanów wprowadzono pana Henry'ego Bancrofta, który zgodnie ze swoją intencją, zjawił się ostatni.

Sir Maurice stał przed wygaszonym kominkiem i rozmawiał z panem Charterisem. Pani Charteris siedziała na sofie obok córki oraz Philipa. Gdy zaanonsowano pana Bancrofta, wszyscy spojrzeli ku drzwiom, a Philip wstał, po raz pierwszy boleśnie świadom, że frak leży na nim źle i że ma nieupudrowane włosy.

Pan Bancroft wyglądał wręcz bosko, cały w odcieniu lilaróż. Cleone pomyślała, że wystroił się jak na bal. Brylanty i rubiny iskrzyły się na sprzączkach oraz spince zdobiącej fular, a ponad wstążką, którą związywał perukę, połyskiwała brylantowa klamra. Przeszedł drobnym kroczeniem na środek salonu i skłonił się, kładąc upierścienioną dłoń na sercu.

Sir Maurice, niezwykle dostojny w czerni z dodatkiem fioletu, wyszedł mu naprzeciw.

- Ach, witam, panie Bancroft. Nie muszę chyba przedstawiać pana damom. - Tu przerwał, by gość mógł zwrócić omdlewający wzrok w kierunku sofy. - Mniemam też, że pan i mój syn nie jesteście sobie całkiem obcy?

Bancroft obrócił się na pięcie w stronę Philipa i znów się skłonił, powiewając lekko chusteczką.

- Towarzysz moich dawnych zabaw - rzekł. - Sługa uniżony, panie Jettan.

Philip odskłonił się niezgrabnie.

- Cieszę się, że znów pana widzę, sir - powiedział, zdecydowany traktować uprzejmie tego wysoce niepożądanego gościa. - Czy zamierza pan... hm... długo tu zabawić?

Bancroft rozłożył ręce.

- Sądziłem, że nie, teraz jednak - spojrzał na Cleone - sądzę że... może i tak! - Uśmiechnął się i otaksował wzrokiem Philipa. - Wie pan co, sir, przysiągłbym, że pana wcześniej nie znałem. Ogromnie pan wyrósł.

- Był pan o wiele starszy od Philipa, panie Bancroft - wtrąciła Cleone. - Albo od Jamesa czy ode mnie.

Bancroft natychmiast odwrócił się do Cleone.

- Dzięki za ten czas przeszły. Znaczy to, że przestałem już być taki wiekowy.

- A to dlaczego, sir? Czy stracił pan rachubę, licząc swoje lata? - zapytała Cleone.

- W pani towarzystwie, tak. Chyba trudno się temu dziwić?

- Och, pan mi niebywale schlebia, sir! - Cleone ukryła twarz za rozpostartym wachlarzem.

- Nie schlebiam, tylko słusznie chwale.

- Fe! - odezwała się pani Charteris. - Jak może pan tak mówić, panie Bancroft? Gotów pan obudzić próżność w mojej córce.

- Próżność nie idzie w parze z taką urodą jak u córki, szanowna pani - odparł Bancroft. Dostrzegł, że stojący po prawej stronie Philip poczerwieniał, i poczuł satysfakcję. Po chwili jego uwagę przykuł sir Maurice, więc się odwrócił.

Philip podszedł do sofy, stanął z tyłu, z ręką na oparciu i nachylił się zaborczo nad Cleone.

- Wyfiokowany blagier! - mruknął jej do ucha.

Cleone uśmiechnęła się i zapytała:

- Dlaczego, sir? Czyżby był pan innego zdania o mojej urodzie?

Ponieważ Philipowi odebrało mowę, tonem pełnym wyrzutu dodała:

- Czyżby chciał pan sprawić mi afront?

Philip zaczerwienił się aż po korzonki włosów i odezwał się jeszcze ciszej:

- Wiesz dobrze.... co myślę o tobie, Cleone, ale nie potrafię ubrać tego, co czuję, w piękne słówka.

Cleone objęła czułym spojrzeniem Philipa.

- Mógłbyś chociaż spróbować - szepnęła.

- Co? Tutaj? Nie będę wysławiał publicznie twoich wdzięków. - Parsknął śmiechem. - Naprawdę tego byś chciała?

Czułość zgasła w jej wzroku.

- Nie. Chciałabym, żebyś się nie nachylał nade mną tak nisko, bo mi przeszkadzasz.

Philip natychmiast się wyprostował, ale nie ruszył się z miejsca. Bancroft napotkał jego spojrzenie, a widząc w nim wyzwanie, z uśmiechem obrócił w palcach monokl.

Gdy lokaj obwieścił, że podano kolację, Cleone rozmawiała z Bancroftem. Było więc całkiem naturalne, że to on podał jej ramię i poprowadził do stołu. Philip uznał to jednak za gest wysoce natrętny i bezczelny. Sir Maurice zaopiekował się panią Charteris, a pan Charteris z Philipem zamykali pochod.

Z punktu widzenia Philipa kolację trudno było uznać za udaną. Cleone i Bancroft siedzieli obok siebie, pograżeni w rozmowie. Philip natomiast, usadowiony na końcu stołu, miał po prawej Bancrofta, a po lewej panna Charterisa, z którym wdał się w poważną konwersację. Od czasu do czasu Bancroft wciągał go do dyskusji, a raz czy dwa pani Charteris i sir Maurice zwrócili się do niego, Cleone jednak zdawała się go w ogóle nie dostrzegać. Była też bardzo rozbawiona, oczy jej lśniły i rzucały iskry, a policzki co chwila okrywały się bladym rumieńcem. Wszystkie dowcipy pana Bancrofta kwitowała rozkosznym śmiechem.

Kolacja trwała w najlepsze, a Philip coraz dotkliwiej zdawał sobie sprawę ze swoich braków. Gdy zobaczył białe, upierścienione dłonie pana Bancrofta, o wypolerowanych paznokciach, chcąc nie chcąc, musiał je porównać z własnymi - silnymi, opalonymi. Przyjrzał im

się ukradkiem. Nie, były znacznie ładniejsze niż ręce tego gogusia, za to paznokcie... wstyd! A przecież tylko fireyki, takie jak Bancroft, polerują sobie paznokcie.

Atłasowy frak pana Bancrofta połyskiwał liliowo w świetle kandelabrow. Jakże ciasno opinał mu ramiona! Jak ciężkie zdobiły go koronki i jak fałdziste miał poły! Strój godny dworskiego balu. Philip mimowolnie wyprostował plecy. Te pienne koronki... bardziej przystojące kobiecie niż mężczyźnie. Ten monokl, ta nieznośna afektacja. Te klejnoty - pysznić się nimi na wsi?! Upudrowany, umalowany goguś, rozpytlowany i cały w lansadach. Jak Cleone może znosić jego bliskość? Te jego tłuste, miękkie ręce i ciało spryskane jakimś mdłym zapachem?

Bancroft mówił właśnie o mieście i jego urokach, żonglując nazwiskami tej czy innej znakomitości. Cleone wprost spijała z jego ust te głupie gładkie słówka. Te wszystkie mimowolne wzmianki o podbojach - zawołowane aluzje do jego własnych wdzięków. Małpa! Łaszący się, wystrojony małpiszon! Nagle Philip poczuł gwałtowną chęć, by cisnąć swoim kieliszkiem w Bancrofta. Stłumił w sobie jednak ten szaleńczy impuls i zmusił się do słuchania pana Charterisa.

Po powrocie do salonu było jeszcze gorzej. Sir Maurice i poprosił Cleone, by zechciała zaśpiewać, a ona podeszła do szpinetu. Bancroft stanął oczywiście przy instrumencie, by wybierać nuty, przewracać strony i spoglądać na nią z jawnym uwielbieniem. Niech go piekło pochłonie! Niech go wszyscy diabli!

Przyjęcie dobiegło wreszcie końca i Philip został sam na sam z ojcem. Sir Maurice podparł głowę na łokciu i przyglądał się synowi z lekkim rozbawieniem. Philip milczał przez dłuższą chwilę, by w końcu oderwać wzrok od okna i spojrzeć na ojca.

- Takim więc chciałbyś mnie widzieć? - powiedział z goryczą. - Próżnym, wypacykowanym bufonem, łażącym się i łypiącym pożądlivym okiem na każdą kobietę, która przetnie mu drogę.

- Bynajmniej. - Sir Maurice otworzył tabakierkę. - To ostatnia rzecz, jakiej bym dla ciebie pragnął.

- Mówiłeś przecież...

- Mówiłem, że chciałbym cię widzieć idealnym dżentelmenem, obytym w świecie.

-A więc...?

- Czyżbyś uważał pana Bancrofta za ideał dżentelmena, Philipie?

-Ja? Nie! To ty...

Sir Maurice uniósł wypielegnowaną dłoń.

- O, za pozwoleniem. To ty uznałeś, że tak pomyślałem. Pan Bancroft jest, jak to słusznie zauważyłeś, próżnym, wypacykowanym bufonem. Małpuje on jednak, na ile jest w stanie, nie tylko mnie, ale i odgrywa człowieka, jakim chciałbym, abyś ty się stał. Ty jesteś wiejskim prostaczkim, mój drogi, a on malowaną lałą. Postaraj się zostać kimś pośrednim pomiędzy tymi dwoma typami ludzkimi.

- Wolałbym być tym, kim jestem.

- To znaczy samolubnym niewdzięcznikiem.

- Ojczy!

Sir Maurice wstał, wspierając się na lasce.

- Zostań, jaki jesteś, mój synu, ale zastanów się, którego będzie wołała Cleone. Tego, który składa jej wdzięczne hołdy i słodkimi słówkami uwodzi jej uszy? Czy tego, który zapomina przy niej języka w gębie, który nie dba o siebie, i traktuje ją nie jak piękną młodą dziewczynę, ale jak swoją ewidentną własność?

Philip pospiesznie odpowiedział:

- Cleone postąpi... jak jej się będzie podobało. Nie należy ona jednak do osób skłonnych przeceniać sztuczki takiego Bancrofta i jemu podobnych.

- Ani do tych, które chciałyby lekceważyć niewygodę wynikającą z mariażu z kimś, kto przywiązany jest tylko do ziemi i swoich własnych przyjemności - odrzekł sir Maurice.

Philip spojrział na ojca z niemym wyrzutem.

- Uważasz, że jestem samolubny, bo nie chcę zaakceptować tego, czym pogardzam?

- Więcej jeszcze. Jesteś ograniczony, bo pogardzasz tym, czego nie znasz.

- Dziękuję, ojczy. - Młodzieńczy głos przepojony był goryczą. - Ja miałbym być taką pstrą papugą?! Powiadam ojcu, Cleone musi mnie wziąć takim, jaki jestem.

- Albo cię zostawi takim, jaki jesteś - powiedział łagodnie sir Maurice.

- Czy to ostrzeżenie?

- Ty musisz to osądzić, moje dziecko. A teraz chcę się już położyć. - Sir Maurice spojrział wymownie na syna.

Philip podszedł do ojca.

- Dobranoc, sir.

Sir Maurice wyciągnął z uśmiechem rękę.

- Dobranoc, mój synu.

Philip ucałował jego kościste palce.

Tydzień, który po tym nastąpił, pełen był przykrych, choć błahych zdarzeń. Pan Bancroft częściej przebywał w Little Fittledean niż w domu, a najczęściej bawił w Sharley House. Spotkał tam naszego Philipa, i to niejeden raz, zachowującego się zaborczo i wrogo. Śmiał się wtedy cicho i próbował wciągnąć Philipa w słowny pojedynk. Język Philipa był jednak sztywny i oporny. Pan Bancroft naigrawał się więc z niego w duchu i odnowił swoje atencje względem Cleone.

Sama zaś Cleone żyła w dziwnym zamęcie ducha. Pan Bancroft miał wiele cech, które jej się nie podobały. Sądzę nawet, że nigdy jej przez myśl nie przeszło, by go poślubić. Na szczęście zresztą, bo pan Bancroft był jak najdalszy od takich zamiarów. Kobiety lubią jednak hołdy i ogniste, wykwintne konkury. Dlatego Cleone prowadziła grę z panem Bancroftem, ale nie przestała też myśleć

Philipie, który działał jej jednak na nerwy. Te jego pozy posiadacza, gniewne spojrzenia pełne wyrzutu obudziły w niej kokietkę. Poczucie, że ktoś ma nad nią władzę, podniecało ją, ale władza, która chciała wziąć wszystko, nie dając nic w zamian, wydawała jej się irytująca.

Wiedziała, że Philip kocha ją do szaleństwa, ale i to wiedziała, że będzie po niej oczekiwał, iż ugnie się przed

jego wolą. On się nigdy nie zmieni; to ona będzie musiała dostosować się do jego życzeń. Philip uparł się pozostać takim, jaki jest, czyli wiernym, lecz nudnym. Ona zaś pragnęła tego wszystkiego, czym on pogardzał: życia, radości, eleganckiego towarzystwa i błahej rozrywki. Zaczęła rozważać starannie tę kwestię - może nieco zbyt starannie jak na dziewczynę, która sądzi, że jest zakochana. Chciała Philipa, a zarazem go nie chciała. Gdyby miał pozostać takim, jaki jest - woli o nim nie słyszeć. Gdyby jednak się zmienił zgodnie z jej życzeniem, mógłby ją dostać. Na razie nie należała do żadnego mężczyzny i żaden mężczyzna nie miał prawa jej strofować. Philip popełnił w swoich zalotach ten błąd, że nie krył przed nią, iż uważa ją za swoją własność. W ten sposób mimowolnie ukręcił sobie sznur na szyję.

Pan Bancroft, choć próżny i afektowany, gładkimi frazami i elegancją przyćmił Philipa z jego szorstką manierą. Philip zamykał się w uporczywym milczeniu, pozwalając panu Bancroftowi jaśnieć w glorii zwycięzcy. Mężczyzna, którego Cleone zdecyduje się poślubić, będzie musiał każdemu sprostać, i to zarówno słowem, jak i ostrzem. Dlatego Cleone nie przestawała uśmiechać się do pana Bancrofta.

Pod koniec tygodnia miało miejsce przykre zdarzenie. W ogrodzie Sharley House, w obecności Cleone, Philip stał się obiektem zawołanych kpin i niemal jawnych szyderstw pana Bancrofta, który, sam grzeszny i uśmiechnięty, nie przestawał naigrawać się z braku ogłady młodzieńca.

Cleone rozpoznała błysk w oku Philipa i, lekko zartwożona, próbowała zażegnać burzę. Gdy w chwilę później postanowiła wrócić do domu, Philip zatrzymał idącego za nią pana Bancrofta.

- Jedno słowo, sir, za pozwoleniem.

Bancroft odwrócił się, unosząc brwi. Usta wykrzywił mu pogardliwy grymas.

Philip stał dumnie wyprostowany, z uniesioną głową.

- Pan pozwolił sobie ze mnie szydzić...

- Ja? - przerwał mu przeciągle Bancroft. - Mój drogi panie!

- ...a ja tego nienawidzę. Protestuję przeciwko takim manierom.

Brwi Bancrofta uniosły się jeszcze wyżej.

- Pan protestuje... - zawtórował cicho.

- Ufam, że wyraziłem się jasno - warknął Philip.

Bancroft uniosł lornion i zlustrował Philipa od stóp do głów.

- Czy to możliwe, że zażąda pan satysfakcji? - rzucił kpiącym tonem.

- Więcej nawet - odparował Philip. - To pewne.

Pan Bancroft znów zmierzył go pogardliwym wzrokiem i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie biję się z uczniakami.

Philip oblał się rumieńcem.

- Może dlatego, że się pan boi - rzucił, starając się powściągnąć gniew.

- Może - pokiwał głową Bancroft. - A jednak nie mam reputacji tchórza.

Philip zaatakował go jak sęp:

- O ile mi wiadomo, ma pan reputację libertyna!

Teraz z kolei to Bancroft poczerwieniał.

- O! Bardzo przepraszam!

-I jest za co. - Philip skłonił się, po raz pierwszy od wielu dni rozbawiony.

- Ty... bezczelny chłystku! - wysapał Bancroft.

- Wolę to, niż być bezczelnym wypacykowanym fir-cykiem.

Pod grubą warstwą pudru twarz pana Bancrofta płonęła.

- Sam pan tego chciał, panie Jettan. Spotkam się z panem. Kiedy i gdzie tylko pan sobie życzy.

Philip poklepał ręką szpady, a pan Bancroft dopiero wtedy zauważył, że młody Jettan nosi szpadę.

- Panie Bancroft, zauważyłem, że ma pan zwyczaj nosić szpadę, więc, przezornie, i ja wziąłem swoją. „Kiedy” to teraz, a „gdzie” to tutaj! - Wskazał zagajnik za otaczającym ogród żywopłotem. Efekt był bardzo teatralny i Philip poczuł zadowolenie.

Bancroft prychnął pogardliwie:

- Dosyć to prostackie, panie Jettan. Czy proponuje pan, by zrezygnować z tak niepotrzebnych formalności, jak sekundanci?

- Myślę, że możemy sobie zaufać - stwierdził wspinałomyślnie Philip.

- Prowadź pan. - Bancroft skłonił się uprzejmie.

To, co później nastąpiło, nie wyglądało już tak elegancko. Bancroft bardzo wprawnie władał szpadą, Philip natomiast jeszcze nigdy w życiu się nie bił. Fechtunek ni-

gdy go nie interesował i sir Maurice dawno już stracił nadzieję, że zdoła nauczyć go czegoś więcej, oprócz podstaw. Philip był jednak bardzo rozgniewany i nieostrożny i zadawał pchnięcia tak gwałtownie i po wariacku, że Bancroft, który zamierzał się z nim trochę zabawić, ani się obejrzał, jak otrzymał sztych w ramię. Potem walczył już uważniej i szybko trafił celnie Philipa powyżej łokcia. Ręka dzierżąca oręż zdrząła, szpada upadła na ziemię. Bancroft otarł chusteczką swoją broń, schował ją do pochwy i ukłonił się.

- Niech to będzie dla pana nauczka - powiedział, po czym się oddalił, zanim Philip zdołał podnieść szpadę.

Dwadzieścia minut później Philip wkroczył do holu Sharley House, z ramieniem owiązanym chusteczką, i zapytał o pannę Cleone. Gdy mu powiedziano, że jest w saloniku, pomaszerował wprost do niej.

Na widok jego skaleczonego ramienia Cleone wydała cichy okrzyk i poderwała się z fotela.

- Och! Co... co ci się stało? Jesteś ranny!

- To drobnostka. Nie ma o czym mówić - odparł Philip. - Odpowiedz mi szczerze, Cleone. Kim jest dla ciebie ten jegomość?

Cleone znów usiadła. Biedny Philip nigdy nie był bliższy klęski.

- Absolutnie pana nie rozumiem - odparła oficjalnym tonem.

- Czy kochasz tego... tego nadętego durnia? - zapytał Philip.

- Co za impertynencja! - wykrzyknęła Cleone. - Kto dał panu prawo, by pytać mnie o takie rzeczy?

- Kochasz go? - powtórzył Philip, marszcząc groźnie brwi.

- Nie, nie kocham! To znaczy... Och, jak pan śmie!

Philip podszedł bliżej. Srogi mars zniknął z jego czoła.

- Cleone... czy ty... czy mogłabyś mnie... pokochać? Cleone milczała.

Philip podszedł jeszcze bliżej i przemówił schrypniętym głosem:

- Wyjdiesz za mnie?

Nadal cisza, ale błękitne oczy spoglądały teraz w dół.

- Cleone! - wybuchnął Philip - Nie chcesz chyba jakiegoś... mizdrzącego się, upudrowanego... franta?

- Nie chcę... nieokrzesanego... wiejskiego... prostaka - zabrzmiała okrutna odpowiedź.

Philip zachnął się.

- Tak o mnie myślisz?

Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że łzy napłynęły Cleone do oczu.

- Ja... nie... ja... och, Philipie, nie mogłabym poślubić cię takim, jaki jesteś!

- Nie? - zapytał bezdźwięcznie. - Gdybym jednak stał się podobny do... twego ideału... mogłabyś wyjść za mnie?

- Ja... ach, nie powinieneś... zadawać takich pytań.

- Nie chcesz mnie takim, jaki jestem. Nie chcesz miłości szczerego, uczciwego mężczyzny. Pragniesz gładkich

komplementów jakiegoś eleganta. Jeżeli nauczę się być... elegantem, wtedy zgodzisz się mnie poślubić. W takim razie się nauczę. Nie będę cię już więcej zanudzał swoją szczerą miłością. Pojadę do Londynu... i pewnego dnia wrócę. Żegnaj.

- Och, mój Boże - zająknęła się Cleone. - A więc... wyjeżdżasz do miasta?

- Tak, skoro takie jest twoje życzenie.

Podawała mu rękę, a kiedy ją ucałował, jej palce ścisnęły przelotnie jego dłoń.

- Wróc do mnie - wyszeptwała.

Philip skłonił się, wciąż trzymając jej rękę, a potem puścił ją bez słowa i odmaszerował z godnością. Efekt miał być w zamierzeniu tragiczny, ale ledwie drzwi się za nim zamknęły, Cleone wybuchnęła histerycznym śmiechem. Była tym wszystkim zdumiona i lekko zaniepokojona.



Rozdział piąty

W którym Philip dokonuje odkrycia, że jego wuj jest znacznie bardziej sympatyczny niż jego ojciec

Przez całą drogę do domu Philipem targały sprzeczne uczucia. Był zły na Cleone, ubodła go też jej płochość. Jednak była zarazem taka urocza i wciąż nieskończenie upragniona. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest mu potrzebna do szczęścia. Ona jednak nie poślubi go, póki on się nie zmieni i nie nauczy się być takim jak Bancroft. A więc o to jej chodzi! Nie kocha go takim, jaki jest; chce ogłady, falbanek i koronek. W takim razie będzie je miała, uznał, zaciskając usta.

Był zły; nawet bardzo. A potem pomyślał o ojcu i zawrzał jeszcze większym gniewem. Jakie prawo mieli ci dwoje, by zmuszać go, aby zmienił się w kogoś tak fałszywego, bałamutnego i niemęskiego? Ojciec będzie z pewnością uradowany, kiedy mu powie, że zamierza „zostać džentelmenem”. Nawet jemu nie jest potrzebny Philip taki, jak w tej chwili. Cóż, dostaną, czego chcą - i da Bóg, gorzko tego pożałują.

W przypływie żalu nad samym sobą pomyślał, jak szczerze kocha te dwie osoby. Nie chciał, by któreś z nich się zmieniło; kochał ich takimi, jakimi są, tymczasem oni... Poczuł się bardzo nieszczęśliwy i zmalretowany. Dręczyło go przy tym jeszcze jedno. Postawił sobie za cel ukaranie Bancrofta, a tymczasem to Bancroft go ukarał. Aż przykro pomyśleć, że Bancroft jest nie tylko mistrzem słowa, ale i szpady - a on, Philip, ani tego, ani tego. Rozważał w myślach tę kwestię, rozdrażniony i zasepiony. W takim nastroju wrócił do domu, do sir Mauricea.

Znalazł go na tarasie, czytającego Juwenala*. Oderwał wzrok od lektury i spostrzegł temblak na ręce syna. Nie rzekł nic, ale oczy mu na moment błysnęły.

Philip opadł na ławkę.

- No więc, starliśmy się z Bancroftem, ojcze.

- Przeczuwałem, że do tego dojdzie. - Sir Maurice pokiwiał głową.

- Co więcej... - Philip mówił z trudem - Cleone nie chce mnie... takim, jaki jestem. - Spojrzał z goryczą na ojca. - Jak już przepowiedziałeś, milsze jej są względy kogoś takiego jak Bancroft.

- A skoro tak?

Philip milczał.

- A skoro tak, pan Jettan składa broń. Pięknie, pięknie - stwierdził sir Maurice.

- Czy powiedziałem coś takiego?! - rzucił ostro Philip. - Cleone pragnie mieć dwornego wielbiciela i bę-

* Juvenalis ok.60 - 127, jeden z najwybitniejszych satyryków rzymskich

dzie go miała! Powiedziałem, że do niej nie wrócę, póki nie stanę się taki, jak by sobie życzyła - albo tak jej się przynajmniej wydaje. Udowodnię i tobie, i jej, że nie jestem nieokrzesanym prostakiem, za jakiego mnie macie, który nie nadaje się do niczego lepszego niż uprawa roli - dorzucił, naśladując głos ojca. - Nauczę się być wykwintnym fircykiem, jakim chcielibyście mnie widzieć. Żadne z was nie będzie już więcej musiało cierpieć, oglądając mnie takim, jaki jestem!

- Proszę, proszę, co za gniewny ton - odrzekł sir Maurice. - I dlatego wybierasz się do Londynu, mój chłopcze? Do wuja?

Philip wzruszył ramionami.

- Do niego albo do kogoś innego. Wszystko mi jedno.

- W tak minorowym nastroju nie podejmuje się czynów bohaterskich - powiedział z powagą sir Maurice, ale oczy mu się śmiały. - Musisz się w to zaangażować całym sercem i duszą.

Philip wyciągnął rękę i zatoczył nią koło.

- Moje serce jest tutaj, w tym domu.

- Jest również w Sharley House - cierpko zauważył sir Maurice.

- To prawda, moje serce jest w Sharley House! Niestety, miałem wątpliwą przyjemność dowiedzieć się, że Cleone dba o mnie nie bardziej niż o zeszłoroczny śnieg. Stroi sobie żarty i uczyniła ze mnie obiekt swoich kpinek.

- Tere-fere! - prychnął sir Maurice. - Po co, wobec tego, chcesz jechać do Londynu?

- Aby jej pokazać, że nie jestem taką zakutą pałą, za jaką mnie uważa - odparł Philip i odmaszerował, a sir Maurice znów wziął się za Juwenala.

Philip wyruszył do Londynu dopiero, gdy zagoiło mu się ramię. Pożegnał się serdecznie z ojcem, który udzielił mu wielu rad, dał listy polecające i na koniec pobłogosławił. Nie widział się z Cleone, która już po jego wyjeździe przyszła do Dumy i długo trzymała sir Maurice'a za rękę. Uroniła też kilka łez i trochę się pośmiała. Co zaś do sir Maurice'a - ten wciąż łajał się w duchu za to, że jest starym, sentymentalnym głupcem. Prawda bowiem wyglądała tak, że po wyjeździe Philipa poczuł pustkę, którą mógł wypełnić jedynie powrót syna.

Tom jadł właśnie śniadanie, gdy zaanonsowano przybycie bratanka. Było już wprawdzie południe, ale Tom miał za sobą męczącą noc. Philip wszedł do pokoju, ściągany ponurym wzrokiem Moggata. Był brudny po długiej podróży i zeszywniały od siedzenia w siodle. A choć zjawił się niezapowiedziany, wuj nie okazał na jego widok najmniejszego zdziwienia.

- Mój chłopcze, co za miłe spotkanie. Co cię tu sprowadza?

Philip opadł na krzesło.

- Powiem ci, kiedy się najem. - Uśmiechnął się. - Ta polędwica cieszy moje oko.

- Kolor może mało artystyczny - stwierdził Tom - za to wielce apetyczny.

- Artystyczny? Do diabła z nim! - rzekł Philip i rzucił się

na połędwicę, by po chwili zmarszczyć brwi. - Hm. Nie, to jednak nieprzyjemna kombinacja: czerwony z brązowym.

Tom spojrział na niego ze zdumieniem.

- Czy kolor jest dla ciebie aż taki ważny?

- Nie, ani trochę - odparł Philip i znów wziął się z ochotą za befsztyk.

- Jedz, jedz - zachęcił Tom. - A jak się miewa twój ojciec?

- Całkiem dobrze, przesyła ci pozdrowienia.

Po tej wymianie zdań Tom zabrał się za stos korespondencji, leżący obok jego talerza. Kiedy się z nim uporał, Philip właśnie skończył się pożywiać.

Tom odsunął się z krzesłem od stołu.

- No tak, cóż *cię* tu sprowadza? Moggat, hultaju, już *cię* tu nie ma!

Philip poczekał, aż drzwi zamkną się za plecami służącego.

- Muszę się nauczyć... być dżentelmenem - odparł.

Tom wbił w niego wzrok, a potem wybuchnął śmiechem.

- Na Boga, już do tego doszło?

- Nie rozumiem, co wuj ma na myśli - rzucił Philip ze złością.

- Więc nie chodzi o jakąś spódniczkę?

- Wuju, byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał... zamilknąć.

Tom stłumił śmiech.

- Będę milczał jak grób. A jak zamierzasz rozwiązać tę kwestię?

- To właśnie chciałbym wiedzieć.

- I to ja mam cię tego nauczyć?

Philip zawahał się.

- Może najlepiej byłoby... nauczyć się tego... same-
mu? - zapytał niepewnie.

- A czego, konkretnie, chciałbyś się nauczyć?

- Jak być dżentelmenem. Chyba już mówiłem.

- Pleciesz androny! A kim teraz jesteś?

Philipowi zadrgały usta.

- Wiem to z najbardziej wiarygodnych źródeł, że je-
stem niezdarnym, tępym hreczkosiejem.

Wuj przyjrzał mu się życzliwie.

- Mała jędza! - zawyrokował.

- Słucham? - rzucił zimno Philip.

- Nic, nic - odparł pospiesznie Tom. - Maurice zno-
wu wziął się za ciebie? Mój chłopcze, zejdź ze swojej
wieży i miej trochę rozumu, na miłość boską. Czego ty
chcesz?

- Chcę albo raczej to oni... to on... chce, bym wie-
dział, jak się ubierać, przejść przez pokój, bawić się sło-
wami i kochać kobiety, jak się kłaniać...

- Och, basta, dosyć, dosyć! - wykrzyknął Tom. - Mam
już pełny pogład. Nie będzie to łatwe zadanie, mój chłop-
cze. Nauczenie się tego zajmie ci całe lata.

- Wydaje mi się, że wuj jest pesymistą - stwierdził
Philip. - Zamierzam zgłębić wszystkie te tajniki... w je-
den rok.

- Podoba mi się twój charakter - przyznał Tom. - Na-
lej sobie jeszcze trochę piwa i opowiedz mi całą historię.

Philip chętnie skorzystał z tej rady i otworzył zbolęte serce przed wyrozumiałym i doświadczonym stryjem; Słuchając go, Tom starał się powstrzymać od śmiechu choć od czasu do czasu wstrząsał nim wewnętrzny paroksyzm. Gdy bratanek dotarł do końca opowieści i spojrzął na niego ponuro, przybrał minę mędrca i stukając wypolerowanym paznokciem po zębach, powiedział:

- Moim zdaniem, jesteś najlepszy ze wszystkich Jettanów, Philipie. Wydaje mi się jednak, że tam, u ciebie, nie doceniają twoich kryształowych zalet...

- Ależ oni nie mają nic przeciwko moim zaletom! Im chodzi raczej o to, że nie mam wad.

- Nie przerywaj mi, chłopcze. Uważają cię za szlachetnego. .. jakiegoż to słowa użyłeś? Hreczkosieja? Co za paradne określenie! Wątpię, czy potrafisz zabłysnąć w towarzystwie? Naszym zadaniem będzie udowodnić im, że są w błędzie. Będziesz musiał ich, chłopcze, zadziwić.

- Wątpię, czy mi się to uda. - Philip westchnął z bladym uśmiechem.

Tom pograżył się w myślach, a potem obrzucił wzrokiem bratanka.

- Masz świetną figurę i zgrabne nogi. Pokaż ręce.

Philip wyciągnął je przed siebie ze śmiechem.

- Hm. Trochę starania i nie znajdziesz lepszych. Jak wszyscy Jettanowie, jesteś całkiem niebrzydki, żeby nie rzec, przystojny.

- Naprawdę? - zdumiał się Philip. - Nie wiedziałem.

- To teraz już wiesz. Wykapany ojciec za swoich mło-

dych lat. Co to były za czasy! Zanim się roztyłem - dorzucił ze smutkiem. - Ale odbiegłem od tematu. A więc to sprawka Maurice'a i tej spódniczki... Jak na imię tej dziewczynie?

- Na jakiej podstawie sądzisz...

- Nie bądź głupi, chłopcze. To ta ładniutka dzierlatka, prawda? Charlotte. Nie, a niech to! Jakieś pogańskie imię!

- Cleone - poddał się Philip.

- Tak. Cleone. Zatem Maurice i Cleone myślą, że zyskasz nieco stylu i ogłady. Wobec tego musisz przejść samego siebie.

- Wątpię, czy potrafię - powiedział Philip. -I, prawdę mówiąc, nie zamierzam.

- No to po rozmowie - zawyrokował Tom i odchylił się na krześle.

- Nie, nie! Musisz mi pomóc!

Stryj spojrzał na niego surowo.

- Wobec tego musisz się oddać w moje ręce.

- Tak, ale..

- Całkowicie i bez reszty. - Tom był nieugięty.

- Och, dobrze już. - Philip zgarbił się, zrezygnowany.

Pulchna, dobroduszna twarz, utraciła srogi wyraz. Tom znowu zatopił się w myślach.

- Paryż! - odezwał się po chwili, wprawiając bratanka w osłupienie. - Musisz tam pojechać - wyjaśnił.

Philip był przerażony.

- Co! Do Paryża? Nigdy w życiu!

- Skoro tak, umywam ręce.

- Tom, zastanów się. Ja tak słabo znam francuski.

- Jeszcze jeden powód...

- Ale., ale... a niech to! Mówię nie, i już!

Tom ziewnął.

- Jak sobie chcesz.

- Dlaczego miałbym jechać do Paryża? - spytał Philip, coraz bardziej przygnębiony.

- Gbur z ciebie i prostak - zganił go Tom. - Gdzie indziej miałbyś pojechać?

- A nie mógłbym... Jestem pewny, że mógłbym się tego nauczyć i tutaj.

- Żeby wszyscy twoi przyjaciele tręcali się łokciami, patrząc, jak się zmieniasz?

O tym Philip nie pomyślał, zamilkł więc, zgębniony.

- Do Paryża - podsumował Tom. - Jeszcze w tym tygodniu. Na szczęście masz więcej pieniędzy niż ci potrzeba, nie będziesz musiał zaciskać pasa. Zabiorę cię, ubiorę i wprowadzę w towarzystwo.

- Zrobisz to? To piekielnie miło z twojej strony, stryju.

- Owszem - przytaknął Tom. - Ale klnę się, że i ja znajdę tam sobie rozrywkę. - Zaśmiał się cicho. - Ani słowa ojcu czy komukolwiek. Znikniesz, a kiedy znów się pojawisz, nikt cię nie pozna.

Ta oszałamiająca perspektywa nie przypadła Philipowi do gustu. Westchnął ciężko.

- Muszę chyba tak zrobić. Ale... - Wstał i podszedł do okna. - To jest właśnie to, czym gardzę i czym się brzydzę. Jednak sama miłość, jak widać, nie wystarczy.

No cóż, to się jeszcze okaże. - Wsunął ręce głęboko do kieszeni. - Mam się stać kimś, kto nie jest ani godny szacunku, ani szlachetny. Ona... on... oni... nie dbają o reputację człowieka czy jego charakter. Trzeba mówić do nich przymilnie, czarować ich uszy błahymi komplementami, a oczy pięknem jedwabiów i atłasów. A reszta się nie liczy. Pfuj!

- Widzę, że wzięłeś to sobie do serca - powiedział stryj. - Niestety, one wszystkie są takie same, chłopcze. Bóg z nimi.

- Myślałem, że ta będzie inna.

- Tym większy z ciebie głupiec - stwierdził cynicznie Tom.



Rozdział szósty

W którym następuje początek przemian

Philip stał pośrodku pokoju, perrorując zawzięcie. Kłęczący przed nim lokaj zakładał mu do krótkich spodni pończochy ze złotym szlaczkiem. Wymuskany elegant w średnim wieku po raz siódmy poprawiał mu żabot z koronki brabanckiej. Marszczył przy tym czoło, a z jego ust płynął wartki potok przekleństw w języku francuskim. Jednocześnie pan Thomas Jettan nadawał paznokciom prawej ręki Philipa ostateczny, trwały szlif. A Philip, nieszczęsny ponad miarę, na próżno protestował.

Francois przysiadł na piętach i z zachwytem popatrzył na nogi Philipa.

- Co za doskonałość, *monsieur!* - tłumaczył z silnym akcentem francuskim. - Idealna łydka, *monsieur!* Co za piękna noga!

Philip spróbował zerknąć w dół, by w rewanżu usłyszeć niecierpliwy okrzyk z ust dżentelmena, zmagającego się teraz z jego fontaziem.

- *Tais-toi, imbecile!** Jak mam zawiązać ci fontaź, skoro się tak wiercisz i kręcisz? Broda do góry, Philipie!

- Ale, *monsieur*...

- Chcesz być piękny, to cierp! - odparł surowo markiz.

- Na to mi wygląda - stwierdził Philip ze złością. - Tom, na Boga, skończ już wreszcie!

Stryj zaśmiał się cicho.

- Nie bój się, już skończyłem. Jean, co za cudo!

Markiz de Chateau-Banvau cofnął się o krok, by obejrzeć swoje dzieło.

- Nie jestem do końca usatysfakcjonowany - stwierdził po namyśle.

- Nie, nie, *monsieur* - zaprotestował Philip. - Z pewnością jest idealnie!

Markiz nie zwrócił jednak na niego najmniejszej uwagi. Raz jeszcze jego zręczne palce zanurzyły się w fałdy miękkiej koronki. Nagle oczy mu się zaświeciły.

- Tak, teraz jest dobrze. Francois, szafirowa szpilka. Migiem!

Służący podał ją i obaj wraz z Tomem patrzyli w napięciu, jak ręka markiza zawisła niepewnie w powietrzu. Philip pojął, że to kluczowy moment, i wstrzymał oddech. Szpilka została wpięta jednym precyzyjnym ruchem i obecni westchnęli.

Markiz pokiwał głową.

- Tak, Tom, masz rację. To sukces. Usiądź, Philipie.

* Zamknij się, durniu!

Nieszczęsny młodzieniec osunął się na krzesło przy toalecie.

- Co teraz? Chyba już kończycie?

- Teraz pomada. Pospiesz się, Francois!

- Nie pozwolę się umalować i upudrować! - stanowczo zaproponował Philip.

- Mówiłeś coś?

- *Monsieur*, ja... ja się nie zgadzam.

- Philipie, gdyby nie miłość, jaką żywię do twojego ojca, zostawiłbym cię w tej minucie. Zrobisz, co mówię?

- *Monsieur*, naprawdę nie mogę tam pójść nieumalowany?

- Nie możesz.

Philip uśmiechnął się smętnie.

- Skoro tak, niech się pan zbytnio nie przykłada.

- Mam się nie przykładać, niewdzięczniku? Właśnie że specjalnie się przyłożę.

- Cóż, niech tak będzie. Jestem panu bardzo wdzięczny

Markiz uśmiechnął się pod nosem i skinął na Francois

Philip wiał się i wykrzywił pod ich wprawnymi palcami. Narzekał, że łaskocze go pędzel z zajęczej sierści, i zachnął się, gdy markiz przykleił mu na twarzy dwie muszki. Kichnął, kiedy Francois obsypał mu policzki pudrem, a gdy wpięto mu szafirowy kolczyk w lewe ucho, naburmuszył się, mrużąc coś ze złością.

Jednak najgorsza tortura miała dopiero nadejść. Okazało się, że potrzeba połączonych wysiłków trzech mężczyzn, by wbić go we frak. Kiedy im się to wreszcie udało,

Philip zapewnił ich, że frak pęknie w ramionach, jeżeli spróbuje bodaj kiwnąć palcem.

Markizowi wydał się wielce zabawny, choć nieznośny.

- Nie myśl o tym, głuptasie.

- Miałbym o tym nie myśleć?! - wykrzyknął Philip. - Jak mogę o tym nie myśleć, skoro krępuje mi ruchy?

- Co za bzdury! Tom, szpada!

- Jak mam tańczyć ze szpadą? - zaprotestował Philip.

- Takie są zasady - stwierdził markiz.

Philip powiódł palcami po wysadzanej drogimi kamieniami rękojeści.

- Ładna zabawka - powiedział. - Nigdy dotąd nie wydałem tak wielkich pieniędzy na świecidełka.

Francois ułożył pełne fałdy fraka wokół szpady, a Tom wsunął Philipowi pierścienie na palce. Wcisnięto mu też do ręki trójgraniasty kapelusz, emaliowaną tabakierkę oraz koronkową chusteczkę.

Potem Thomas spojrział na markiza, który z zadowoleniem pokiwał głową i zaprowadził Philipa przed wielkie lustro.

- No i jak, przyjacielu?

Philip milczał, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w swoje odbicie. Nie mógł uwierzyć, że to on we własnej, ale jakże odmienionej osobie. Zobaczył wysokiego, smukłego młodzieńca, odzianego w bładoniebieski atłasowy frak, białe obcisłe pluderki, kwiecistą kamizelkę i pończochy ze złotym szlaczkiem. Na nogach miał trzewiki na wysokich, czerwonych obcasach, z brylantową sprzączką. Wokół nadgarstków i szyi pieniły się braban-

ckie koronki, a biała peruka, prześlicznie ufryzowam i upudrowana, zastąpiła jego ostrzyżone loki. Patrząc na swój nowy wizerunek, Philip mimowolnie wyprostował się, uniósł głowę i pomachał chusteczką.

- No i jak? - zniecierpliwiał się markiz. - Nie masz nic do powiedzenia?

Philip odwrócił się.

- *Cest merveilleux** - zawołał.

Markiz rozpromienił się, ale potrząsnął głową.

- Z czasem tak. Ale teraz po tysiąc kroć nie. Jeszcze, chłopcze, nieporadny.

Upokorzony Philip zaczął błagać, by uczynił go mniej nieporadnym.

- Taka jest moja intencja - powiedział markiz. - Za miesiąc czy dwa będę dumny z mojego ucznia.

- Na miły Bóg, ja już jestem z ciebie dumny! - wykrzyknął Tom. - Chłopcze, będziesz bardziej elegancki niż Maurice!

Philip zarumienił się pod warstwą pudru. Nagle jego uwagę przykuł błysk rubinu na palcu. Przyglądał mu się przez chwilę, marszcząc brwi, po czym zdjął pierścień.

- Ach tak? - zapytał markiz. - A to dlaczego?

- Bo mi się nie podoba.

- Nie podoba ci się?

- Będę nosił tylko szafiry i brylanty.

- Wielkie nieba, chłopak ma rację! - wykrzyknął Tom.

- Powinien nosić się cały na niebiesko.

* To niesamowite

- Za miesiąc czy dwa przedstawię cię w Wersalu - zdecydował markiz. - Francois, zabierz ten wstrętny rubin. A teraz - *en avant*?*

I tak Philip udał się na swój pierwszy bal.

Pod koniec miesiąca Tom wrócił do Londynu po wprowadzeniu bratanka na ścieżkę, którą miał dalej kroczyć. Zostawił go pod opieką markiza de Chateau-Banvau, bardzo przejętego swoją misją.

Po pierwszym balu Philip porzucił wszelką myśl o bunocie; dobrze odgrywał swoją rolę i był bardzo zajęty. Co rano fechtował się z mistrzem, póki nie nabrał zręczności w posługiwaniu się szpadą; rozmawiał od rana do nocy tylko po francusku; pozwolił, by markiz wprowadził go w towarzystwo; ćwiczył język, by móc prawić gładkie komplementy damom, które rzucały mu zalotne spojrzenia z powodu jego pięknej aparycji. Wreszcie prowadzone przez niego rozmowy stały się bardziej swobodne.

Przez jakiś czas nie interesował się swoim strojem, godząc się, by Tom lub Francois ubierali go wedle własnego gustu. Jednak pewnego dnia, gdy Francois zaprezentował mu parę kremowych pończoch, przyglądał im się długo przez lornion, a potem kazał je zabrać.

Francois poczuł się głęboko dotknięty, gdyż podobały mu się te pończochy. Może jednak *monsieur* zechciałby wziąć je pod uwagę? Ale *monsieur* kategorycznie odmówił. Jeżeli Francois zachwyca się różowym szlaczkiem

* Naprzód!

na kremowym tle, niechże sobie weźmie te pończochy. *Monsieur* ich nie włoży, bo obrażają jego gust.

Nie minęło wiele czasu, a *le jeune Anglais*" stał się postacią wielce pożądaną i mile widzianą. Damy lubiły go za jego zdecydowany podbródek z dołeczkiem i aurę męskości; mężczyźni natomiast za skromność i pieniądze. Był zapraszany na rauty i bale maskowe, partyjki kart oraz podwieczorki. Zaczął coraz lepiej się bawić, zaznając uroków popularności. Z czasem wręcz oczekiwał zaproszeń od nowych znajomych, markiz był jednak nadal niezadowolony. Uważał, że wprawdzie jest dobrze, ale, jego zdaniem, powinno być lepiej.

Niespełna dwa tygodnie później Philip ugruntował swoją pozycję wśród socjety, pojedynkując się z zazdrosnym mężem. A na wypadek, gdyby zaszokowała was ta nagła deprawacja naszego młodzieńca, powiem wam, że przyczyna pojedynku była zupełnie błaha, gdyż Philip traktował tę damę niemal jak ciotkę. Na szczęście owa dama nie zdawała sobie z tego sprawy. Przyjaciele Philipa nie zawiedli go, nie miał więc żadnych trudności ze znalezieniem sekundantów. Pojedynek zakończył się zręcznym pchnięciem, które ugodziło nieszczęsnego męża, a także świeżym przypływem popularności Philipa.

Gdy markiz zarzucił swojemu pupilowi, że jest lekkoduchem, napotkał lodowate spojrzenie.

- Słucham, panie? - rzucił sucho Philip.

- Co za skromność! - wykrzyknął rozbawiony markiz.
 - Czy to możliwe, że uważa pan, iż dałem się oczarować uśmiechem *madame* de Foli-Martin?

- Ależ tak. Oczywiście, że tak uważam.

- Wobec tego, niech mi będzie wolno pana oświecić - powiedział Philip. - Moje uczucia kierują się ku pewnej damie... w moich rodzinnych stronach.

- Oh, la, la! - wykrzyknął markiz. - Dama z prowincji? Wiejskie dziewczę?

- Tak, dzięki Bogu - odparł Philip.

Markiz wpadł w przygnębienie, gdyż spodziewał się po nim lepszego gustu, uznał jednak, że rozsądniej będzie zmienić temat.

- Chcę cię przedstawić na dworze.

- Tak? - zapytał Philip znudzonym tonem, krzyżując nogi w eleganckich bryczesach. - Może, powiedzmy, w przyszłym tygodniu? Bo na razie jestem bardzo zajęty.

W oczach markiza pojawił się błysk.

- Masz już doskonałe maniery, przyjacielu. Na pewno zechcesz pokłonić się królowi.

Philip wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ufam, że król poczuje się dostatecznie uhonorowany.

- *Sans doute** - Markiz się skłonił. - Radzę ci jednak, byś nie kierował oczu ku *madame* Pompadour.

- *Monsieur*, już mówiłem...

- Ach, tak. Mimo to masz już opinię... pożeracza serc.

* Bez wątpienia

Zapominając o afektowanych pozach, Philip wykrzyknął:

- Dobry Boże! Naprawdę pan tak uważa? Ja?

- To bardzo *d la mode* - odparł markiz z kpiącym błyskiem w oku. - Stałeś się ważną figurą.

- Ale ja... - Philip opanował się i znów popadł w rozleniwienie. - One mnie męczą - powiedział, po czym ziewnął.

- Co?! Nawet la Selevier?

- Ta kobieta w gigantycznej peruce? Jest niezła, ale *passee, mon cher marquis, passie!**

- Cóż to, nagle stałeś się taki wybredny? Czy ta wiejska dzierlatka jest aż taka śliczna?

- Za pozwoleniem, markizie, ale wolałbym wyłączyć imię tej damy z tej oraz dalszych dyskusji.

- Bo jak nie, to co? Wbijesz mi szpadę w serce?

Philip uśmiechnął się.

- Co za absurd, *monsieur*.

Tej nocy Philip wydał karciane przyjęcie. Gra toczyła się o wysoką stawkę, a przy okazji opróżniono liczne butelki. Sam Philip przegrał trochę, ale i trochę wygrał. Dzień już dawno się zaczął, gdy lokaj pomagał mu położyć się do łóżka. Obudził się z bólem rozsadzającym czaszkę, ale z uczuciem, że jest mężczyzną. Działo się to we wrześnie.

* Przebrzmiała, drogi markizie



Rozdział siódmy

W którym pan Bancroft przyjeżdża do Paryża, gdzie spotyka go przykra niespodzianka

W lutym do Paryża zjechał pan Bancroft, który opuścił Little Fittledean niedługo po Philipie, odkrył bowiem, że Cleone przestała się uśmiechać. Także uwodzenie panny nie sprawiało już przyjemności, skoro nie było zazdrosnego rywala, z którego mógłby szydzić. Począł więc, aż przycichnie afera, z powodu której musiał opuścić Londyn, po czym wrócił do stolicy. A teraz, wielce zblazowany, przyjechał do Paryża w poszukiwaniu nowych rozrywek.

Nie minęło wiele czasu i natknął się na Philipa, a ich spotkanie stało się nie lada sensacją. Otóż pan Bancroft, w towarzystwie swego przyjaciela, pana de Chamberta, udał się na raut do pałacu księżnej de Maugry. Tam został przedstawiony *mademoiselle* de Chaucheron, szelmutce o figlarnych czarnych oczach, i ochoczo dołączył do kręgu jej wielbicieli. Spotkał też paru starych znajomych, jako że nie był w Paryżu nowicjuszem.

Przez jakiś czas konwersacja kwitła w najlepsze, gdy nagle *mademoiselle* klasnęła i zawołała:

- *Le voila notre petit Philippe! Eh bien, petit Anglais!**

Zgrabny dżentelmen w brzoskwińowych atłasach, umalowany i uperfumowany, przeszedł szybkim krokiem przez salon i ukląkł przed nią na jedno kolano.

- Padam do twych prześlicznych stópek, o pani!

Mile połechtana, podała mu dłoń do ucałowania.

- Gdzie się tak długo podziewałeś, wisusie?

Philip ucałował kolejno koniuszki wszystkich jej palców.

- Usychałem z tęsknoty za tobą, *cherie*.

- Na królewskim dworze - wtrącił hrabia de Saint-Dantin i roześmiał się. - Philippe, znany z ciebie bałamut i szelma!

Wciąż trzymając *mademoiselle* za rękę, Philip zwrócił wzrok na hrabiego.

- Ktoś mnie złośliwie oczernił. O co jestem oskarżony?

Mademoiselle uderzyła go wachlarzem po palcach.

- To się zaraz okaże. Skończył pan już z moją ręką?

Philip natychmiast się do niej odwrócił.

- Straciłem rachubę. Będę więc musiał zacząć od nowa. Chwileczkę, hrabio. Jestem bardzo zajęty. - Po raz drugi ucałował z powagą każdy różowy paluszek. - I jeszcze jeden, dla uroczej całości. *Voila!*

- Istotnie, bałamut z pana - stwierdziła *mademoiselle*.

- Nie dba pan przecież o mnie ani odrobinę.

* A oto nasz mały Philip. I cóż słyhać, mały Angliku?

- Gdyby to było prawdą, wina moja byłaby niewybaczalna - odparł Philip z figlarnym błyskiem w oku.

- Chyba mnie nie oszukujesz, *le petit Philippe*. Taki słodki, taki miły, taki pochlebca... Byłbyś całkiem bez serca?

- Plotka głosi, że on już oddał swoje serce - zauważył z uśmiechem de Bergeret. - Jak to jest, Philippe?

- Oddawałem je setki razy - odparł z westchnieniem Philip - ale nigdy go nie odzyskałem.

- Och! - *Mademoiselle* zachnęła się z udawanym oburzeniem. - Szelma z ciebie. I taki niestały. Wstań. Mam cię już dosyć.

- Szkoda. - Philip wstał i odkurzył kolano chusteczką. - Dzięki ci, moja śliczna. Zaczynało mi już być niewygodnie.

- Niech pan wreszcie opowiada! - wykrzyknął de Salmy. - Jaka ona jest, ta Pompadour?

- *Madame* de Pompadour? - Philip potarł czoło. - Nie wiem, zdażyłem już zapomnieć. Oczy ma w każdym razie niebieskie, nie czarne.

Słyszając to, *mademoiselle* ukryła twarz za wachlarzem.

Pan Bancroft przez cały czas wpatrywał się w Philipa jak urzeczony. W którymś momencie Philip spojrzął wreszcie w jego stronę. Szare oczy prześlizgnęły się obojętnie po Bancrofcie, bez błysku skojarzenia.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Bancroft. - Czyżby to był pan Jettan?

- *Que lui dit-il** - zapytała *mademoiselle*, gdyż Bancroft powiedział to po angielsku.

* Co on mówi?

Philip ukłonił mu się z daleka.

- *Monsieur?*

- Nie zapomniałeś mnie chyba? Jestem Bancroft.

- Ach... pan Bancroft! Przypominam sobie. Sługa uniżony. - Znowu się ukłonił.

- Oczom własnym nie wierzę! Jak mi Bóg miły!

- Ach, teraz już rozumiem. - *Mademoiselle* odetchnęła z ulgą. - Czy to jeden z twoich przyjaciół, Philippe?

- Uśmiechnęła się cieplej do pana Bancrofta i wyciągnęła rękę. - *L'ami de Philippe*. Trzeba było tak powiedzieć.

Pan Bancroft nie był wcale zadowolony, że zaliczono go do przyjaciół Philipa, nachylił się jednak szarmancko nad rączką *mademoiselle*.

- Nie miałem pojęcia, że go tu zastanę. Nasze ostatnie spotkanie miało miejsce... w lesie.

- Mów, Philippe - poprosiła dama.

Philip wznosił ręce.

- Ach, nie, *cherie*. Spotkanie to okazało się zabójcze dla mojej próżności.

- Tym bardziej muszę to usłyszeć - zdecydowała *mademoiselle*. - Masz mi o tym opowiedzieć.

- Między panem Bancroftem a mną zaistniała pewna różnica zdań, którą rozstrzygnęliśmy w lesie. Zostałem pokonany. W dodatku bez trudu.

- Ty?! - wykrzyknęła *mademoiselle*. - To niemożliwe!

- Wprost przeciwnie, najdroższa. W tamtych czasach

przedstawiałem sobą bardzo przykre widowisko, nie-
prawdaż, sir?

- Było to całkiem niedawno - odparł Bancroft.

- Sześć miesięcy temu. - Philip pokiwał głową, po-
czym odwrócił się, by porozmawiać z hrabią de Saint-
-Dantin.

- Przykry obraz? - zapytała z niedowierzaniem *made-
-moiselle*. - Philippe?

- Pachnie mi tu jakąś intrygą - odezwał się wicehra-
bia. - Clothilde, każ mu opowiedzieć.

- Oczywiście - powiedziała. - Philippe!

- Tak, *chere* Clothilde?

- Podejź tu! Masz mi wytłumaczyć, co rozumiesz
przez „przykry obraz”. Jeżeli odmówisz, poproszę pana
Bancrofta.

- Och, ja nie zdradzam cudzych sekretów - mizdrzył
się Bancroft.

Philip uniósł lornion i przyjrzał mu się beznamięt-
nie, a potem wzruszył ramionami i znów odwrócił się
do Clothilde.

- To smutna historia, mój aniele. Sześć miesięcy temu
mieszkałem na wsi i byłem bardzo nieokrzesany wiej-
skim prostaczkim. A potem zmuszono mnie, bym do-
strzegł niestosowność tego stanu.

- A mówiłem, że to pachnie intrygą - rzucił półgłó-
sem wicehrabia.

- Zaraz, chwileczkę! - wykrzyknęła Clothilde. - Ty
mieszkałeś na wsi, Philippe? To jakiś żart.

- Klnę się na mój honor, że nie, *cherie!* Po to właśnie

przyjechałem do Paryża, by nauczyć się ogłady w towarzystwie.

- Sześć miesięcy temu? - De Bergeret nie wierzył własnym uszom. - Czy to twoja pierwsza wizyta w Paryżu? Nauczyłeś się tego wszystkiego w tak krótkim czasie?

- Mam wrodzone zdolności. - Philip uśmiechnął się.

- Czy jesteście usatysfakcjonowani tym wyjaśnieniem?

- Nigdy w to nie uwierzę - powiedziała z naciskiem *mademoiselle*. - Nigdy, przenigdy.

- Mnie to nie satysfakcjonuje - dorzucił wicehrabia.

- A co jeszcze chciałbyś usłyszeć? - zwrócił się do niego Philip.

- Chciałbym się dowiedzieć, jaka ona jest.

- Ona? - powtórzył Philip, unosząc brwi.

- Ta dama, której oddałeś serce.

- Och, są ich setki - rzucił Philip beztrąsko. - A każda jest inna.

- Mógłbym oświecić w tym względzie pana de Ravela

- wtrącił znacząco Bancroft.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Philip usiadł obok *mademoiselle*. Na jego wargach igrał zagadkowy uśmiech.

- Bardzo proszę, *mon ami* - zwrócił się do Bancrofta.

- Kim jest ta dama, o której zapomniałem?

- Zapomniałeś pan? Daj spokój, Jetan!

Philip bawił się wachlarzem Clothilde, nie przestając się uśmiechać, ale we wzroku, jakim zmierzył Bancrofta, malowało się wyzwanie.

- Nawet jeśli nie zapomniałem, nie życzę sobie żad-

nych poufałości, pańskich lub czyichkolwiek, wobec imienia tej damy. - W jego spokojnym głosie zadźwięczały ostrzegawcze tony.

Zapadła cisza, którą przerwał w końcu Saint-Dantin.

- Philippe, jak go znam, gotów jest wyzwąć nas wszystkich na pojedynek, nie można jednak do tego dopuścić. Nie będziemy go więcej nękać, bo potrafi być bardzo przykry, kiedy się rozżłości. Wiem coś o tym. - Roześmiał się i podsunął Bancroftowi tabakierkę.

- On ma bardzo wybredny gust - rzucił pogardliwym tonem Bancroft.

Hrabia zamknął tabakierkę i ze znudzoną miną odwrócił się od Bancrofta.

- Wydaje mi się, że temat zaczyna być nieco nużący.

- Zatańczy pani ze mną, *mademoiselle*?

Bancroft oblał się rumieńcem. *Mademoiselle* pode-rwała się z fotela.

- Obiecałam ten taniec Jules'owi! - Skinęła z uśmiechem na de Bergereta i razem udali się do sali balowej.

Saint-Dantin ujął Philipa pod rękę.

- Chodź ze mną do pokoju karcianego, Philippe. Chyba że wolisz zatańczyć z la Salevier? - Kiwnął głową w stronę pięknej damy o bujnych kształtach.

- To byłoby zbyt męczące - stwierdził Philip. - Pójdę raczej z tobą.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem głosu, hrabia zapytał:

- Kto to jest ten skwaszony jegomość ubrany na różowo?

Philip wzruszył ramionami.

- To zupełnie nieważna kreatura.
 - To widać. A jednak potrafił cię rozżłościć.
 - Owszem - przyznał Philip. - Nie podoba mi się kolor jego fraka.

- Jakby co, możesz na mnie liczyć - powiedział natchmiast Saint-Dentin. - Nic w nim mi się nie podoba. Był już tutaj... ubiegłego roku. Brak mu finezji w konwersacji. Czy w Londynie go tolerują?

- Nie wiem. Mniemam, że nie.

- Ha, ha! Czyżby więc wkroczył pomiędzy ciebie a tę damę?

Philip cofnął rękę.

- Saint-Dantin!

- Tak, tak, wiem. Wszyscy wiemy, że w tle kryje się... jakaś dama. Bo jeśli nie, to skąd ta twoja wstrzemięźliwość i chłód?

- Uważasz, że jestem chłodny?

- W gruncie rzeczy, owszem. A nie jest tak?

- Z całą pewnością jest. Mieć serce - to dziś takie niemodne.

- Och, ale z ciebie hultaj.

- Już mi to mówili. Pewnie dlatego, że nie mam na sumieniu nawet najmniejszej niedyskrecji. To ciekawe, że ciebie nikt nie ochrzcił tym mianem, choć w pełni zasługujesz na ten honor. A ja, człowiek o nieskazitelnej reputacji, uchodzę za blagiera i ladaco. Chyba napiszę sonet na ten temat.

- Och, nie! - rzekł błagalnie Saint-Dantin. - Twoje sonety są okropne, Philippe! Błagam, żadnych więcej wier-

szy! Możesz robić wszystko, ale, na miłość boską, te twoje poezje...

- Niestety. - Philip westchnął. - To moja jedyna ambicja, będę więc nadal próbował.

Saint-Dantin przystanął, z ręką na kotarze oddzielającej pokój do gry w karty.

- Powiadasz, twoja jedyna ambicja, Philippe?

- W tej chwili - odparł słodko Philip. - Po pewnym czasie wszystko może się sprzykrzyć.

- Nawet największe ambicje? - W oczach Saint-Dantina zamigotały złośliwe iskierki.

- Jesteś wścibski jak mała pa - stwierdził Philip, po czym obaj weszli do karcianego pokoju.

- Od jak dawna bryluje tu ten osobnik? - zapytał Bancroft, gdy Philip zniknął za kotarą.

- Och, od paru miesięcy. On jest jak ożywczy powiew, nieprawdaż? Taki młody i sympatyczny.

- Sympatyczny! Dobrze sobie! - zauważył z przekąsem Bancroft.

De Chambert spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Nie lubi pan naszego małego Philippe'a?

- Nie, nie lubię. Pyszałkowaty młody parweniusz.

- Pyszałkowaty? Och nie! Źle go pan rozumie. On tylko udaje i jest bardzo zabawny, ale nie jest pyszałkiem. To jeszcze taki *bebe*.*

- Dobrze sobie! Czy on jest waszym pupilkiem?

- Jest ostatnim krzykiem mody w Paryżu. Są, rzecz

* Dwidzius

jasna, tacy, co mu zazdroszczą, ale ci, którzy go znają, za bardzo go lubią, by odczuwać zazdrość.

- Zazdrość! - rzucił pogardliwie Bancroft. - O tego młokosa!

De Chambert spojrzał na niego ostro.

- Coś panu szepnę na ucho, *monsieur*. Niech pan nie opowiada na prawo i lewo o swoich antypatiach. *Le petit Philippe* ma możnych przyjaciół. Popadnie pan w niełaszkę, jeśli będzie pan z niego szydził.

- Ja... ja... - Bancroft próbował znaleźć właściwe słowa - ja nie ukrywam przed panem, de Chambert, że mam pewne pretensje do waszego małego Philipa. Już raz ukarałem go za jego impertynencję.

- Ach tak? Nie radziłbym jednak robić tego po raz drugi. Przyjaciół mu nie zabraknie, poza tym mistrzowsko włada szpadą. Demonstrowanie swojej wrogości byłoby nierozsądne, gdyż spotka go pan wszędzie, a jest on pieścioszkiem naszych dam. To chyba mówi samo za siebie, nieprawdaż?

- No proszę! - prychnął Bancroft. - A kiedy go ostatnio widziałem, nosił frak, którego nie dałbym nawet mojemu lokajowi. A do powiedzenia miał tyle, co strach na wróble.

- Tak? Coś o tym słyszałem. To istny fenomen, ten nasz Philippe.

- Niech piekło pochłonie wszystkie fenomeny! rzekł ze złością Bancroft.



Rozdział ósmy

W którym Philipowi udaje się splotzić rondo

Kilka tygodni po przyjeździe pana Bancrofta hrabia de Saint-Dantin wydał proszony obiad. Zaproszeni zostali jedynie najbliżsi przyjaciele, a wśród nich znalazł się również Philip. O wpół do szóstej wszyscy goście, oprócz jednego, zebrali się w bibliotece, a Saint-Dantin porównywał swój czasomierz z zegarem na kominku.

- Co się dzieje z naszym Philippe'em? - gderał bardziej do siebie niż do reszty. - Gdzie podziewa się ten dzieciak?

- Zeszłej nocy był na balu - odparł pan de Chatelin, wygładzając żabot. - Wyszedł wcześniej w wielkim pośpiechu. - Spojrzał na Saint-Dantina i w jego oczach zamigotały iskierki. - Perła w prawym uchu *madame* de Marcherand tak go zainspirowała, że umknął.

- Umknął? Czemuż to?

- Chyba po to, by skomponować balladę na jej cześć.

Saint-Denis podniósł ręce.

- Niech diabli wezmą Philippe'a i te jego wiersze! Głowę dam, że właśnie to go zatrzymało.

- Mówicie o Philippe? - wtrącił się Paul de Vangrresse.

- Zdawało mi się, że usłyszałem jego imię.

- Ależ tak! Henri twierdzi, że dopadło go obsesyjne pragnienie napisania ballady do perłowego kolczyka Julie de Marcherand.

De Vangrresse podszedł do nich, szeleszcząc sztywnymi jedwabiami.

- To możliwe, niestety. Wstąpiłem do niego dziś rano i zastałem go w dezabilu, ze zmarszczonym czołem. Zamiast się przywitać, rzucił się na mnie, domagając się rymu do jakiegoś słowa... Nie pamiętam już jakiego... Wobec tego wyszedłem.

- Czy nikt nie potrafi przekonać Philippe'a, że nie jest poetą? - zapytał płaczącym tonem de Bergeret.

De Vangrresse potrząsnął głową.

- Można mu wytknąć, że żaden z niego fechtmistrz i elegancki kawaler; można wyszydzać wszystkie jego wdzięki, ale nie można powiedzieć, że nigdy nie będzie poetą. On w to nie uwierzy.

- Och, on dobrze o tym wie - odparł Saint-Dantin. - Bawi go tylko udawanie. A oto i on!

Philip wkroczył do biblioteki, cały w odcieniach żółci. W ręku trzymał zrolowany pergamin, przewiązany bursztynową wstążką. Krok miał sprężysty, wzrok promienny. Idąc, machał triumfalnie zwojem pergaminu.

Saint-Dantin wyszedł mu na powitanie.

- Co za spóźnienie, Philippe! - wykrzyknął, wyciągając ręce.

- Po tysiącuroć przepraszam, Louis, ale pochłonięto mnie to rondo*. Skończyłem dopiero przed godziną.

- Rondo? - powtórzył De Vangrisse. - Tego ranka mówiłeś coś o balladzie.

- Tego ranka? Ba! Ale to było rok temu. Od tamtej pory zrobił się z tego sonet.

- Sonet? Nie daj Boże! - wykrzyknął w uniesieniu Saint-Denis.

- Racja - zgodził się Philip. - Temat wymagał ronda. Pojąłem to dzisiaj, o trzeciej po południu. Byłeś przecież u mnie dziś rano, prawda, Paul?

- Prosiłeś mnie o rym - przypomniał mu de Vangrisse.

- Rzeczywiście. O rym do „pusta” i „usta”, a ty podałeś mi „kapusta”!

- Na co ty się na mnie rzuciłeś, musiałem więc salwować się ucieczką.

- Kapusta! - powtórzył z oburzeniem Philip. - Kapusta!

Saint-Dantin delikatnym, acz zdecydowanym ruchem odebrał mu zwój pergaminu.

- Później nam przeczytasz - obiecał. - Najpierw zjesz obiad.

- Dobrze jest przeczytać, zanim podadzą mięso - błagał Philip.

Odpowiedziały mu gromkie protesty.

* Forma ukształtowana w poezji francuskiej w XV w., klasyczny kształt osiągnięta w XVI i XVII w.

- Nie będziemy słuchać twoich wierszy na pusty żołądek - oświadczył wicehrabia. - Chętnie za to posłucham ich przy herbacie.

- Nie masz serca - stwierdził ze smutkiem Philip.

- Ale mam żołądek, *petit Anglais*. * A ten żołądek głośno domaga się strawy.

- Jesteście godni ubolewania - orzekł Philip. - Po co ja na was marnuję klejnoty mojej poezji?

Saint-Dantin ujął go za łokieć i poprowadził do drzwi.

- Dalibóg, Philippe, tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć. Będziesz mógł wyjaśnić nam to przy obiedzie.

W połowie uczyty wicehrabia coś sobie przypomniał. Skinął więc głową na Philipa, który po przeciwnej stronie stołu wdał się w ożywioną i błyskotliwą dyskusję z de Bergeretem.

- *A propos*, Philippe. Mówił o tobie twój drogi przyjaciel.

- Któryż to drogi przyjaciel? - zapytał Philip. - Jules, jeżeli będziesz się nadal upierał, że Jeanne de Fontenay może się równać z la Salevier pod względem...

- Ale słuchaj uważnie! - nalegał wicehrabia. - Ten Anglik, ten Bancroft... co za nazwisko! Można sobie połamać język.

Philip przerwał w połowie kwestii. Oczy zaślniły mu w blasku świec.

* Mały Angliku

- Bancroft? Co on takiego o mnie opowiada?

- Dużo. O ile to wszystko prawda.

Philip odstawił kieliszek.

- Doprawdy?! A cóż takiego słyszałeś, de Ravel?

- Wygląda na to, że *ce cher* Bancroft cię nie kocha, *mon pauvre**. Jeżeli wierzyć de Grauneowi, wścieka się na twoją tu obecność. Mówi, że się na tobie zawiódł. To bardzo smutne.

- Owszem. - Philip zmarszczył brwi. - Bardzo smutne. Ale co on takiego mówi?

- Rozpowiada twój pilnie strzeżony sekret - odparł z powagą wicehrabia.

- Och! - Philip odwrócił się na krześle i oparł łokciami o stół. - Niewykluczone, że będę musiał zamienić słówko z tym panem Bancroftem. Mów dalej, Charles.

- Mówi o pewnej damie w Little Fittledean, która ma takie modre oczy i...

- Pomińmy jej oczy, dobrze? - Philip się uśmiechnął.

- Ależ oczywiście! A włosy...

- Włosy? Będziemy wyliczać wszystkie jej uroki?

- Nasz Philippe jest bardzo zakochany - obwieścił głośnym szeptem de Bergeret.

Philip błysnął zębami w uśmiechu.

- Bardzo, Jules. Mów dalej, wicehrabio.

Wicehrabia upił łyk wina.

- Pan Bancroft opowiadał o twoim... zauroczeniu. Opisał tę damę bardzo... hm... dokładnie!

Usta Philipa zacisnęły się w wąską kreskę. Pokiwał głową.

- *Allons! Allons!**

- Wicehrabio, czy bawią cię plotki przyniesione z jakich hazardu? - zapytał ostro Saint-Dantin.

Wicehrabia lubił jednak intrygi, zignorował więc tę przymówkę.

- „Ładniutka bestyjka” mówił o niej, „ale to tylko zwykła wiejska dziewczka”. Na imię jej...

- Och, kończ waść! - zniecierpliwził się Saint-Dantin.

- Ależ nie! - Philip zbył go machnięciem ręki. - Bardzo ciekaw, co ma ten pan do powiedzenia.

- Na imię jej Cleone. *Monsieur* Bancroft opowiadał, że zakochała się w nim dla jego pięknych oczu oraz czarujących manier.

- Aha! - Philip podparł brodę na złożonych dłoniach. - I co dalej?

- Dalej mówił też, że niejaki pan Philip Jettan narzucał jej się ze swoimi niezdarnymi atencjami, pan Bancroft poczuł się więc w obowiązku dać mu nauczkę. A kiedy go zapytano „Co z tą ładniutką Cleone?”, wzruszył ramionami i odpowiedział z wyższością, że już mu się znudziła, jak wszystkie inne.

Nagłą ciszę przeciął donośny głos Saint-Dantina:

- Philippe, napełnij swój kieliszek. Paul opowiadał

* Dalej, dalej!

mi właśnie o pchnięciu, jakie zadał w pojedynku z Mardrym, w zeszłym miesiącu. Otóż...

- Poproszę Paula, żeby mi zademonstrował to pchnięcie - powiedział Philip. Odchylił się na krześle i cicho zaśmiał, by w chwilę później podjąć przerwana rozmowę z de Bergeretem.

Po obiedzie Saint-Dantin wziął go na stronę.

- Philippe, przykro mi, że coś takiego miało miejsce przy moim stole. Charles jest niepoprawny.

- Wręcz przeciwnie, jestem mu bardzo wdzięczny - odparł Philip. - Gdyby nie on, może nigdy bym się nie dowiedział. A tak, będę mógł zamknąć temu jegościowi usta.

- Ale w jaki sposób? - zapytał Saint-Dantin.

Philip wykonał w powietrzu wymaginowane pchnięcie.

- Byłeś tylko go nie zabił - zapowiedział Saint-Dantin. - Nie widzę...

- Zabić go? To nie ja! Mogę na ciebie liczyć, że mnie... poprzysz?

- Oczywiście. Ale co chcesz zrobić?

- Po pierwsze, zamienimy się miejscami. Teraz ja go ukarzę. A potem zapowiem mu, że jeśli jeszcze raz wymieni publicznie imię mojej damy, wszyscy przyjaciele staną po mojej stronie.

Saint-Dantin pokiwał głową.

- Ręczę za tych, którzy są tu dzisiaj.

- Chwileczkę! Ilekroć wymieni jej imię, dowiem się o tym i pošlę Francois, żeby mu spuścił lanie.

Hrabia wybuchnął śmiechem.

- Och, Philippe, mój chłopcze, jesteś w gorącej wodzie kapany. Czy ta Cleone rzeczywiście tyle dla ciebie znaczy?

Philip wyprostował się dumnie.

- To dama, którą mam nadzieję uczynić pewnego dnia swoją żoną.

- Co? Żoną? Ach, to zmienia postać rzeczy. Nie wiedziałem. Na Boga, skończmy już tę rozmowę.

- To właśnie zamierzam zrobić - powiedział Philip. - Zamknąć usta tej kanalii!

- Z nienawiści do różowego koloru, co? Poprosisz mnie na sekundanta?

- Jeśli łaska. I de Bergereta.

- Saint-Dantin, pora licytować! - zawołał de Vangrresse.

- O czym rozmawiacie z taką powagą?

- O różowych frakach - odparł Philip. - Och, moje rondo! Gdzie ono jest?

- Do diabła z twoim rondem! - wykrzyknął wicehrabia. - Przyjdź tu i zaryzykuj stawkę.

- Moment! - Philip rozwiązał wstążkę i rozwinął pergamin. - Nalegam, abyście wysłuchali tego płodu mego umysłu.

Pośród drwiących okrzyków wspiął się na krzesło i z udaną powagą ukłonił się w lewo i w prawo.

„Do perły, która drży w jej uchu”

„Ta mała perełka, która drży

U płątka twego uszka i lśni,

A szept jej to zgubny, to słodki,

To skromny, to znów zalotny.
Bezecna taka, że aż wstyd!

Jest niczym gawot, w którym Ty
Krocząc, wirujesz w tańca rytm,
Potrząsając z gracją kotki
Tą małą perełką.
To gwiazdka, co na niebie lśni,
Mroki nocy rozjaśnia jej błysk,
Błędny ogień, który w szale mym
Zaślepią mnie i zwodzi na manowce..."

Philip urwał, dla większego finalnego efektu. Saint-
-Dantin zerwał się i błyskawicznie wtrącił:

„A na koniec
Całkiem mnie znudziła,
Tralala bum, bum,
Ta perełka miła”.

Na co Philip, oburzony, wyrznął go pergaminem
w głowę.



Rozdział dziewiąty

W którym pan Bancroft wpada w szal

- Wybierasz się dziś wieczorem do de Farrauda, Philippe?

De Bergeret siedział rozparty na sofie i przyglądał się, jak Philip nakleja sobie muszki.

- Do de Farrauda? Nie myślałem o tym. A kogo tam spotkam?

- Twego uniżonego sługę - powiedział de Bergeret, wymachując kapeluszem.

- Nie nęci mnie ta perspektywa - odparł Philip. - Nie, nie dyskutuj ze mną! Nic nie mów! Nie ruszaj się!

Wychylił się w przód, przesunął świecę tak, by płomień oświetlał mu twarz, i zmarszczył brwi na widok swojego lustrzanego odbicia. Biała dłoń, trzymająca zajęczką nóżkę, zawahała się na moment, a potem muszka wylądowała w kąciку jego ust. Philip odchylił się na krześle, aby obejrzeć rezultat.

- Kogo jeszcze tam spotkam, Jules?

- Tych samych ludzi, co zawsze. I oczywiście paru innych.

- U de Farrauda zawsze jest dość mieszane towarzystwo

- stwierdził Philip. - Myślisz, że będzie de Chambert?

- Nie ma nic bardziej pewnego. - De Bergeret ziewnął.

- Będzie wesoło i gra pójdzie o wysoką stawkę, a tylko to się liczy.

- De Chambert nosi brązowe spodnie.

- Naprawdę? Na Boga, chciałbym to zobaczyć. Brązowe spodnie, dobre sobie! A co nosi nasz Philippe?

Philip spojrzął czule na swoje gołąbkowe bryczesy.

- Popiel oraz najbledszy róż ze srebrną lamówka. - Zrzucił pstry szlafrok i wstał z krzesła.

De Bergeret zlustrował go przez lornion.

- *Parbleu**. Popielate koronki!

Philip otrzepał koronki żabotu.

- Uroczy koncept, nieprawdaż? Ale poczekaj! Francois, moja kamizelka!

Lokaj przyniósł kamizelkę i pomógł mu ją włożyć. Niezwykle wykwintna, była uszyta z różowo-srebrnego brokatu.

De Bergeret żywo się nią zainteresował.

- Przysiagłbym, że ty ją zaprojektowałeś. A teraz włóż frak.

Zanim Philip zdołał wbić się we frak, minęło parę minut. Potem Francois cofnął się, ciężko dysząc, a Philip przypasał szpadę.

* Do licha

- Widzisz te rubiny, rozsiane jakby od niechcenia? Jeden w krawacie, jeden tutaj i jeden w peruce. A także na palcach, no i jak?

- Doskonale - przyklasnął de Bergeret. - Tam, do diaska. Masz różowe kolibry na pończochach.

Francois, rozpromieniony, złożył ręce i spojrzął z zachwytem na nogi swego pana, ozdobione tak niezwykłym szlaczkiem.

Philip roześmiał się.

- Czy cieszą twoją artystyczną duszę, Jules? I czy nie szkoda ich dla de Farrauda? Zamierzałem wybrać się na raut u Saint-Clamonda, gdzie na pewno spotkałbym Clothilde. Chodź ze mną.

De Bergeret potrząsnął głową.

- Obiecałem de Vangrissime'owi, że wpadnę dziś wieczorem do de Farrauda. Zapomnij o uroczej Clothilde. Pomyśl tylko, że twój drogi przyjaciel Bancroft przybędzie do de Farrauda w orszaku Chamberta.

Philip, który właśnie wpinał w ucho długi rubinowy kolczyk, zamarł i spojrzął przez ramię na de Bergereta.

- Słucham?

- A jednak dałeś się skusić. - De Bergeret się roześmiał. - Wiedziałem, że nie potrafisz sobie odmówić tak wielkiej atrakcji.

Philip zapiął kolczyk, a potem sięgnął po pelerynę oraz kapelusz.

- Istotnie, nie potrafię. Idę z tobą, Jules. Francois, hultaju, moja tabakierka! Ciekawe, czy znów będzie miał na sobie ten łososiowy frak? Francois, moja laska! Jules, siedzisz na

mojej pelerynie. - Zepchnął de Bergereta i strząsnął miękkie fałdy z różową lamówką. - Bogu dzięki, nic jej się nie stało. Zręcznym ruchem narzucił sobie pelerynę na ramiona i zapiął ją pod szyją. - Mój kapelusz! Jules, co sądzisz o moim kapeluszu?

- Popielaty kapelusz. Co za śmiałość, Philippe! Naprawdę wybierasz się do de Farrauda?

- Aby spotkać się z drogim panem Bancroftem. *En avant**, Jules!

De Bergeret podszedł do lustra.

- Opanuj się, *mon petit***. Nikt nie będzie mnie poganiał. Podoba ci się ta kombinacja beżu z fioletem?

- Podoba mi się wszystko, co masz na sobie, nawet ten źle zawiązany fontaź. Chodź już, bo zżera mnie niecierpliwość.

- A czemuż to? Tak ci spieszo ujrzeć tego obrzydliwego Bancrofta?

- Ależ tak! A kogo by innego? Wszystko ci wyjaśnię po drodze.

De Bergeret pozwolił się poprowadzić do drzwi.

- Philippe, naprawdę nie wypada tak się ekscytować. Teraz w modzie jest obojętność.

- Sam jestem dla siebie modą. Będę oryginałem. A idę po to, by wyzwać na pojedynek pana Bancrofta.

De Bergeret stanął jak wryty.

- Co? Walka? Nie, skoro tak, nie idę.

* Naprzód

** Mój maty

- Zapewniam cię, że całą sprawę rozegram w białych rękawiczkach. Ty i Saint-Dantin będziecie moimi sekundantami.

- Philippe, robisz się coraz bardziej nieznośny! - wykrzyknął jego przyjaciel. - Dlaczego musisz się bić z tym jegomościem?

- To stara waśń. Chcę wyrównać niezapłacone rachunki! *Allons!**

- Och, diabli nadali - mruknął Bancroft.

- Kogo? - zapytał siedzący obok Le Vallon, który rozumiał po angielsku.

Bancroft spojrział ze złością w stronę drzwi. Le Vallon odwrócił się, by zobaczyć, co go tak wzburzyło.

Philip, żywo gestykułując i uśmiechając się, rozmawiał z de Farraudem. Dopiero co przybył i przeproszał za spóźnienie, zrzucając całą winę na de Bergereta, który godził się z tym potulnie.

- Ach, ten mały Anglik! - prychnął pogardliwie Le Vallon. - Zawsze spóźniony i zawsze ekscentryczny. W popielatych koronkach. Co za afektacją!

Philip rozejrzał się po pokoju i wzrok jego spoczął na moment na twarzy Bancrofta. A potem, przywołany przez paru znajomych, poszedł zagrać w kości z de Vangriss'e'em. Gdy Le Vallon zostawił Bancrofta, by dołączyć do grających w faraona", Philip zgarnął kości, rzucił ze śmiechem

* Chodźmy!

** Gra w karty popularna w XVIII w., zwłaszcza w Anglii i Francji

kilka słów de Vangrissime'owi, obiecując że jeszcze wróci, po czym podszedł do stolika Bancrofta i usiadł na krześle Le Vallona, odrzucając na boki poły fraka.

Bancroft, który właśnie zamierzał wstać, zaskoczony nagłym zjawieniem się Philipa, opadł z powrotem na krzesło.

- Czemuż to zawdzięczam ten honor? - zapytał.

- Zaraz się pan dowiesz. - Philip rozdał karty. - Może partyjkę? Będziesz licytować?

Bancroft niechętnie rozłożył karty. Kiedy zalicytował i zagrał kartą, Philip zgarnął lewą, wychylił się do Bancrofta i powiedział:

- Doszły mnie słuchy, że rozповідаł pan po Paryżu imię pewnej damy, i to w sposób, który mi się nie podoba. Rozumiemy się, prawda?

- Ki diabeł w ciebie wstąpił?! - wykrzyknął Bancroft, purpurowy na twarzy.

- Csss, sza! Nie tak głośno, jeśli łaska. Gramy dalej. Poinformowano mnie, że nazwał pan tę damę „ładniutką bestyjką”. Nie pozwolę, by pan tak o niej mówił! Opowiadał pan też, że się w panu rozpaczliwie zakochała. Że też to kłamstwo przeszło panu przez gardło!

-Sir...

- Spokojnie, spokojnie. Dodam, że jeżeli jeszcze raz wspomnisz publicznie imię tej damy, naślę na ciebie moich lokajów, żeby ci dali nauczkę. Zrozumiano?

- Ty... ty... ty bezczelny młokosie! Wiem już, jak na to odpowiedzieć! Kim jest dla ciebie Cleone, co?

Uśmiech zniknął z twarzy Philipa. Spojrzał groźnie.

- Nie życzę sobie, by pan wymawiał jej imię. Proszę to sobie zapamiętać. Mam wielu przyjaciół, zaraz więc mi doniosą, jeżeli choć raz spróbuje pan mówić o tej damie pod moją nieobecność. A co do reszty, ostrzegłem pana.

- A pan niech zrozumie, panie Jettan, że będę mówił o niej, kiedy będę chciał i jak mi się będzie podobało.

Philip wzruszył ramionami.

- Co za bzdury pan wygaduje. Odmowa w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jeżeli zechcę, mogę obrzydzić panu pobyt w Paryżu. Chyba jest pan tego świadomy?

Bancroftowi z wściekłości odebrało mowę.

-I jeszcze jedno - ciągnął Philip grzecznym tonem.
- Już raz miałem okazję skarżyć się na pańskie manierę. Teraz robię to po raz drugi. Poza tym kolor pańskich wstążek rani moje oczy.

Bancroft poderwał się, szurając krzesłem o wypolerowaną posadzkę.

- Będzie pan łaskaw wymienić swoich przyjaciół? - wykrztusił.

Philip skłonił się.

- Tym razem, tak. Mam mały dług do spłacenia. Hrabia de Saint-Dantin oraz *monsieur de Bergeret* będę moimi sekundantami. Albo de Vangrissse lub księżę, albo Vally-Martin.

- Dwaj pierwsi wystarczą - warknął Bancroft. - Moi przyjaciele stawiają się tak szybko, jak to możliwe. - Po tych słowach oddalił się na drugi koniec pokoju.

Philip podszedł do de Vangrissse'a i przysiadł na oparciu jego fotela.

De Bergeret rzucił kości i zwrócił się Philipa.

- Jak poszło?

- Wyśmienicie - odparł Philip. - Rzucaj, Paul, może wygrasz.

- Nie ja. Jules ma dziś piekielne szczęście. Jeżeli to nie impertynencja, pozwolę sobie zapytać, czy spotkasz się z Bancroftem?

- Oczywiście. Och, do diaska! - wyrwało mu się, po rzucie de Vangrisse'a.

- A nie mówiłem? - Vangrisse westchnął. - Mogę być twoim sekundantem?

- Tysięczne dzięki, Paul, ale Saint-Dantin i Jules już się zgodzili.

- No cóż, wobec tego przyjdę w charakterze widza - powiedział de Vangrisse. - Jules, jeszcze setka. Nie pozwolę, byś mnie pokonał.

Le Vallon, który z zaciekawieniem przyglądał się z od-dali rozmowie swojego przyjaciela z Philipem, podszedł szybko do Bancrofta. Ten powiedział:

- Muszę z tobą porozmawiać na osobności. - Głos wciąż mu się trząsał ze zdenerwowania. - Widziałeś, jak dosiadł się do mnie ten przekłety typ? - zapytał, gdy poszli do okna.

- Ależ oczywiście. Przyglądałem się bardzo uważnie. Czego on chciał od ciebie?

- Przyszedł, żeby narzucić mi swoją wolę. On - mnie! Co za impertynencja!

- A co takiego powiedział? - dopytywał się Le Vallon.

Bancroft zbył milczeniem to pytanie.

- Chcę, byś został moim sekundantem - rzucił. - On... on mnie obraził, a ja poprzysiągłem sobie dać mu nauczkę.

Le Vallon cofnął się o krok.

- Co? Chcesz go zabić? Zabić *le petit Anglais*?* - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie, niezupełnie. Nie życzę sobie żadnych kłopotów. On ma zbyt wielu przyjaciół. Dam mu nauczkę, żeby mnie zostawił w spokoju.

- Ach tak. Ale... - Le Vallon zacisnął wargi.

- Ale co? - warknął Bancroft.

- Mówi się, że on świetnie włada szpadą. Trafiał Armanda de Sedlamonta bez najmniejszego trudu.

- Phi! - prychnął Bancroft. - Ale sześć miesięcy temu...

- Wiem, wiem, ale od tamtej pory wiele się zmieniło.

Bancroft spojrział na niego spode łba.

- Będziesz moim sekundantem czy nie?

Le Vallon wyprostował się dumnie.

- *Monsieur*, nie do końca pochwalam pańskie maniery.

Bancroft roześmiał się niepewnie.

- Och, daj spokój, Le Vallon. Bez obrazy. Ten młokos tak mnie zdenerwował, że trudno mi się opanować. Gdzie jest de Chambert?

- Gra w lancknehta** z de Farraudem. Myślę, że lepiej będzie dołączyć do reszty. Nie chciałbym zwracać na siebie uwagi.

* Małego Anglika

** Popularna gra hazardowa w karty, wywodząca się z z czasów wojny 30-letniej

Bancroft chwycił go za ramię.

- Ale zgodzisz się być moim sekundantem?

- Będę zaszczycony. - Le Vallon skłonił się. - Mam nadzieję, że uda ci się pokazać temu fircykowi, gdzie jego miejsce.

Później tego wieczoru Saint-Dantin podszedł do Philipa, który przysiadł na brzegu stolika i pił zdrowie przyjaciół. Saint-Dantin przyłączył się do grupki i położył rękę na ramieniu Philipa, który właśnie pociągnął łyk i się zakrztusił.

- Tam, do diaska! Ach, to ty, Louis! O co chodzi?

- Krażą pogłoski, że chcesz się bić z Bancroftem.

- Już? - zdumiał się Philip. - Kto ci powiedział?

- Nikt. - Saint-Dantin uśmiechnął się. - Szepcze się o tym po kątach. A Bancroft patrzy na ciebie wilkiem. To prawda?

- Oczywiście, że prawda! Czy nie mówiłem, że to zrobię? Jego sekundanci będą oczekiwać na ciebie i Jules'a.

- Jakie to męczące. - Saint-Dantin westchnął. - Ale i dość zabawne - przyznał. - Cieszymy się. Bancroft nie jest tu lubiany. Jest taki natrętny i, jeśli się nie mylę, będziesz miał sporą widownię - dodał ze śmiechem.

- Co? - Philip chwycił go za ręce. - Nie chcę żadnej widowni.

Saint-Dantin zamrugał powiekami i wyszarpnął rękę.

- Nie ekscytuj się tak - powiedział. - Wiercisz się i kręcisz jak kukła na sznurku. Wiem tylko, że co najmniej pięciu tu obecnych zaklina się, iż pójdą oglądać waszą walkę.

- To potworne - zaprotestował Philip. - Zabraniam ci zdradzać szczegóły spotkania.

- Och, zgoda. Sekret i tak wyjdzie na jaw.

- Jak mam zachować pewną rękę, kiedy będzie mi się przyglądać tuzin gapiów? - zapytał Philip.

- Ręka nie może ci zdrzeć - odezwał się de Chatelin.

- Stawiam na ciebie, *petit Anglais!*

Philip zaniepokoił się na serio.

- Henri, przecież tak się nie godzi. Nie angażuję się w jakieś publiczne występy. To nie walka gladiatorów!

- Uspokój się - rzucił z uśmiechem de Vangrisse. - Wszyscy cię popieramy, *mon petit**.

- Ufam, że nie zapomnicie poinformować Jego Królewskiej Mości o tym spotkaniu. - Głos Philipa ociekał sarkazmem. - Czy wynajęliście już może grajka, by nam umilał walkę?

- Philippe się gniewa - droczył się de Chatelin. - Uspokój się, ty zapalczywy kogucie.

- Napiszę odę! - zagroził Philip.

- Och nie, tego już za wiele! - wykrzyknął z emfazą de Vangrisse.

- I odczytam wam ją przed walką. Co wy na to?

- Cena jest wprawdzie wysoka - odparł Paul - ale nie nazbyt wysoka jak na taką zabawę.

* Mój mały



Rozdział dziesiąty

W którym zostaje odczytany pewien list

Cleone przysiadła na stołeczku u stóp sir Jettana i ciężko westchnęła. To samo uczynił sir Maurice. Był przekonany, że oboje wzdychają z tej samej przyczyny.

- No i cóż tam, moja kochana? - zagadnął ją podejrzanie radosnym tonem. - Jak się miewa twoja mama?

- Tak samo jak zawsze, dziękuję - odrzekła Cleone.

Sir Maurice poklepał ją po ręce.

- A jak tam nasza mała Cleone?

- Och, sir, po co pytać? Bardzo dobrze - odparła ze sztucznym ożywieniem. - A pan?

Sir Maurice okazał się jednak bardziej szczerzy.

- Prawdę mówiąc, moja kochana, brak mi tego hultaja.

Cleone pochyliła głowę.

- Naprawdę, sir? On już dawno powinien tu wrócić. Czy... czy pan już wie, gdzie on jest?

- Nie, i to właśnie mnie martwi. Moja rodzina nie lubi, niestety, pisać listów.

- A pan Tom? Nic panu nie powiedział?

- Nie. Toma też nie widziałem od jakiegoś czasu... A chłopaka nie ma już od pół roku. Mój Boże, ile bym dał, żeby znów zobaczyć, jak staje w drzwiach.

Cleone jeszcze niżej zwiesiła głowę.

- Myśli pan, że mogło go spotkać coś złego?

- Nie. Gdyby tak było, już bym o tym usłyszał. To wszystko nasza wina, Cleone, a my jeszcze śmiemy narzekać.

- Ja nigdy...

- Moja droga, przede mną nie musisz udawać. Myślisz, że o tym nie wiem?

Cleone milczała.

- Przecież to my wysłaliśmy Philipa w świat, by się nauczył ogłady. Bóg jeden wie, co się z nim stało. Powiedz mi, moje dziecko, byłabyś bardzo zawiedziona, gdyby wrócił... bez tej ogłady?

- Nie - wyszeptała Cleone.

- Ja też nie. To dziwne, ale muszę przyznać, że nawet bym wolał.

- Myśli pan... myśli pan, że... że on zmienił się... w wielkiego eleganta?

- Obawiam się, że nie - odparł sir Maurice z uśmiechem. Możesz sobie wyobrazić Philipa przebranego w miejski strój i naśladowującego miejskie maniery?

- Nie.

Na kilka minut zapadła cisza.

- Sir Maurice?

- Tak, moja droga?

- Mama dostała list od mojej ciotki, lady Malmerstoke.

- Tak? I co ona pisze?

- Chce, żebym przyjechała do niej na lato.

Sir Maurice spojrzął na Cleone.

- Pojedziesz?

- Ja... ja nie wiem. Nie chciałabym zostawiać pana samego.

- To bardzo miło z twojej strony, dziecinko, ale nie powinnaś rezygnować z wizyty tylko z mojego powodu.

- O czymś takim nie ma nawet mowy. Ja nie chcę tam jechać.

- Dlaczego, Cleone? Na lato? Pomyśl tylko o tych balach i rautach.

- Nie zależy mi na nich. - Głos dziewczyny brzmiał tak smutno, że sir Maurice znów poklepał ją po ręce.

- No, no, moja kochana.

Zapadła cisza.

- Moim zdaniem, to bardzo nieładnie ze strony Philipa, że zostawił pana na tak długi czas - odezwała się po chwili Cleone.

- Zapominasz, moja droga, że to ja go wysłałem. A on tylko mnie posłuchał.

- I... i mnie też.

Sir Maurice nic na to nie odrzekł.

- Może postąpiłam bardzo źle, robiąc to, o co mnie oskarżył?

- Czyli co?

- Powiedział, że odtrącam miłość uczciwego człowieka dla... Och, pan przecież wie, co on mówił.

- Głupi młokos! Postąpiłaś tak, jak na to zasłużyłaś. I możesz być pewna, że już wkrótce powróci i padnie ci do stóp.

Cleone spojrzała przez opuszczone rzęsy.

- Naprawdę pan tak uważa?

- Oczywiście, że tak - odparł sir Maurice z przekonaniem.

W tym samym momencie w głębi domu zabrzmiał dźwięk dzwonka. Cleone poderwała się i podbiegła do okna, z którego roztaczał się widok na gościniec. Wspięła się na palce i wyciągając szyję, próbowała zobaczyć, kto stoi na ganku.

- Ojej, to sir Harold Bancroft! - wykrzyknęła.

- Niech go piekło pochłonie - burknął niechętnie sir Maurice. - Nie znoszę jegomościa, a jeszcze bardziej tego głąba, jego syna.

Cleone spłonęła rumieńcem i nadal stała zwrócona tyłem do pokoju, dopóki nie usłyszała kroków w korytarzu. Drzwi otworzyły się i zaanonsowano gościa.

Sir Maurice wstał.

- Witaj, Bancroft. Jak to miło z pańskiej strony, że przyjechał mnie pan odwiedzić w tak zimny dzień.

Bancroft ucisnął mocno dłoń sir Maurice'a, wbijając sobie w rękę jego pierścionki, skłonił się sztywno Cleone, która dygnęła, po czym wybuchnął:

- To chyba jakiś żart, ale muszę koniecznie podzielić się z panem tą wiadomością! I klnę się, że umrze pan ze śmiechu! Wiedział pan, że mój syn jest w Paryżu?

Sir Maurice podsunął mu krzesło.

- Naprawdę? Nie, nie wiedziałem.

- No więc, jest teraz w Paryżu. - Bancroft zaśmiał się cicho. - Tak samo jak pański.

- Och! - Z ust Cleone wyrwał się stłumiony okrzyk Sir Maurice uśmiechnął się.

- Tyle zdążyłem się domyślić - powiedział wbrew prawdzie. - Ma pan jakieś wieści od Henry'ego?

- Nie, ja nie, ale dostałem list od mojego starego znajomka, Satterthwaite'a. Zna go pan?

Sir Maurice potrząsnął głową. Posadził gościa na krześle, po czym sam usiadł na kanapce, przywołując do siebie Cleone.

- Nie. Czy on też jest w Paryżu?

- Aha. A teraz niech pan poczeka, tylko znajdę ten list. Pęknie pan ze śmiechu, kiedy go przeczytam na głos.

Zaczął grzebać w dwóch okazałych kieszeniach, po czym wyciągnął trzy zmięte arkusze. Rozprostował je, i zaczął szukać stosownego akapitu.

- „Ufam, że”... Nie, to nie to! „Jesteśmy...” hm, hm, hm! O, mam! Niech pan posłucha. - Z nosem przy pergaminie zaczął czytać: „... I kogóż to ja tam spotykam, jak nie twojego chłopaka, Harry! Nie miałem pojęcia, że jest w Paryżu, bo klnę się, że byłbym go zaraz odszukał. Spotkanie moje z nim było, jak sam zobaczysz, wielce osobliwe, i tym bardziej interesujące, że sama okazja stała się w Paryżu tematem najświeższych żartów, powiem nawet skandalu, choć nie mam, rzecz jasna, na myśli naszego spotkania, lecz tego, co ci zaraz opiszę...” - Trochę to skomplikowane - rzucił Bancroft, marszcząc brwi.

- Nie - odrzekł sir Maurice. - Wszystko świetnie rozumiem.

- To jest pan lepszy niż ja! Tak czy inaczej: „Onegdaj natknąłem się na mesje de Chateau-Banvau.

- *Monsieur* de Chateau-Banvau.

- Zna go pan?

- Czy ja go znam? Jak rodzzonego brata.

- To paradne. Co za zbieg okoliczności! Ale, słuchaj pan dalej. Na czym to stanąłem? Ach, tak... „Onegdaj natknąłem się na mesje de Chateau-Banvau. Był w doskonałym humorze i postanowił mnie także trochę rozbawić, na co chętnie przystałem. Wobec tego zaproponował mi udział w pewnym fortelu, którego stronami mieli być jego protegowany, niejaki pan Philip Jettan, oraz twój syn, Henry!” - Boże, co za misterne zdanie! Słucha mnie pan, Jettan?

Pytanie było zbyteczne, gdyż sir Maurice i Cleone już dawno zamienili się w słuch. Wobec tego, zadowolony Harold Bankroft ciągnął:

- „Ten młody Jettan, wedle tego, co powiada markiz, stał się oczkiem w głowie paryskich elit, pieścioszkiem dam...” - teraz słuchaj! - „i najbardziej hulaszczym ladaco, jakiego można sobie wyobrazić. Potem markiz powiedział mi, że Henry jest w Paryżu i ma się pojedykować z tym Jettanem”.

- Jezus Maria! - wykrzyknęła Cleone.

- No właśnie, moja droga. A teraz poczekajcie jeszcze chwilę... Przyznaję się, że ta historia godzi we mnie, ale muszę wam przeczytać... „Chodzą słuchy, że przyczyną

tego pojedynku jest pewna dama, w której się obaj kochają, pewnie jakaś Francuzka".

Cleone zeszywniała i mimowolnie ścisnęła ramię sir Maurice'a.

„Ponieważ Jettan jest wielkim faworytem pośród tutejszych elegantów, na wieść o tym wszyscy zaczęli się zakładać o wynik pojedynku, i z tego, co słyszałem, większość stawia na Jettana. Do tego wszystkiego zmówili się, że będą świadkami spotkania, mimo protestów Jettana. Markiz uśmieł się z tego, po czym dodał, że Jettan zagroził im odczytaniem swojej ody, jeśli się zjawia, co markiz uznał za niebywale zabawne w związku jakąś historią dotyczącą poezji Jettana".

- Poezji Philipa? - zapytał słabym głosem sir Maurice.
- Niech pan czyta dalej, Bancroft.

- Ha, poczekaj pan tylko! O, już mam: „Markiz chciał się tam wybrać, gdy doszły go o wszystkim słuchy, i zaproponował mi, że mnie ze sobą zabierze. Na co się, rzecz jasna, zgodziłem, jak się pewnie domyślasz. I tak to w stosownym czasie stawiliśmy się w Neuilly, o wpół do dziewiątej rano, a dzień był zimny, ale to nie ma nic do rzeczy. Na miejscu zastaliśmy grupkę młodych kawalerów, z końmi lub powozami, w sumie jakieś pół tuzina, robiących zakłady i wielce rozbawionych. I niech mnie kule biją, jeżeli nie było tam skrzypka, który rzępolił, jakby od tego zależało jego życie. Wkrótce po naszym przyjeździe zajechał powóz, z którego wyskoczyło trzech panów, a pierwszy z nich zmieszał się bardzo na widok tak liczного zgromadzenia. Był to Jettan, niebywale wy-

strojony i elegancki, umalowany, z muszkami, cały w ak-samitach i jedwabiach, i Bóg wie czym jeszcze. Trochę się złościł, choć sytuacja właściwie była komiczna, więc chcąc nie chcąc, musiał się roześmiać. Odwrócił się do swoich sekundantów i kazał im odliczać, ale oni nie byli w stanie tego zrobić, tylko trzymali się za boki ze śmiechu. Potem młody Jettan kazał nam odejść, a zwłaszcza błagał markiza, by zechciał wpłynąć na wszystkich, ten jednak odmówił. Wobec tego Jettan zaapelował do nas, byśmy zechcieli się wycofać, ale wszyscy śmiali się jeszcze głośniej i kazali mu *se taire*,* nazywając go *petit Philippe* i tak dalej. W końcu sam Jettan wyciągnął z kieszeni zwój pergaminu i chciał odczytać napisaną przez siebie odeę, ale mu odebrano papier siłą. Wtedy powiedział: «Odeślijcie przynajmniej tego przekłętego skrzypka!» a oni odpowiedzieli: «Wszystko w swoim czasie», chociaż to on go zaprosił. Zanim zdążył powiedzieć więcej, a miał taki zamiar, nadjechał kolejny powóz, z którego wysiadł nasz chłopiec, Henry, oraz jego sekundanci. Kiedy zobaczyli, co się dzieje, byli oburzeni, jak się pewnie domyślasz, a Henry, blednąc i czerwieniejąc na przemian, zaczął krzyczeć, że to obraza, że nie pozwoli z siebie tak kpić. Jego sekundanci porozmawiali na stronie z sekundantami młodego Jettana, i dając słowo, trzęśli się z furii - a przynajmniej jeden, bo ten niższy zdawał się dosyć rozbawiony. Wtedy Jettan podszedł, bardzo dostojny i poważny, i skłonił się przed Henrym. «Może mi

* Zamknąć się

pan wierzyć - rzekł - że to nie moja robota. Pragnę wyrazić przeprosiny za te niewczesne żarty moich przyjaciół: "Henry z wściekłości nie był w stanie wykrztusić słowa i chciał zaraz wracać, mówiąc, że dużo zniósł, ale tego już za wiele. Wtedy kazano skrzypkowi przerwać, a widzowie zaczęli się zaklinać, że przybyli w poważnych zamiarach, by obejrzeć walkę i że nie oddalą się, póki jej nie zobaczą. Jettan zaproponował Henry'emu, że spotka się z nim innego dnia, gdzie i kiedy tylko zechce, widziałem jednak, że Henry pali się, by go przebić szpadą. «Skoro już tu jesteśmy - powiedział - skończmy tę sprawę. Czekam na pańskie warunki», na co Jettan odpowiedział «dziękuję» i cofnął się. Sekundanci Henry'ego byli za tym, żeby zrezygnować, on jednak nie chciał nawet o tym słyszeć i kazał im pójść i wybrać stosowne miejsce. W końcu wszystko było gotowe, a dwaj adwersarze zdjęli fraki i kamizelki. Widzowie nagle otrzeźwiali i ogarnęli ich lęk o Jettana, bo Henry jest wyższy od niego i z oczu wyczierała mu żądza mordy. Henry walczył z zapałem, a potrafi się też, jak wiesz niewątpliwie, doskonale bronić, ale młody Jettan był jak żywe srebro i z niezwykłą zręcznością operował szpadą. Już wkrótce stało się jasne, że Henry nie jest dla niego stosownym przeciwnikiem i, w rzeczy samej, mógł wielokrotnie zostać przebity na wylot, bo Jettan bardzo pięknie sobie z nim poczynał, mnie jednak żal było patrzeć na Henry'ego w takich opałach. Nie zdołał nawet zadrasnąć Jettana i, zanim ktokolwiek z nas się zorientował, Henry poleciał do tyłu, a jego szpada upadła na ziemię. Wtedy Jettan skłonił się bar-

dzo uprzejmie, leciutko tylko zdyszany, podniósł szpadę i wręczył ją Henry'emu. Ten zamierzał kontynuować pojedynek, bo prawdziwy z niego zuch, ale jego sekundanci nie chcieli o tym słyszeć i na tym się zakończyło. «Ufam, iż jest pan usatysfakcjonowany?» - powiedział młody Jettan. «Usatysfakcjonowany? Niech cię diabli!» - wysapał Henry, wczepiając się w jego ramię. «A co do tej drugiej sprawy - dodał Jettan - radzę panu zapamiętać, że mówiłem serio». Po tych słowach odszedł, a my rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę". - Bancroft urwał.

- Tak, ten żart godzi we mnie. I co pan na to?

Sir Maurice wziął głęboki oddech.

- Mój Boże, powinienem tam być! - rzucił ze wzburzeniem.

- O tak, klnę się, że to byłby piękny widok. Słyszał pan kiedyś coś podobnego? Philip i spódniczki? Ach, te nasze chłopaki. Te chłopaki. Satterthwaite twierdzi, że on pisze madrygały i Bóg wie co, do rzęs pięknych dam. - Bancroft zaniósł się cichym śmiechem. - No, zdenerwował mojego w gorącej wodzie kąpiącego syna.

Cleone wstała, podeszła do okna i otworzyła je, by ostudzić rozgrzane lica. A potem usiadła na niskiej sofie pod oknem i pozostała tam, dopóki pan Bancroft wreszcie się nie pożegnał.

Sir Maurice odprowadził gościa do drzwi, a po powrocie zastał Cleone sztywną i pobladałą.

- Uhm - chrząknął, po czym dorzucił: - Co za stek kłamstw!

- Tak pan myśli? - zapytała z nadzieją Cleone.

- Oczywiście, że tak. Chłopak robi tylko to, co mu kazałem: zdobywa ogłade i uczy się postępować z twoją płcią, moja droga.

Cleone poderwała się.

- Pan mu kazał... Och, jak pan mógł?!

- Moja droga, przecież to nic takiego, przysięgam. Ale że Philip pokonał w ten sposób Bancrofta. Philip pupilkiem dam. Na to nawet nie śmiałem liczyć.

- Ani ja - powiedziała z goryczą Cleone. - I... i to wszystko moja wina, bo go tak okrutnie odtrącałam... Ale jak on mógł?

Sir Maurice milczał.

- On... on... myślałam, że on... - Urwała, by po chwili przemówić sztucznie pogodnym tonem. - Wie pan co, chyba jednak powinnam pojechać do ciotki.

- Tak sądzisz, moja droga? - zapytał zamyślony sir Maurice.

Sir Maurice był tak poruszony wizytą starego Bancrofta, że jeszcze - rzecz to niezwykła - tego samego wieczoru napisał do brata. Skutkiem tego listu była krótka notka od Toma, którą Philip dostał tydzień później.

„Drogi bratanku! Diabeł musiał się w to wtrącić, bez wątpienia. Stary Satterthwaite asystował przy twoim wariackim pojedynku i opisał całą rzecz Harry'emu Bancroftowi, który, niech diabli porwą tego wścibskiego osła, przeczytał list Twojemu ojcu i Cleone. Podobno Ty i B. pokłóciliście się o jakąś francuską wydrę, co może być prawdą, z tego, co mi wiadomo. W każdym razie

Cleone tak straszliwie się rozgniewała, że pojechała do miasta do swojej ciotki, starej Sally Malmerstoke. Maurice pisze mi o tym i domaga się Twojego powrotu, bo martwi się o dziewczynę, ale w duchu cieszy go ta historia, o ile dobrze odczytałem jego list. Rób, jak uważasz, drogi chłopcze, ale ostrzegam cię, Cleone jest w takim stanie, że gotowa popełnić jakieś głupstwo, co się zdarza, kiedy dziewczyna myśli, że została źle potraktowana. A to niesamowicie ładniutka szelma. Pozdrowienia dla Chateau-Banvau i dla Ciebie. Tom".



Rozdział jedenasty

W którym Philip zaskakuje swojego wuja

Thomas siedział zatopiony w lekturze najświeższego numeru „Ramblera”*, gdy nagle jego uwagę przykuł odgłos kół powozu, hamującego przed domem. Wstał i przeciągnął się. Był ciekaw, kto mógł wybrać taki dzień, by złożyć mu wizytę. Podeszedł do okna i wyjrzał na tonącą we mgle ulicę. Ku swemu zdumieniu zobaczył nie lekki miejski powozik, ale wielką karocę podróżną, wyładowaną po sufit bagażami i ciągnioną przez cztery spocone konie. Nagle drzwiczki karocy otworzyły się na oścież i ze środka wyskoczył zgrabny dżentelmen, nie czekając, aż przystawią mu schodki. Mężczyzna ów miał na sobie szeroką pelerynę, uszytą na paryską modłę, a na nogach lśniące skórzane buty. Tom patrzył na to wszystko ze zdumieniem. Potem z głębi karocy wyłoniło się dwóch ludzi, najwyraźniej

* Periodyk wydawany w latach 1750-52 przez Samuela Johnsona, angielskiego pisarza i krytyka

służących - jeden krępy i żyłasty, drugi zaś wysoki i blade. Obaj mieli bardzo zgębnione miny. Mężczyzna w dobrze skrojonej pelerynie przywołał ich i zasypał gradem poleceń. Niższy sługa, ledwie widoczny zza niesionych pudeł, kiwnął głową, drżąc z zimna, i zawrócił do chudzielca. Wtedy mężczyzna w pelerynie odwrócił się i wbiegł po prowadzących do drzwi frontowych schodach. Po chwili dał się słyszeć przeciągły dzwonek.

Tom podszedł do kominka i stał przez chwilę zwrócony tyłem do ognia. Przyszło mu na myśl, że to jego przyjaciel Mainwaring przybył z wizytą, ale dlaczego zabrał tak wielki bagaż? W głębi duszy żywił jednak nadzieję, że nieznajomy gość zadzwonił do jego drzwi przez pomyłkę.

Zaraz jednak usłyszał szybkie kroki w korytarzu i drzwi biblioteki otworzyły się na oścież. Gość, z kapeluszem w rękę, stanął przed Tomem i skłonił się nisko.

- Całuję rączki szanownego wujaszka - powiedział, po czym podbiegł, by to uczynić.

- Wielkie nieba, Philip. - Tom aż się zająknął. - Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przynajmniej przez tydzień, mój chłopcze.

Philip rzucił kapelusz i rękawiczki na stół, po czym wyplątał się z peleryny.

- Czyżbym przybył nie w porę?

- Ależ skąd - zapewnił go Tom. - Wyprostuj się, moje dziecko, niech ci się przyjrzę. - Kiedy Philip stuknął obcasami i stanął roześmiany naprzeciw wuja, ten wytrzeszczył oczy i gwizdnął. - Na Boga, to niesamowite. Jak zdołałeś dokonać tego w sześć miesięcy?

Philip pomiął to pytanie milczeniem. Podszedł do kominka, by rozgrzać sobie ręce.

- Mgła, ziąb, wilgoć! Brr! Co za okropny klimat! Tom, czy mógłbym się u ciebie zatrzymać, zanim znajdę sobie jakieś lokum?

Wuj z trudem oderwał oczy od jego bordowego fraka z najświetniejszej materii, ze złotym szamerunkiem.

- Jak możesz nawet pytać? Zostań, jak długo zechcesz, chłopcze. Powiem ci, że aż miło na ciebie popatrzeć.

- Dzięki za komplement. - Philip się uśmiechnął. - Pewnie podziwiasz to połączenie bordo z biskwitem?

Wzrok Toma prześlizgnął się w dół, do nieskazitelnie gładkich beżowych pludrów.

- O tak, wszystko podziwiam. A zwłaszcza te buty. Skąd je masz?

Philip, jakby od niechcienia, spojrział na swoją kształtną nogę.

- Zrobili mi je na miarę, ale nie jestem zadowolony. Będę chyba musiał oddać je Francois.

- Oddać je Francois?! - wykrzyknął Tom. - Ty niedobry chłopcze. Gdzie jest ten człowiek?

- On i Jacques walczą z moim bagażem... i z Moggatem. - Gestem ręki powstrzymał Toma, który już ruszał do drzwi. - Ach, nie przeszkadzaj sobie. Rozmawiałem już z *ce bon** Moggatem. Nie ma problemu. On wszystkim się zajmie.

Tom zawrócił.

* Tym pocziwym

- Ale on oszaleje. Tyle bagażu.

- Tyle bagażu? - Philip uniósł brwi. - Czyżby go już przywieźli? - Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. - Nie, jeszcze nie.

- Jak to? Więc będzie jeszcze więcej? - zapytał Tom.

- Oczywiście! Przywiozą go później.

Tom usiadł, bo ugięły się pod nim kolana.

- I to ty, który pół roku temu uważałeś, że trzy fraki to aż nadto.

Philip wrócił przed kominek.

- To było tak dawno - stwierdził, krzywiąc się z niesmakiem. - To już zamknięty etap w moim życiu.

Tom zerknął na niego spod oka.

- Wszystko? Cleone też?

- Och! - Philip uśmiechnął się. - To już... inna sprawa. Muszę ci podziękować za list, wuju.

- Więc to on cię tu sprowadza?

- Po części. Czy ona tu jest?

- Aha, u Sally Malmerstoke. Została już zresztą zauważona. Sally zabiera ją wszędzie. Jest rozchwytywana... i uwielbiana - dorzucił Tom z szelmowskim błyskiem w oku.

- Ho, ho! - Philip nalał sobie szklaneczkę burgunda z karafki stojącej na stoliku. - Jest na mnie zła, jak przypuszczam.

- Tak sądzę. Satterthwaite napisał, że ty i Bancroft biliście się z powodu jakiejś francuskiej dziewczki. Czy to prawda?

- Ani trochę. Prawdę mówiąc, poszło o Cleone.

- Och! Powiesz to Cleone, oczywiście?

- W żadnym wypadku.

Tom wytrzeszczył oczy.

- Więc co? Masz jakiś zmyślniejszy fortel w zanadrzu?

- Może. Ach, sam nie wiem. Jestem jej wdzięczny za to, że mnie zreformowała, ale zgodnie z ludzką naturą, jestem też zły i urażony. *Le petit Philippe* gniewa się - powiedział i nagle się roześmiał. - Dlatego postanowił sprawdzić, czy to jego samego kocha, czy tę malowaną lalę. Może to i głupie, ale co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Jesteś teraz malowaną lalą?

- A kim innym?

- Wielkie nieba. - Tom westchnął i pogрузzył się w zadumie.

- Chcę, by mnie pokochała dla mnie samego, a nie dla moich strojów, manier czy wdzięków. Czy to aż tak niezrozumiałe?

- Bynajmniej. Rozumiem twoje uczucia. Co, wobec tego, trzeba zrobić?

- Już tylko wyładować bagaże. - Philip zerknął w stronę okna. - To, co teraz słyszysz, to powóz.

- Nie, nie o to mi chodzi.

Tom nadstawił ucha. Z holu dobiegały podniesione, kłótniwe głosy.

Philip roześmiał się.

- To mój niezrównany Francois. Obawiam się, że Moggat nie znajdzie w jego oczach uznania.

- Dam głowę, że on nie znajdzie uznania w oczach Moggata. A ten drugi, to kto?

- Jacques, mój służący i *homme a tout faire**
- Ho, ho, widzę że masz cały orszak.
- A jakże inaczej? - Philip wzruszył ramionami. Usiadł naprzeciw wuja i wyciągnął nogi w stronę ognia. - Nie lubię takiej pogody.
- A kto lubi? Skoro tu wróciłeś, co zamierzasz robić?
- Kto to wie? Pokłonię się londyńskiej socjecie, trochę się rozerwę i sprokuruję sobie jakieś lokum.
- Złożysz uszanowanie Cleone?
- W oczach Philipa pojawił się łobuzerski błysk.
- Przedstawię się, oczywiście, Cleone - takim, jakim chciała mnie widzieć. Będę cedzącym słówka, próżnym, afektowanym fircykiem. Ale takim się w głębi duszy nie stałem, możesz mi wierzyć.
- Tom przyjrzał mu się uważnie.
- Rzeczywiście. Nie cedzisz słów.
- Ale będę - obiecał mu Philip. - Będę też bardzo ospały.
- Taka teraz moda. Nie podążasz za modą?
- Mnie to nie bawi. Jestem *le petit original*** . Ha! Będę tęsknił za domem. To nieuniknione.
- Rzeczywiście czułeś się w Paryżu jak w domu? - zapytał ze zdumieniem Tom. - Polubiłeś tych Francuzików?
- Czy ich polubiłem?! A czy można ich nie lubić?
- To możliwe - przynajmniej w twoim przypadku. Znalazłeś tam chociaż wielu przyjaciół?

* Człowiek do wszystkiego

** Mały oryginał

- *A revendre** Przygarnęli mnie do swego łona.
- Ach, doprawdy. A kogo zaliczasz do swoich najbliższych przyjaciół?
- Saint-Dantina. Znasz go?
- Tak, poznałem go. Taki wysoki brunet?
- Aha. Są jeszcze Paul de Vangrissé, Jules de Bergeret, Henri de Chatelin - och, wszystkich nie wyliczę. Są czarujący.
- A damy?
- Także urocze. Czy miałeś kiedykolwiek okazję spotkać Clothilde de Chaucheron albo Julie de Marcherand? Ach, co za piękne wspomnienia. Do swoich największych osiągnięć zaliczam rondo. Musisz któregoś dnia tego posłuchać.
- Ale czego? - wykrzyknął Tom ze zdumieniem.
- Mojego ronda: „Do perły, która drży w jej uchu”. Szkoda, że nie mogłeś tego widzieć.
- Czego? Tego ronda?
- Tej perły, człowieku! Bo rondo z całą pewnością zobaczysz, a raczej usłyszysz.
- Boże litościwy. - Tom westchnął. - Rondo, Philip poeta... Niech mnie kule biją!

- Czy pan będzie jadł dziś wieczorem w domu? - zapytał Francois.

Philip, który siedział przy toalecie zajęty całą baterią słoiczków oraz swoim obliczem, kiwnął głową.

* Pod dostatkiem!

- Wuj *monsieur*, jak rozumiem, przyjmuje dziś gości?
- Będą karty - odpowiedział Philip, przesuając ostrożnie palcem po brwiach.

Francois podskoczył do szafy i otworzył drzwi. A potem, z palcem przy nosie, zaczął się głośno zastanawiać:

- Niebieski ze srebrnym... zbyt strojny. Pomarańczowy... .. niezbyt odpowiedni. Lila... Lila... to jest to!

Philip otworzył słoiczek z różem.

- Popielaty miałem na sobie u de Flauberta w zeszłym miesiącu.

Francois pacnął się w czoło.

- Ach, durniu! - zganił sam siebie. - Ten będzie najlepszy. - Dał nura w głąb szafy, by wyłonić się z szarym frakiem. Położył go na łóżku, gładząc czule, po czym popędził do wielkiego kufra i wyjął różowo-srebrną kamizelkę, którą tak podziwiał de Bergeret, oraz popielate koronki. Nagle zastygł. - Pończochy...? Pończochy ze szlaczkiem z kolibrów... *ou sont-ils?** - Zajrzał do szuflady i zaczął przewracać starannie poukładane stopy pończoch, a potem, dygocąc z furii, popędził do drzwi.
- Tam, do diaska. Jacques! Ty łajdaku!

W odpowiedzi na jego natarczywe wezwania pojawił się trupio blady, roztrzęsiony służący. Francois chwycił go za ramię i zaczął nim wściekle potrząsać.

- Ty wstrętna, obmierzła kreaturo! - ryknął z wściekłością. - Gdzie jest to małe pudełko, którego miałeś strzec jak oka w głowie? Gdzie ono jest, pytam? Ty...

* Gdzie one są?

- Oddałem ci je do rąk własnych - odparł ze smutkiem Jacques. - Do twoich własnych rąk, tu, w tym pokoju, przy drzwiach. Mogę przysiąc.

- Możesz przysiąc? Co dla mnie znaczy twoja przysięga? Powiadam ci, że nie widziałem tego pudełka. Pamiętasz, co powiedziałem w Dover? Że odpowiadasz za nie głową! - Głos jego wznosił się coraz wyżej. -I gdzie ono jest?

- Mówię, że ci je dałem. To ten ziąb zamącił ci myśli. Nie wypuściłem z rąk pudełka, póki go tobie nie oddałem.

- A ja mówię, że mi go nie dałeś. Czyżbym zgłupiał do tego stopnia, żeby zapomnieć? Widzisz, co narobiłeś, hultaju! Zgubiłeś pończochy naszego pana. Przez swoją nieobliczalną głupotę, głupotę świni, osła....

- *Sacre nom de Dieu!** Jak długo mam wysłuchiwać tych waszych wrzasków? - Philip odrzucił zajęczą nóżkę i odwrócił się na krześle. - Zamknijcie drzwi. Chcecie zirytować mojego wuja tymi krzykami w jego własnym domu? - zagrzmał.

Francois rozłożył ręce.

- *Monsieur*, pan wybaczy. To ten osioł, ten niedbaluch...

- Ależ, *monsieur* - zaprotestował Jacques. - To niesprawiedliwe; to nieprawda.

- Niech pan posłucha, *monsieur* - błagał Francois, gdy srogie szare oczy przeniosły się z jego twarzy na twarz nieszczęsnego Jacques'a. - Chodzi o to pudełko z pana

* Psiakrew!

pończochami w kolibry. Ach, czemuż sam go nie wziąłem. Gdybym tylko...

- Gdybyś tylko zamilkł wreszcie - powiedział surowo Philip. - Jeżeli któryś z was zgubił te pończochy...
- Urwał i raz jeszcze zgromił obu wzrokiem - Będę musiał poszukać sobie innego lokaja.

Francois łyzy stanęły w oczach.

- Och, nie, nie, *monsieur!* To ten *imbecille*, ta ropucha.
- *Monsieur*, błagam pana...

Philip teatralnym gestem wskazał na drugi koniec pokoju. Obaj służący z trwogą spojrzeli w ślad za jego oskarżycielskim palcem.

- Ach! - Francois rzucił się przed siebie. - *La voila!** *A nie mówiłem? - Przycisnął pudełko do piersi. - Nie mówiłem?

- To nieprawda! - zawołał Jacques. - Nie tak mówiłeś! Krzyczałeś, że nie widziałeś tego pudełka. A ja mówiłem, że...

- Dosyć już! - zarządził Philip. - Nie będę dłużej znosił tych kłótni! Uspokój się, Francois! Ty mały małpiszonie!

- *Monsieur*. - Francois poczuł się głęboko dotknięty. Jego drobna twarz o ostrych rysach zmarszczyła się boleśnie.

- Małpiszonie - ciągnął bezlitośnie Philip - bardziej zajęty pyskowaniem niż dbaniem o moje dobro.

- Ach, nie, nie *monsieur*. Klnę się, że to nieprawda. Na...
- Niepotrzebne mi twoje zaklęcia - rzucił surowo

* Imbecyl

** Oto ono!

Philip. - Mam czekać przez całą noc na mój fontaż, podczas gdy ty obrzucasz obelgami poczciwego Jacques'a?

Francois wyrwał pudełko z rąk Jacques'a.

- Ach, *miserable!** Fontaż! Idźże już wreszcie, potępiencie! - Zaczął odpędzać gwałtownie Jacques'a. - Przeszkadzasz mi tylko. Opóźniasz mnie. Irytujesz. *Va-t-en!***

Jacques potulnie posłuchał, a Philip znów spojrzał w lustro. Francois podszedł do niego, cały w uśmiechach.

- On chce dobrze, *ce bon**** Jacques - powiedział, wiążąc Philipowi fontaż. - Ale jest głupi, pan rozumie, bardzo głupi. - Uniósł delikatnie podbródek Philipa. - On pana irytuje, *monsieur, ah oui!***** Ale, poza wszystkim, to dobry *garcon******.

- To ty mnie irytujesz - odparł Philip. - Nie tak ciasno, nie tak ciasno. Chcesz mnie udusić?

- *Pardon, monsieur!* Nie, to nie Francois pana irytuje! Ach, po tysiackroć nie! Francois może i jest małym małpiszczonem, skoro *monsieur* tak powiada, ale jest też bardzo dobrym lokajem, *nest-cepаст****** Małpiszczon, jeśli tak się *monsieur* podoba, ale świetnie wiąże fontazie. *Monsieur* sam tak powiedział.

- Dziecko z ciebie - stwierdził Philip. - Tak, bardzo ładnie. - Przyjrzał się swojemu odbiciu. - Jestem zadowolony.

* Nieszczęśniku

** Idź sobie!

*** Ten poczciwy

**** No tak

***** Chłopak

***** Nieprawdaz?

- Aha. - Francois klasnął z radości. - *Monsieur* już się nie gniewa. Pójdę teraz po kamizelkę.

Potem ukląkł przed swoim panem i zapinając mu pończochy, zaczął mówić:

- Byłem już wcześniej w tym kraju i dobrze go rozumiem. Rozumiem Anglików. Znam ich, to niemądra nacja - wyjąwszy oczywiście *monsieur*, bo *monsieur* jest bardziej Francuzem niż Anglikiem - ale nigdy, przynigdy nie miałem pecha spotkać takiego okropnego Anglika, jak ten służący wuja *monsieur*, ten Moggat. Taki gbur, taki nieuprzejmy. Patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem. Nie potrafię nawet opisać *monsieur*, jaki jest grubiańsko. Może myśli, że zamierzam wskoczyć w jego liberię? Ale ja gwizdzę na to. Rozmawiam z nim tak, jak mi *monsieur* nakazał - *tres doucemet**. A on udaje, że nie rozumie, co do niego mówię. A przecież mówię po angielsku tak dobrze jak po francusku. Niech *monsieur* spróbuje postawić się na moim miejscu. Tłumaczę mu, że mam go w pogardzie, a on gra mi na nosie i mruczy „cholerny żabojad”! *Grand Dieu***, wytargałbym go za uszy, tego zuchwalca!

- Mam nadzieję, że tego nie zrobiłeś - zaniepokoił się Philip.

- Ach, nie. Nie zniżyłbym się do tego, *monsieur*. Jestem przecież łagodnego usposobienia, *riest-ce-past*. Ale Jacques to co innego. On ma ognisty tempera-

* Bardzo łagodnie

** Dobry Boże

ment, ce *pauvre Jacques**. Boję się o tego Moggata. Co będzie, jeżeli rozzłości naszego Jacques'a? - Potrząsnął ze smutkiem głową i sięgnął po szary atłasowy frak. - Gdyby *monsieur* zechciał teraz wstać. Ah, *bien*. - Zaczął powoli naciągać frak na Philipa. - Mówię panu, *monsieur*, umieram z niepokoju. Jacques potrafi ziać ogniem, kiedy się zdenerwuje, zupełnie inaczej niż ja, bo ja zawsze jestem *doux comme un enfant***. Myślę, że on nie będzie chciał zostać pod jednym dachem z tą świnią Moggatem.

Philip strzepnął koronki.

- Nie zauważyłem objawów tak gwałtownego usposobienia u Jacques'a - stwierdził.

- Oczywiście, że nie. On nigdy by tego po sobie nie pokazał w obecności *monsieur*. Mam mu na to pozwolić?

- No cóż. - Philip wsunął na palec pierścień. - Żał mi Jacques'a, ale musi się uzbroić w cierpliwość. Już wkrótce przeniosę się do własnego domu.

Twarz Francois rozjaśniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- *Monsieur* jest taki dobry. Własny dom. Czyżby *monsieur* planował mariaż?

Philip upuścił tabakierkę. Zmełł przekleństwo w ustach, ale się opanował.

- Pilnuj swojego nosa, Francois!

* Biedny Jacques

** Łagodny jak dziecko

- Ah, *pardon, monsieur*- odparł niepoprawny Francois.
 - Myślałem, że skoro wraca pan z takim pośpiechem do Anglii, to znaczy, że chce się żenić.

- Trzymaj język za zębami! - rzucił ostro Philip. - Zrozum mnie, Francois, nie życzę sobie żadnych plotek na mój temat ani przy mnie, ani za moimi plecami! Zrozumiano?

- Ależ oczywiście, *monsieur*. - Francois się zmieszał.
 - Ja po prostu nie umiem zapanować nad językiem.

- To się naucz.

- Tak jest, *monsieur*. - Francois podał potulnie Philipowi laskę i chusteczkę. A potem, widząc że jego pan jest nadal nachmurzony, zapytał: - *Monsieur* jest ciągle zły?

Philip spojrział na niego z góry. Na widok zmartwionej prostodusznej twarzy lokaja rozchmurzył się, a potem roześmiał.

- Jesteś zabawny - powiedział.

W odpowiedzi Francois rozpląnął się w uśmiechach.

Kiedy jednak Philip oddalił się, by dołączyć do wuja, lokaj pokiwał głową z przebiegłą miną, i głośno cmoknął.

- *C'est une femme* *- zawyrokował. - Jestem tego absolutnie pewny.

* To kobieta



Rozdział dwunasty

W którym Philip podejmuje ryzykowną grę

Francois musiał jeszcze przez cały tydzień znosić wstrętnego Moggata. Nagrodą za jego cierpienia była wiadomość, że Philip już wkrótce zamierza przeprowadzić się do domu przy Curzon Street, będącego własnością jednego z przyjaciół Toma. Dżentelmen ów zgodził się wynająć dom na dwa miesiące, gdyż wybierał się na ten czas za granicę.

Philip pojechał obejrzeć lokum i przekonał się, że jest umeblowane z wielkim gustem. Domówił się więc z jego właścicielem, po czym wrócił na Half-Moon Street, by zakomunikować Francois radosną nowinę. Od tego momentu jego lokaj był w siódmym niebie. Będzie zarządzał domem dla *monsieur*; znajdzie *monsieur* kucharza. Philip z ochotą złożył całą odpowiedzialność na jego barki. Wobec tego, Francois z miną zdobywcy wyruszył na poszukiwanie syna swojej ciotki, który, jak twierdził, był bardzo przyzwoitym kucharzem.

Philip nie miał pojęcia, że jego lokaj ma krewnych,

zwłaszcza w Londynie. Kiedy powiedział to Francois, ów przyznał z rozbijającym uśmiechem, że zapomniał o istnieniu tego kuzyna, a przypomniał sobie dopiero, gdy *monsieur* powiedział mu o nowym domu.

- A wtedy sobie przypomniałem. Bo *monsieur* będzie potrzebował *un chef*,* prawda?

- Z całą pewnością - odparł Philip. - Może jednak twój kuzyn nie będzie chciał przyjść do mnie na służbę, a w takim razie będę musiał poszukać angielskiego kucharza.

- Angielskiego kucharza? Ach, pfe! Czy mógłbym na to pozwolić, żeby *monsieur* był tak źle obsługiwany? Nie! *Monsieur* musi mieć francuskiego fachowca. Co Anglik może wiedzieć o kuchni? *Monsieur* miałby jeść pozbawione smaku, wodniste jarzyny, takie jak te ugotowane przez żonę Moggata? Nigdy! Pójdę poszukać mojego kuzyna.

- Dobrze - odparł Philip.

- Wtedy będziemy mieli gospodarstwo jak należy. Nasz biedny Jacques nie zniósłby w domu Anglika.

- Mam nadzieję, że nie zostanę pominięty? - Philip się uśmiechnął.

- *Monsieur* kpi sobie ze mnie! Czy chodzi o to, że *monsieur* jest Anglikiem? Przecież *monsieur* jest *comme un Francais***.

- Po tych słowach oddalił się w poczuciu ważnej misji.

Kuzyn okazał się tęgim, jowialnym jegomościem, o wdzięcznym imieniu Marie-Guillaume. Francois przed-

* Szefa kuchni

** Jak Francuz

stawił go z dumą i Marie-Guillaume został zaangażowany. Na tym zakończyły się obowiązki Philipa. Francois skupił całą władzę w swoim ręku i w ciągu tygodnia zainstalowali się przy Curzon Street. Philip wyraził jedynie życzenie, by wprowadzić się do nowego lokum we czwartek. Tego dnia pojechał do Ranelagh, by po powrocie na Half-Moon Street przekonać się, że jego bagaże zniknęły. Pożegnał się wobec tego z Tomem i poszedł w górę ulicy, za róg, na Curzon Street.

W nowym domu wszystko lśniło czystością, a bagaże zostały już rozpakowane. Francois był bardzo z siebie zadowolony. Wyglądało, jakby mieszkali tu od miesięcy - żadnego bałaganu, zamieszania, powolnego zagospodarowywania się. Francois, Jacques i Marie-Guillaume w ciągu niespełna godziny wpasowali się w swoje role. Wzruszony Philip poinformował Francois, że jest nieocenionym skarbem.

Tego samego wieczoru wybrał się na bal wydany przez księżnę Queensberry. Tam też, po raz pierwszy od powrotu do Anglii, spotkał Cleone.

Księżna powitała go wylewnie, gdyż Philip stał się już wśród socjety osobą wielce pożądaną przez panie domu. Tom nie na próżno przedstawił go w eleganckim świetle. Damy, urzeczone otaczającą go francuską aurą, bez żenady słały mu zalotne spojrzenia. Panowie natomiast rychło odkryli, że mimo swoich uroków jest w głębi duszy wyjątkowo skromny i naturalny, i obdarzyli go przyjaźnią. Ludzie zaczęli szukać jego towarzystwa i czuli się zawiedzeni, kiedy był nieobecny.

Do tej pory nie widział się jednak z Cleone, chociaż ze wszystkich stron dochodziły go słuchy na jej temat. Jak się dowiedział, została okrzyknięta najnowszą londyńską pięknnością.

Gdy ją nareszcie zobaczył, tańczyła, uśmiechając się do swego partnera oczami, które wydawały się jeszcze bardziej błękitne, i ustami wygiętymi w uroczy łuk. Złote włosy, nieupudrowane, zostały upięte w loczki na czubku głowy. Na jej widok Philip pomyślał, że jest jeszcze piękniejsza niż przedtem.

Stanął z boku i przyglądał się, ale ona go nie widziała, a nawet o nim nie myślała. Wzrok miała promienny i radosny. Kim jest jej partner? Bezmózgim durniem. Mizdrzącym się głupkiem. Tak, oto wszystko, na czym jej zależy. Dłoń Philipa zacisnęła się na tabakierce.

- O, Jettan. Widzę, że wypatrzyłeś prześliczną Cleone.

Philip odwrócił się. Lord Charles Fairfax wyrósł u jego boku jak spod ziemi.

- Tak - odparł.

- Skąd ta zacięta, ponura mina? - zapytał Fairfax. - Co cię gnębi?

Zaciśnięte usta Philipa rozciągnęły się w uśmiechu.

- Oniemiałem z wrażenia - odparł. - Czy cię to dziwi?

- Jak my wszyscy. Jest bardzo piękna, prawda?

- Olśniewająca - przyznał Philip. - Możesz mnie przedstawić? - dorzucił, widząc, że partner odprowadza Cleone na miejsce.

- Co?! I popsuć sobie szanse? Słyszeliśmy o twoich zabójczych sposobach na płec piękną.

- Protestuję! To potwarz! - wykrzyknął Philip. - Miej litość. Błagam, przedstaw mnie.

- No dobrze, ale wbrew mej woli - żartobliwym tonem powiedział Fairfax, po czym podszedł do siedzącej Cleone.

- Panno Cleone, nie obdarzy pani uśmiechem najpokorniejszego ze swych wielbicieli?

Cleone odwróciła głowę.

- O, lord Charles. Mamy ze sobą na pieńku. Czy pan wie, że przez cały wieczór nie zbliżył się pan do mnie? Czuję się głęboko dotknięta. Może pan być tego pewny.

- Droga pani, jak miałem tego dokonać? - zaprotestował Fairfax. - Aż do tej chwili była pani otoczona ścisłym kordonem wielbicieli.

Cleone roześmiała się radośnie.

- To nieprawda, sir. Pan lubi się ze mną droczyć. - Omięła spojrzeniem rozmówcę i popatrzyła na Philipa.

Fairfax pociągnął go do przodu.

- Panno Cleone, czy mogę pani przedstawić kogoś, kto świeżo przybył z Paryża i, jak przysięga, oniemiał na widok pani urody? Oto pan Jettan, o którym krążą pikantne historyjki.

Cała krew odpłynęła Cleone z twarzy. Nagle zrobiło jej się słabo, zacisnęła palce na wachlarzu. Przez moment myślała, że się myli; że to nie może być Philip, ten modny dżentelmen, który stoi przed nią i kłania się tak nisko. I mówi, na Boga! To jednak Philip. Nie sposób przecież nie rozpoznać tego hardego podbródka.

- *Mademoiselle*, to dla mnie honor - odezwał się. - Patrzyłem na panią i konałem z pragnienia. Lord Charles ulitował się nade mną, za co nigdy nie przestanę mu dziękować.

Cleone spróbowała coś powiedzieć, ale na próżno. Oszołomiona, lustrowała go wzrokiem od upudrowanych loków peruki po brylantowe sprzączki butów. Philip w szelszczących jedwabiach i koronkach, z muszkami na twarzy i umalowany, obsypany klejnotami, z wypolerowanymi paznokciami. Czy to sen? Ten wymuskany dżentelmen to jej prostoduszny Philip? To nie do wiary! To niemożliwe! Co on takiego teraz mówi?

- Nie sądziłem, że panią tu spotkam, *mademoiselle!* Pani jest z *madame* Charteris, nieprawdaż?

Cleone próbowała zebrać myśli. Ogarnęło ją jednak dziwne odrętwienie.

- Nie, ja... jestem z moją ciotką, lady Malmerstoke - zdołała odpowiedzieć.

- Z lady Malmerstoke? - Philip ujął lornion i omiótł wzrokiem salon. - Ach tak, ta dama w zielonej toalecie. Doskonale ją pamiętam.

- Och... więc ją... więc ją... pan zna? - Cleone nie mogła oderwać od niego oczu.

- Miałem przyjemność spotkać ją któregoś wieczoru, ale zapomniałem już gdzie.

- Na-naprawdę? - Cleone pomyślała, że to jakiś koszmar.

Philip usiadł obok niej.

- Od dawna bawi pani w mieście, *mademoiselle!* Nie-

wątpliwie to wszystko musi być dla pani bardzo męczące? - Zatoczył ręką krąg.

Odrętwienie zaczęło z wolna ustępować miejsca oburzeniu. Jak Philip śmie przemawiać do niej w ten sposób? Jak może zachowywać się tak, jakby byli sobie obcy?

- Przebywam w Londynie od miesiąca. I nie jestem wcale zmęczona. Dobrze się tu bawię.

Philip uniósł brwi.

- Co za miła odmiana - powiedział. - Gdy wszyscy wokół są śmiertelnie znudzeni, co za rozkosz spotkać kogoś, kto dobrze się bawi. - Spojrzał na nią z podziwem. - A z radością bardziej pani do twarzy niż innym kobietom z nudą.

Cleone poczuła, że brnie coraz głębiej w koszmar.

- Jestem szczęśliwa, że znalazłam uznanie w pańskich oczach, sir. Kiedy wrócił pan z Paryża?

- Przed dwoma tygodniami. We mgle, która zmroziła mnie aż do szpiku kości. Mało brakowało, a byłbym uciekł z powrotem do Francji. Teraz jednak - skłonił się z gracją - jestem szczęśliwy, że nie wycofałem się zbyt pochopnie.

- Doprawdy? - sucho rzuciła Cleone. - Jak znalazł pan sir Mauricea?

- Jeszcze się z nim nie widziałem - odparł Philip. W jego spojrzeniu malowało się rozbawienie.

Jak on śmie z niej drwić?

- Napisałem do niego, błagając, by zechciał zaszczyścić mój dom swoją obecnością.

- Nie zaproponował mu pan, że pan do niego przyjedzie? Philip zdumiał się.

- *Mademoiselle* raczy żartować? Na wieś w taką pogodę? - Wzdrygnął się z obrzydzeniem.

- Rozumiem - powiedziała Cleone przekonana, że Philip mówi prawdę, i zaczęła gniewnie przytupywać.

Rozmawiający z nią elegant przyjrzał się jej stopie przez lornion.

- Taka mała stopka... - zauważył miękko, a gdy stopa cofnęła się, dorzucił: - Ach, okrutna! Zainspirowała mnie do napisania... myślę... madrygału. Otulona srebrnym atłasem... Ach!

- Bawią pana żarty z mojej stopy?

- *Jamais de ma vie** - Philip wyrzucił ręce do góry. - Ta stopka nie jest pożywką ani dla żartów, ani dla westchnień, lecz tylko przyczyną czystej radości. Moje oko, *chere mademoiselle,*** jest bardzo czułe na piękno - czy to twarzy, czy stopy. Oko szepce do mózgu i rodzi się madrygał. Dam głowę, że słyszała pani setki takich madrygałów. Nasłuchałem się tyle o pani podbojach, że omal nie umarłem z zazdrości.

- Co za absurd. - Cleone jednak zachichotała.

- Absurd? Ach, gdybym mógł mieć tę pewność.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi, sir.

- Pozostaje mi tylko błagać, bym i ja mógł paść do tych drobnych stópek.

- Panie Jettan, pozostaje mi tylko błagać, by przestał się pan ośmieszać.

- Jeżeli śmiesznym jest wielbić cię, pani, to muszę

* Nigdy w życiu!

** Droga panno

wymówić ci posłuszeństwo, najśliczniejsza. Za jeden uśmiech gotów jestem zrobić wszystko oprócz tego jednego, gdyż to ponad moje siły.

- Stał się pan bardzo zręcznym pochlebcą, sir - orzekła Cleone z błyskiem w oku.

- Ależ skąd. Pochlebstwo nigdy nie znajdzie się pośród moich talentów, nawet gdyby było potrzebne, a w tym wypadku - uśmiechnął się znacząco - absolutnie nie jest.

- Pan mnie zdumiewa, sir. Sądziłam, że Paryż to kolebka pochlebstwa.

- To potwarz. Paryż uczy doceniać prawdziwą wartość.

- Ba! - Cleone także potrafiła udawać. - Jest pan dla mnie zbyt głęboki, panie Jettan. Obawiam się, że nie jestem godną partnerką dla pańskich żartów. Dopiero co przyjechałam ze wsi. - W jej głosie zabrzmiała kąśliwa nuta.

- Wręcz trudno w to uwierzyć - odparł Philip, przyglądając jej się okiem znawcy.

- Wręcz trudno w to uwierzyć, że nie dalej jak sześć miesięcy temu pogardzał pan tym wszystkim. - Wachlarzem wskazała na jego lśniący frak.

- To było tylko sześć miesięcy temu? A mnie się wydaje, jakby to było w innym życiu. A pani tak dobrze to pamięta, *mademoiselle*.

- Ja? - Cleone zrozumiała swój błąd i pospieszyła go naprawić. - To nie ja. To kochany sir Maurice wszystko pamięta. - Zbadała wzrokiem jego twarz, w poszukiwaniu jakiejś zmiany, ale Philipowi nawet nie drgnęła powieka.

- Skoro tak, jestem niepokieszony. - Westchnął. - *Mademoiselle* Cleone nie pamięta powodów mojego odjaz-

du? Chyba rzeczywiście tak jest. Los pobłogosławił ją darem zapomnienia.

Cleone serce szybciej zabiło w piersi. W miłym głosie usłyszała coś jakby nutę żalu.

- Moja pamięć także nie sięga zbyt daleko, *mademoiselle*, jestem jednak pewny, że coś pani zawdzięczam.

- Naprawdę? Chyba jest pan w błędzie.

- Możliwe. - Philip skłonił się. - A jednak, o ile pamiętam, to pani kazała mi wyjechać i nauczyć się być dżentelmenem.

Cleone wybuchnęła śmiechem.

- Doprawdy? To było tak dawno, że zdążyłam zapomnieć. A teraz... o, pan Winton idzie zaprosić mnie do tańca!

Philip rozejrzał się. Młody James Winton zmierzał w ich stronę.

- James. - Philip zerwał się z fotela i wyciągnął ręce do zdumionego młodzieńca. - Nie pamiętasz mnie? A przecież minęło zaledwie sześć miesięcy, tak przynajmniej twierdzi *mademoiselle*, od czasów, kiedy widywaliśmy się codziennie.

Winton wytrzeszczył oczy, a potem nagle chwycił upierścienioną dłoń Philipa.

- Jettan! Philip! Miłościwe nieba, człowieku, to naprawdę ty?

- Trochę się zmienił, prawda? - rzuciła jakby od niechcienia Cleone.

Miała w sercu cierni, że Philip okazał tak wielką radość na widok Jamesa, dla niej zaś miał tylko afektowane znużenie.

Radosny śmiech Philipa zadźwięczał w powietrzu.

- Napiszę sonet w duchu melancholijnym - obiecał. - Sonet „Do przyjaciela, który mnie nie poznał”. Będzie to *chef-d'oeuvre*,* i prześlę ci je z gałązką mirtu.

Winton cofnął się, by mu się lepiej przyjrzeć.

- Niech mnie kule biją! To niesamowite! O co chodzi z tym sonetem? Tylko mi nie mów, że zostałeś poetą.

- W Paryżu nie kochali moich wierszy - przyznał z żalem Philip. - Ale co tu gadać, musisz je przeczytać. Gdzie się zatrzymałeś?

- U Darchita, przy Jermyn Street. Przyjechałem do Londynu w ślad za moją panią. - Skłonił się Cleone.

Philip zmrużył oczy.

- Aha! James, wpadniesz do mnie jutro na karty? Mieszkam przy Curzon Street pod numerem czternastym.

- Bardzo dziękuję, z największą przyjemnością. Czy się urządziłeś?

- Sir Humphrey Grandcourt wynajął mi dom na miesiąc czy coś w tym rodzaju. Moje gospodarstwo cię rozbawi. Rządzi mną lokaj, groźny Francois.

- Francuski lokaj.

- Ależ tak. Nie chciał pozwolić na to, by jakiś angielski służący obrażał mnie swoim grubiaństwem, więc kucharzem został u mnie jego kuzyn. - Spojrzał roześmianym wzrokiem na Cleone. - Uśmiełaby się pani, gdyby pani mogła słyszeć, jak lży Anglików.

Cleone roześmiała się z przymusem.

* Arcydzieło

- Rozumiem, że nie uważa pana za Anglika, panie Jettan?
 - Kiedy mówię coś takiego, zarzuca mi, że z niego kpię. Ach, widzę, że panna Florence daje mi znaki. *Mademoiselle* zechce wybaczyć? - Skłonił się dwornie. - Mam nadzieję, że będę mógł złożyć uszanowanie pani ciotce. James, nie zapomnij. Jutro, Curzon Street czternaście. - Obrócił się na pięcie i szybko poszedł tam, gdzie siedziała panna Florence Farmer.

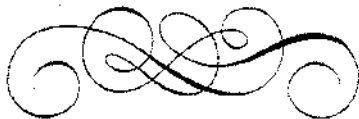
Cleone widziała, jak całuje pulchną rączkę Florence, widziała też jej zalotne spojrzenia. Zrozpaczona, próbowała opanować rozgorycznie, a potem zaczęła flirtować z wniebowziętym Jamesem. Nie wiedziała, że Philip śledzi ją kątem oka.

Tej nocy gorzkie łzy wsiąkły w poduszkę Cleone. Philip powrócił, lecz obojętny, zblazowany, a nawet pełen wzdargy. Philip, który niegdyś kochał ją tak szczerze i był taki silny i władczy, stał się teraz wybrednym, afektowanym galantem. Po co, ach, po co go odtrąciła? I jak on śmie traktować ją z taką szyderczą admiracją? Nagle usiadła.

- Nienawidzę go - powiedziała sama do siebie. - Nienawidzę go, nienawidzę!

Gdy Francois rozbierał swojego pana, na ustach Philipa błąkał się uśmiech pełen rozczarowania.

- Jak tak dalej pójdzie - stwierdził Francois - będę miał panią.



Rozdział trzynasty

W którym sir Maurice przyjeżdża do miasta

Wysoki dżentelmen zadzwonił energicznie do drzwi pana Thomasa Jettana. Otworzył mu zgnębiony Moggat.

- Gdzie twój pan? - zapytał gość bez ogródek.

Moggat szerzej otworzył drzwi.

- W bibliotece, sir. Zechce pan wejść do środka.

Sir Maurice oddał Moggatowi pelerynę i kapelusz, po czym ruszył ku drzwiom biblioteki. Służący patrzył w ślad za nim z lekkim strachem, bowiem sir Maurice nieczęsto zdradzał oznaki wzburzenia.

- A przy okazji... - sir Maurice przystanął, a potem dorzucił przez ramię: - jedzie za mną bagaż.

- Tak jest, sir.

Sir Maurice otworzył drzwi do biblioteki i zniknął za nimi.

Thomas siedział przy biurku, ale na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się na krześle.

- Co ja widzę, Maurry! - Poderwał się na równe nogi.
- Co za niespodzianka. Jak się miewasz, chłopcze? - zapytał, ściskając rękę brata.

Sir Maurice rzucił na stół arkusz papieru.

- Co to ma znaczyć, do diaska?
- Po co się tak unosisz? - zapytał zdumiony Thomas.
- Przeczytaj te... te impertynencje! - rzucił sir Maurice.

Tom wziął arkusz i rozpostarł go. Uśmiechnął się na widok znajomego pisma.

- O, Philip - stwierdził.

- To Philip napisał do mnie ten list? Równie dobrze może to być jakiś... jakiś chłystek!

Tom usiadł.

- Ależ tak, to on - powiedział. - Poznaję jego rękę. Przestań tak chodzić w kółko, Maurry. Usiądź! - Tłumiąc śmiech, spojrzał na kartkę.

- „Mój ukochany Papo!” - zaczął czytać na głos. - „Ufam, że cieszysz się, jak zwykle, dobrym zdrowiem oraz że te mgły oraz przenikliwe wiatry nie dotarły aż do Little Fittledean. Jak się już zapewne domyślasz, widząc podany powyżej adres, wróciłem do tego wielce barbarzyńskiego kraju. Nie umiem powiedzieć, jak długo tu pozostanę, ale po atrakcjach Paryża i urokach paryżanek Londyn wydaje mi się dosyć nieznośny. Na razie jednak tu będę, niestety. Wiem, że mi wybaczysz, iż nie odwiedziłem cię w Dumie. Jednak myśl o wsi o tej porze roku napawa mnie nieopisanym przerażeniem. Dlatego też sugeruję, Drogi Ojcze, byś zechciał wyświadczyć mi ten zaszczyt i ożywić swoją obecnością ten dom, który wynająłem od sir Humphreya

Grandcourta. Mogę ci obiecać drobne rozrywki, zaś wedle zapewnień moich przyjaciół kulinarne osiągnięcia *de mon chef* nie mają sobie równych. Mam Ci do przekazania wyrazy szacunku od *monsieur* de Chateau-Banvau oraz innych. Napisałbym więcej, ale trudzę się nad odą. Twój wielce oddany, Drogi Ojcie, pokorny i posłuszny syn Philip". - Tom złożył kartkę. - Bardzo przywoicie - zauważył. - Coś jest nie tak?

Sir Maurice, który w trakcie odczytywania listu podszedł do okna, teraz się odwrócił.

- Coś jest nie tak? Wszystko jest nie tak. Ten Philip... mój syn Philip... miałby napisać tak impertynecki list?! To... to potworne!

- Na miłość boską, siadaj, Maurry. Nosi cię tak samo jak twojego Philipa. Moim zdaniem, to bardzo grzeczny list, pełen synowskiego szacunku.

- Grzeczny, niech mnie diabli! - prychnął sir Maurice. - Czy ten chłopak nie ma już innych uczuć prócz wyrażonych w tym liście? Dlaczego nie przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć?

Tom znowu rozpostarł list.

- Wiś o tej porze roku go przeraża. Co w tym złego? Ty kiedyś mówiłeś to samo.

- Co? Ja? Jakie to ma znaczenie, co mówiłem? Myślałem, że Philip mnie kocha. A on ufa, że ożywie jego dom swoją obecnością. Prędzej już połamie łaskę na jego grzbiecie.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Tom. - Przecież to ty wysłałeś Philipa, by nauczył się ogłady i Bóg wie czego jeszcze. A on cię posłuchał. Czy ty naprawdę myślisz, że taki, jakim się stał, pogna z powrotem na wieś? Co się z tobą dzieje? Zzymasz się, bo posłuchał twoich rozkazów?

Sir Maurice opadł na kanapę.

- Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo mi go brakowało i jak za nim tęskniłem - zaczął, ale zaraz się opanował. - Dostałem za swoje - stwierdził z goryczą. - Powinieniem był cieszyć się z tego, że jest, jaki jest.

- Wtedy też tak sądziłem, ale zmieniłem zdanie.

- Nie mogę nawet myśleć o tym, że Philip mógłby stać się nieczułym, bezczelnym firecykiem.

- Gdyby do tego doszło, byłaby to twoja wina - orzekł surowo Tom. - Ale on taki nie jest. Rozkwitł cały. Aż miło na niego popatrzeć.

Sir Maurice jęknął.

- To prawda, bracie - ciągnął Tom. - A ten list... To młody gałgan, ale zakładam, że to zemsta za jego zranione uczucia. Był piekielnie dotknięty, kiedy ty i Cleone zmówiliście się między sobą, by wysłać go w świat. Nie potrafię odgadnąć, co dzieje się w jego duszy, ale powiedział mi, że jego uczucia są bardzo złożone. Jest rad, że go odesłaliście, ale chce, byście tego żałowali. A ściślej, by żałowała tego Cleone. Tobie chłopak skłonny jest wybaczyć. - Tom roześmiał się. - Ten list to sama przewrotność, a nasz chłopiec ma jej mnóstwo, muszę cię ostrzec. Miał nadzieję, że będziesz taki zły jak w tej chwili i że pożałujesz tego, co mu zrobiłeś. Nie widzę tu braku uczuć.

. Sir Maurice podniósł wzrok.

- Więc... to ten sam Philip?

- Nic podobnego. W pewnym sensie jest taki sam, ale stał się kimś więcej, kimś bardziej uczuciowym. Za jakieś dziesięć minut - spojrzał na zegar - będzie tutaj. Sam się przekonasz.

Sir Maurice wyprostował się i westchnął.

- Stary dureń ze mnie co, Tom? Jednak tym listem dotknął mnie do żywego.

- Oczywiście, że tak. Młody czort. Och Maurry, Maurry, nie ma drugiego takiego jak nasz Philip.

- Stał się tak niezwykły? Słyszałem o absurdalnym pojedyńku, jak już ci mówiłem. On i Cleone bczą się na siebie.

- Tak. I tego właśnie nie rozumiem. Ta para prowadzi dziwną grę. Stara Sally Malmerstoke powiedziała mi, że Cleone zaklina się, iż nienawidzi Philipa. Ta szelma bezwstydnie flirtuje z każdym, kto się nawinie, i to zawsze pod samym nosem Philipa. A on tylko się śmieje. A jednak dam głowę, że zamierza ją zdobyć, więc się nie wtrącam. Sami muszą się dogadać.

- To nieprawda, że Clo nienawidzi Philipa - powiedział sir Maurice. - Wypłakiwała za nim oczy, odkąd ten dureń Bancroft przeczytał nam list Satterthwaite'a. Czy to prawda, że Philip bił się o jakąś francuską dziewczkę?

- Nie. Bił się o Clo, lecz się wypiera, i, prawdę mówiąc, myślę, że to dlatego, że miał w Paryżu jakieś przygody. Cieszył się tam wręcz niebezpiecznym wzięciem.

- Tyle sam wywnioskowałem z listu Satterthwaitea. Rzeczywiście miał takie wzięcie? Nie pojmuję tego.

- Urok nowości, rozumiesz? Parę dni temu dostałem list od Chateau-Banvau, w którym boleje nad utratą *ce cherpe-tit** i dopytuje się, czy odnalazł swoją miłość.

Sir Maurice postukał laską w podłogę.

- Mój Boże, jeśli Philip odniósł taki sukces, to... to więcej, niż się kiedykolwiek spodziewałem - zakończył niezręcznie.

- Poczekaj, aż go zobaczysz. - Tom się uśmiechnął. - Chłopak jest jak żywe srebro. Ledwie usta otworzy, papła po francusku. A oto i on.

Rozległ się huk frontowych drzwi, a potem dźwięczny, młodzieńczy głos napłynął z holu do biblioteki:

- *Mordieu***, co za klimat! Moggat, ty hultaju, jestem dziś wystarczająco przygnębiony, żebyś mi jeszcze pokazywał swoją smętną facjatę. Na miłość boską, uśmiechnij się, ofermo.

- Gdybym to ja spróbował obrzucić Moggata połową tych wyzwisk, co Philip, dawno by odszedł - stwierdził Tom. - Ale Philip może sobie na wszystko pozwolić. I co teraz?

- Ostrożnie, hultaju! - grzmiał Philip. - Mówię, ostrożnie! Chcesz mi wyrwać ręce? Rozłóż pelerynę, niech wyschnie, i uważaj, żeby jej nie pognieść. Tak, teraz jest dobrze.

- Czy tak pan sobie życzy? - dał się słyszeć nieśmiały głos Moggata.

Odpowiedziało mu klaśnięcie i wybuch śmiechu.

* Tego drogiego małego

** Do kata

- Pojętny z ciebie uczeń, Moggat. Gdzie mój wuj?
W bibliotece?

W korytarzu zabrzmiały szybkie kroki i Philip wpadł do pokoju.

- Wiele znosiłem w milczeniu, Tom, ale ta ulewa... -
Urwał, by w następnej sekundzie paść na kolano przed sir Maurice'em, przyciskając do ust jego kościste dłonie.
- Ojczy!

Tom kaszlnął i podszedł do okna.

Sir Maurice cofnął ręce. Ujął Philipa za podbródek i zmusił go, by uniósł głowę. Długo lustrował w milczeniu twarz syna, a potem się uśmiechnął.

- Ty wypacykowany, zarozumiały młokosie - powiedział cicho.

Philip roześmiał się. Znow chwycił sir Maurice'a za ręce i mocno je uściśnął.

- Niestety, to prawda. Ale się postarzałeś, ojczy.

- A jak myślisz, ty zuchwały młokosie. Przecież mam tylko jednego syna...

-I tęskniłeś za nim?

- Trochę - przyznał sir Maurice.

Philip podniósł się z klęczek.

- A to się cieszę. I żałujesz, że mu kazałeś wyjechać?

- Teraz nie. Ale po otrzymaniu tego - bardzo. -
Sir Maurice wyciągnął przed siebie arkusz papieru.

- Tego? Phi! - Philip wrzucił list do ognia. - Za to przepraszam. Gdybyś nie poczuł się dotknięty... Och, Bóg jeden wie, co bym wtedy zrobił. Gdzie twoje bagaże, ojczy?

- Już tu są.

- Tutaj? Ależ nie, nie! Każ je zawieźć na Curzon Street.
- Mój drogi synu, bardzo ci dziękuję, ale starcowi lepiej będzie u starca.

Tom odwrócił się od okna.

- Co to ma znaczyć? Kogo nazywasz starcem, Maurry? Jeszcze nigdy nie czułem się taki młody.

- Tak czy inaczej, pojedziesz na Curzon Street, ojcie.

- Kiedy tylko zechcesz, drogi chłopcze, ale zatrzymam się u Toma. - A potem, widząc, że Philip chce dyskutować, dorzucił: - Nie, już powziąłem decyzję. Usiądź lepiej i opowiedz mi o tym komicznym pojedynku z Bancroftem.

- Ach, o tym. - Philip się roześmiał. - Było śmiesznie, ale i skandalicznie. Szczerze mówiąc, współczułem mojemu przeciwnikowi.

- A co to była za oda, którą zamierzałeś odczytać?

- Oda do dokuczliwych przyjaciół, skomponowana specjalnie na tę okazję. Ale mi ją odebrali. Paul i Louis... i Henri de Chatelin. Nie podobają im się moje wiersze.

Sir Maurice odchylił się do tyłu i śmiał się tak, aż łzy pociekły mu po policzkach.

- Mój Boże, żałuję, że mnie tam nie było. Chciałbym posłuchać, jak deklamujesz napisaną przez siebie odę. Czy to naprawdę mój gburowaty, szorstki, niezdolny Philip?

- Bynajmniej. To twój elegancki, gładki i całkowicie znośny Philip.

Sir Maurice znowu się wyprostował.

- A czy ten Philip rozważa ożenek?
- Wszystko w ręku bogów - odparł jego syn.
- Rozumiem. I biada temu, kto zechce mu przeszkodzić?

- *Parfaitement!** Prowadzę teraz... małą grę.

- A Cleone?

- Cleone... nie wiem. Ale chciałbym się dowiedzieć. Może mi się uda, bo lady Malmerstoke mieni się moją przyjaciółką.

- Sally możesz zaufać - wtrącił Tom.

Philipowi oczy się zaświeciły.

- Ach, Tom, ale z ciebie szelma! Ojczy, on się kocha w lady Malmerstoke.

- Zawsze się w niej kochał - odparł sir Maurice. - Jeszcze za życia starego Malmerstoke'a.

Tom chrząknął.

- Ja...

- Czemu jej nie poślubisz? - chciał wiedzieć Philip.

- Bo ona nie chciała, a teraz mówi, że być może... Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - dodał z zadowoleniem.

- Obawiam się, że żadne z nas nie jest już w tym wieku, kiedy kocha się ogień.

- Jak ci się spodobał Paryż? - wtrącił się sir Maurice.

- Nie umiem powiedzieć, ojczy. Uczuć do Paryża i do moich paryskich przyjaciół nie da się wyrazić słowami.

- Ja też tak myślałem. Ale w końcu człowiek cieszy się, że wrócił do domu.

- Niech więc nieba sprawią, abyś kiedy zechcę znów tam się udać, pojechał ze mną, ojczy - powiedział Philip.

- Och, jestem na to za stary - stwierdził sir Maurice z nostalgicznym uśmiechem.

* Dokładnie!

- Za stary? *Quelle absurdite** *Monsieur de Chateau-Banvau* kazał mi przysiąc, że cię przywiozę. *Monsieur de Richelieu* pytał, kiedy cię znów zobaczy. Kilku innych...

- De Richelieu? Gdzie go poznałeś, chłopcze?

- W Wersalu. Był dla mnie bardzo miły przez wzgląd na ciebie.

- Tak przypuszczałem. Więc bywałeś w Wersalu.

- Nawet dość często.

- Philipie, zaczynam podejrzewać, że jesteś hulaką. Co cię przyciągało do Wersalu?

- Wiele rzeczy - odparł Philip.

- Damy?

- Co za ciekawość! Czasami tak, ale nie na serio.

- Mały Philip bez serca, co?

- Kto ci to powiedział? - zachnął się Philip.

- Satterthwaite tak napisał... albo coś w tym rodzaju. „*Le petit Philippe* bez serca. Większość dałaby wszystko, żeby się dowiedzieć, kim jest ta piękna nieznajoma”.

- Czy nadal jest nią Cleone? - Sir Maurice spojrzał bacznie na syna.

- Nigdy żadnej innej nie było - odparł z prostotą Philip.

- Cieszę się, bo chcę, żebyś się z nią ożenił.

- Sir - odparł Philip z powagą. - Mam najszczęszy zamiar.

* Co za absurd!



Rozdział czternasty

Wktórym panna Cleone zachowuje się dziwnie

- Francois, ktoś tam na dole chce się widzieć z *monsieur*. Francois strzepnął koronkową kryzę.

- *Qui est-ce**

- *Le pere de monsieur!*** - odparł grobowym tonem Jacques.

Francois odrzucił koronki.

- *Le pere de monsieur!* Już idę!

- Wyskoczył za drzwi, zbiegł po schodach i wpadł jak burza do biblioteki. Zaskoczony nagłym wtargnięciem, sir Maurice podniósł do oka lornion, aby się lepiej przyjrzeć tej drobnej figurce.

Francois skłonił się bardzo nisko.

- *Monsieur*, mój pan jest u swojego *barbief****. Może *monsieur* chce wejść na górę, do pokoju pana?

* Kto to jest?

** Ojciec naszego pana

*** Fryzjera

Sir Maurice uśmiechnął się.

- Oczywiście.

- Zechce *monsieur* pójść za mną.

- *Monsieur* zechce - przytaknął sir Maurice i poszedł za lokajem na górę, do luksusowej sypialni Philipa.

W pokoju Francois podsunął mu krzesło.

- *Monsieur* zachce łaskawie usiąść? *Monsieur* Philippe już niedługo wróci. Ma wizytę fryzjera, rozumie pan?

- Tak, to poważna sprawa - zgodził się sir Maurice.

- *Monsieur* dobrze zrozumiał. A ja jestem lokajem *monsieur* Philippe'a.

- Tak przypuszczałem. Jesteś Francuzem?

- Tak, *monsieur*. Czy *monsieur* Philippe mówił coś o mnie?

- Francois spojrzał z niepokojem na starszego pana.

- Oczywiście, że o tobie mówił - odparł z uśmiechem sir Maurice.

- A czy może... powiedział panu, że jestem małpiszoznem?

- Nie, o niczym takim nie wspomniał - odrzekł z powagą sir Maurice. - Oznajmił, że jego lokaj to istny skarb.

- Ach! - Francois klasnął. - Bo to prawda, *monsieur*. Jestem bardzo dobrym lokajem. O, bardzo dobrym!

Podbiegł truchcikiem do łóżka, podniósł wyszywaną atłasową kamizelkę i przewiesił ją przez oparcie fotela.

- Kamizelka *monsieur* Philippe'a - powiedział z szacunkiem.

- Widzę - odparł sir Maurice. - Czemu on się tak długo wyleguje w łóżku?

- Ach, *non, monsieur*. On się nie wyleguje w łóżku.

Nigdy, przenigdy! Po prostu jest u niego fryzjer i krawiec - para imbecyli! Swoją potworną głupotą wprawiają w zły humor *monsieur* Philippe'a. Godzinę musi im tłumaczyć, czego sobie życzy. - Francois wznosił oczy do nieba. - A oni nic nie rozumieją. Nic a nic! Co za tępota! A *monsieur* Philippe wścieka się, oczywiście.

- *Monsieur* Philippe to wielki pedant, prawda?

- Tak, *monsieur*. - Lokaj zaczął otwierać słoiczki, stojące na toaletce swojego pana. - Wszystko musi być tak, jak *monsieur* Philippe sobie życzy.

W tym właśnie momencie do pokoju wkroczył Philip w przepięknym jedwabnym szlafroku. Minę miał groźną, lecz na widok ojca się rozchmurzył.

- To ty, ojcze? Długo czekasz?

- Nie, jakieś dziesięć minut. Czy udusiłeś krawca?

Philip roześmiał się.

- Prawie! Francois, chcę zostać sam z *monsieur*.

Lokaj skłonił się i wyszedł, jak zwykle szybkim kroczkiem.

Philip zasiadł przed toaletką.

- Co sądzisz o moim niezrównanym Francois? - zapytał.

- Z początku mnie przeraził - odparł z uśmiechem sir Maurice. - Mała, komiczna figura.

- Ale jest niezastąpiony. Wcześniej się dziś wybrałeś do miasta, ojcze.

- Mój kochany, dochodzi południe. Byłem z wizytą u Cleone.

Philip sięgnął po pilnik i przesunął nim delikatnie po palcach.

- Ach, tak?

- Martwię się, synu.

- Tak? - mruknął Philip, skupiony na paznokciach. -
A to dlaczego?

- Nie rozumiem tej dziewczyny. Przecież mógłbym przysiąc, że niecierpliwie czekała na twój powrót.

Philip szybko uniósł głowę.

- Naprawdę?

- Tak sądziłem. Tam na wsi, tak, jestem tego pewny. Tutaj, w Londynie, odnoszę wrażenie, że się zmieniła. - Marszcząc brwi, spojrzał na syna, który znowu był zajęty dłońmi. - Jest w świetnym humorze; zapewnia, że cieszy się każdą minutą pobytu. W trakcie mojej wizyty przyniesiono trzy bukiety od wielbicieli, a ona była w siódmym niebie. Kiedy mówiłem o tobie, słuchała dość obojętnie. Co takiego jej zrobiłeś?

- Sam nie wiem. Stałem się takim, jakiego sobie życzyła. Aby ją wypróbować, zacząłem naśladować typowego miejskiego galanta. Z początku była zdumiona, a po chwili się rozgniewała. Muszę przyznać, że mnie to ucieszyło. Pomyślałem sobie: teraz nie podobam się Cleone. Woli mnie takim, jaki jestem naprawdę. Potem złożyłem wizytę lady Malmerstoke. Była tam też Cleone. I, jak mówisz, całkiem odmieniona. Może i czarująca, ale zupełnie nie w moim guście. Śmiała się i flirtowała, dawała znaki wachlarzem, zachęcała mnie, bym wychwalał jej piękność, domagała się obiecanego madryga

łu. A kiedy go odczytałem, była zachwycona i zapytała ciotkę, czy nie jestem aby obrzydliwym pochlebcą. Potem przyszedł młody Winton, który jest, jak rozumiem, zakochany w niej do szaleństwa. Dla niego miała same uśmiechy, zachowywała się jak zalotnica. I tak jest od tamtej pory. Jest miła dla każdego mężczyzny, który stanie na jej drodze; również dla mnie. Powiadasz, że jej nie rozumiesz? Ja też jej nie rozumiem. To już nie ta Cleone, którą znałem, i nie ta Cleone, którą kocham. Ona zachowuje się, jak... dowcipna i urocza Clothilde de Chaucheron, z którą mężczyzna chętnie przeżyje miłość, ale jej nie poślubi. - Philip mówił bardzo cicho, bez zwykłego błysku w oku.

Sir Maurice wychylił się i klepnął go pięścią w kolano.

- Przecież ona nie jest z tego rodzaju kobiet. Dlatego właśnie nie mogę tego pojąć.

Philip wzruszył lekko ramionami.

- Mówisz: nie jest? Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście. Już przedtem, jak sobie przypominasz, flirtowała z Bancroftem.

- Żeby ci dokuczyć.

- Tym gorzej. Jednak tym razem nie chodzi jej o to, by mi dokuczyć. Jestem tego świadom.

- Jeżeli nie chodzi jej o to, dlaczego to robi?

- Bo pewnie ma na to ochotę. Być może hołdy, jakie odbiera, uderzyły jej do głowy. Odnoszę wrażenie, że chce mnie skokietować.

- Cleone nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

- Sam zobaczysz, ojciec. Wybierz się z nami dziś po

południu. Jesteśmy wraz z Tomem zaproszeni do lady Malmerstoke.

- Wiem, Sally też już mnie zaprosiła. Oczywiście przyjdę. Co gnębi tę dziewczynę?

Philip wtarł nieco różu w policzki.

- Jeżeli potrafisz rozwiązać tę zagadkę, będę ci wdzięczny.

- Wciąż ci na niej zależy?

- Zależy? - powtórzył Philip. - Jeszcze jak!

Lady Malmerstoke zlustrowała siostrzenicę krytycznie.

- Jesteś dziś bardzo wesoła, Clo - zauważyła.

- Wesoła?! - wykrzyknęła Cleone. - Jak mogłabym być smutna, ciociu Sally, kiedy tak dobrze się bawię.

Lady Malmerstoke poprawiła bransoletkę na pulchnej ręce.

- To bardzo nieelegancko, moja droga, żeby nie powiedzieć ostrzej.

- Och, nonsens - odparła Cleone. - Kto tak uważa?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Po prostu tak mówią. Chcąc być *a la mode**, trzeba się pokładać ze zmęczenia.

- Wobec tego, nie jestem *a la mode* - odparła ze śmiechem Cleone. - Nie zapominaj, ciociu, że jestem tylko prostą wiejską dziewczyną. - Dygnęła żartobliwie.

- Nie - stwierdziła ze spokojem lady Malmerstoke. - Tego nie sposób zapomnieć.

* w zgodzie z modą!

- Co ciocia ma na myśli? - zapytała Cleone.
- Nie męcz mnie - odrzekła jej ciotka. - To twój największy urok świeżość.
- Och! - Cleone westchnęła z powątpiewaniem.
- Albo tak było - dorzuciła lady Malmerstoke, splatając ręce i zamykając oczy.
- Było? Ciociu Sally, proszę mi powiedzieć, co ciocia ma na myśli.
- Moja kochana, ty dobrze wiesz, co mam na myśli.
- Nie, wcale nie. Ja... ja... ciociu Sally, obudź się.
Lady Malmerstoke otworzyła oczy.
- No cóż, moja droga, jeżeli tak bardzo chcesz wiedzieć... Ktoś, kto tak gorliwie flirtuje, nisko się ceni.
Cleone oblała się ognistym rumieńcem.
- Ja... och... ja nie flirtuję. Och, ciociu, jak możesz tak mówić!
- Mogę, bez trudu - odparła jej ciotka. - Inaczej bym tego nie powiedziała. Odkąd wrócił pan Jettan, używasz wszystkich sztuczek właściwych twojej płci. Moim zdaniem, to ci nie przystoi, ale może się myłę.
- To nie ma nic wspólnego z Phi... z panem Jettanem.
- Wybacz, moja droga, ale uważam, że ma. Jeżeli chcesz mu się spodobać...
- Ciociu! - wykrzyknęła Cleone.
- Wolałabym, żebyś mi nie przerywała - znużonym tonem oznajmiła lady Malmerstoke. - Jeżeli chcesz mu się spodobać, powinnaś sięgnąć po mniej ostentacyjne metody.
- Jak... jak ciocia może. Ja chcę mu się spodobać? Ja go nienawidzę. Nawet jego widok jest mi wstrętny.

- Czyżby tu był pies pogrzebany? - mruknęła pod nosem lady Malmerstoke. - Co on ci takiego zrobił? - zapytała głośniej, konkretna jak zawsze.

- Nic mi nie zrobił. On... ja...

- Czego nie zrobił? - nie ustępowała lady Malmerstoke.

- Ciociu Sally... ciociu Sally... nie odpowiem. On... absolutnie nic. Ja go tylko nie lubię.

- Nie widać tego po twoim zachowaniu - zauważyła lady Sally. - Postanowiłaś go w sobie rozkochać?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ja... niby dlaczego?

- Dla samej przyjemności oglądania go u swoich stóp, by mu dać później kosza. Z zemsty, moja droga, z zemsty.

- Jak ciocia może mówić takie rzeczy? To nieprawda, ciociu.

Lady Malmerstoke ciągnęła:

- Z tego, co widzę, ten Philip nie da się usidlić jakiejś dzierlatce. Moim zdaniem, on jest w tobie zakochany. Uważaj, moja droga. Mężczyzna z takim podbródkiem jest niebezpieczny. A mówię to z własnego doświadczenia. W końcu i tak wygra, jeżeli tego naprawdę chce.

- Rzeczywiście! - prychnęła pogardliwie Cleone. - On o niczym innym nie myśli, jak tylko o strojach i wierszach.

Lady Malmerstoke spojrzała na nią przeciągle.

- Kto ci to powiedział, Cleo?

- Nikt. Sama to widzę.

- Nie ma gorszej ślepoty niż ślepotą młodziutkiej

dziewczyny - orzekła lady Malmerstoke. - Mądrość przychodzi z wiekiem. Twój Philip...

- To nie jest mój Philip! - wykrzyknęła Cleone, bliska łez.

- Przerwałaś mi wątek - skarciła ją lady Malmerstoke.
- Twój Philip nie jest głupi. On jest niebezpieczny. Jest uparty, rozumiesz? Nie idź za niego, moja droga; to bardzo pryncypialny kawaler, a tacy są najgorsi. Stary Jeremy Fletcher był taki. Mój Boże, ileż to już lat minęło.

- On... on nie jest bardziej pryncypialny niż... niż jego wuj.

- O nie! Tom, dzięki Bogu, to człowiek bardzo tolerancyjny. Szkoda, że Philip nie jest taki.

- Mówię cioci, że jest zbyt tolerancyjny. Gdyby był bardziej zasadniczy, bardziej bym go lubiła. Mężczyzna powinien być mężczyzną, a nie jakąś... jakąś... malowaną lalą.

- Ależ ty się zmieniłaś - stwierdziła z westchnieniem lady Sally. - Sądziłam, że tego właśnie nie chcesz. Czy nie po to kazałaś twojemu Philipowi wyjechać, żeby się stał elegantem?

- On nie jest moim Philipem, ciociu. Ile razy mam ci to powtarzać! I, oczywiście, nie tak było. A nawet gdyby, to byłam głupia i teraz wolałabym mężczyznę bardziej... zdecydowanego.

- Wszystkie jesteśmy za młodu takie same. - Ciotka pokiwała głową. - Kiedy będziesz starsza, polubisz tych miłszych w obyciu. Ja o mały włos nie poślubiłam Jerry'ego Fletchera. Na szczęście zmieniłam zdanie i wy-

szałam za Malmerstoke'a. Niech spoczywa w pokoju, biedaczysko! A teraz pewnie wezmę sobie Toma.

Cleone wybuchnęła śmiechem.

- Ciociu, jesteś niepoprawna. Jak możesz tak mówić?

- Okropne, prawda? Zawsze taka byłam: bardzo atrakcyjna. Nigdy nie byłam piękna, ale miałam duże powodzenie. Szokowałam twoją biedną matkę. Ale oczywiście to była tylko poza. W ten sposób dałam się zauważyć. Byłam wesoła i oryginalna jak ty, moja kochana, lecz w inny sposób.

- Czy teraz to nadal poza, ciociu?

- Ach, teraz to już nawyk, znacznie mniej męczący, moja kochana. Ale, wracając do tego, co mówiłam, ty...

- Nie mówmy o mnie - powiedziała błagalnym tonem Cleone. - Nie wiem, co mnie opętało, ale... O, dzwonek do drzwi.

Lady Malmerstoke poderwała się.

- Już? Clo, czy mam prosto nałożoną perukę? Ach, ci panowie. Niech ich licho! Nie udało mi się zdrzemnąć przez całe popołudnie. Wieczorem będę wyglądała jak zmora. Który to z nich, moja droga?

Cleone wyjrzała przez okno.

- To James i Jennifer, ciociu. - Cofnęła się do pokoju. - Jenny nie widziałam przez całe wieki.

- Czy to ta dziewczynka, która mieszka na drugim końcu wsi? - zapytała lady Malmerstoke, przeglądając się w małym lusterku.

- Tak. Jenny Winton. To takie słodkie stworzenie. Przyjechała z panem Wintonem na kilka tygodni. Tak

się cieszę, że zdołała go uprosić, by ją zabrał ze sobą. - Gdy wprowadzono Wintonów, Cleone podbiegła, by ich powitać. - Jenny, moja droga!

Jennifer, o pół głowy niższa od Cleone, była nieśmiałą dziewczyną o łagodnych szarych oczach i mysich włosach.

- Och, Clo, wyglądasz nadzwyczaj elegancko - wyszeptła, zarzucając jej ręce na szyję.

- Ty też ładnie wyglądasz - zrewanżowała się Cleone.
- Ciociu Sally, to moja kochana Jenny.

Jennifer dygnęła nieśmiało.

- Jak się pani miewa? - zapytała drżącym głosem.

- Doskonale, moje dziecko. Chodź, usiądź koło mnie.

- Lady Malmerstoke poklepała kanapę obok siebie. - Czy to twoja pierwsza wizyta w Londynie?

Jennifer przycupnęła na brzeжку kanapy i z nabożnym lękiem zerknęła na upudrowaną perukę lady Malmerstoke.

- Tak, proszę pani. Tutaj jest tyle atrakcji.

- Zapewniam cię, że tak. Uczestniczyłaś już w balach?

- Nie. - Drobną twarzyczką przygasała. - Papa nieczęsto gdzieś wychodzi - wyjaśniła.

Cleone usiadła obok nich na krześle, rozkładając wokoło jedwabie.

- Och, ciociu, proszę cię, zabierz Jenny na bal do Deringów w przyszłym tygodniu! - zawołała. - Przyjdziesz, prawda, kochanie?

Jennifer spłonęła rumieńcem i zająknęła się.

- Ależ z całą pewnością. - Lady Malmerstoke uśmiech-

nęła się. - Oczywiście, że przyjdzie. James, siadaj. Powinieneś już wiedzieć, że męczy mnie widok ludzi na nogach, ty głuptasie. Mój Boże, dziecko, jakaś ty podobna do brata. Patrzysz na moją perukę? Okropna, prawda?

- Och nie, proszę pani, ja... - zaprzeczyła Jennifer, skonfundowana.

Lady Malmerstoke roześmiała się.

- Oczywiście, że na nią patrzyłaś. Trudno się, zresztą, powstrzymać. Cleone powiedziała mi, że to kuriozalna koafiura, nie tak było, kochanie?

- Tak powiedziałam, bo tak uważam - odparła Cleone, a oczy jej się śmiały. - Jest jeszcze okropniejsza niż poprzednia.

- No i masz. - Lady Malmerstoke znów odwróciła się do Jennifer. - Co za impertynentka. Nie uważasz, moje dziecko?

- Impertynentka? Byłoby to możliwe? - zapytał z uczuciem James.

- Było i jest. - Lady Malmerstoke pokiwała głową. - Zuchwała dziewczyna.

- Och! - Jennifer była zaszokowana.

- Nie słuchaj cioci - poprosiła Cleone. - Jak sama widzisz, bywa czasami niemiła.

Jennifer odważyła się cichutko roześmiać. Miała na tyle rozsądku, by oderwać wzrok od monstrialnej peruki lady Malmerstoke i patrzyła teraz na Cleone.

-Wydajesz mi się zupełnie... inna - zauważyła nieśmiało.

Cleone potrząsnęła złotą główką.

- To sprawka cioci Sally, która mnie tak wystroiła. Ale... wciąż jestem taka sama. - Roześmiała się niepewnie. - Prawda, James?

- Wciąż taka sama - powtórzył z uniesieniem. - Zawsze jednakowo piękna.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała surowo lady Malmerstoke. - Przewrócisz dziewczynie w głowie, o ile już nie ma przewrócone.

- O tak, ma, ma! - wykrzyknęła Cleone. - Jestem straszliwie próżna. I... o, znowu ktoś dzwoni. James, kto to? To bardzo nieelegancko wyglądać przez okno, ale możesz to zrobić. Szybko!

James podszedł do okna.

- Za późno - poinformował. - Ktokolwiek to jest, już wszedł do domu.

- To pewnie Thomas - orzekła lady Malmerstoke. - Ciekawe, czy jeszcze utył?

Jennifer zachichotała. Nigdy dotąd nie spotkała osoby podobnej do tej ekscentrycznej damy o obfitych kształtach.

- Czy... czy sir Maurice też przyjdzie? - zapytała.

- Zapowiedziałam mu, że musi przyjść - odparła lady Sally. - Znasz go, prawda?

- O tak - wyszeptała Jennifer.

- Panowie Maurice i Thomas Jettan - dobiegło od drzwi.

- Tam, do diaska! - Lady Malmerstoke podniosła się z kanapy. - Gdzie twój syn? - zapytała sir Maurice'a, wygrażając mu palcem.

Sir Maurice ucałował jej dłoń.

- Sally, stajesz się coraz bardziej niegrzeczna - powiedział z wyrzutem.

- A ty - odparła - zawsze byłeś sztywny i uważający. Z całej waszej rodziny chcę widzieć tylko Philipa. On prawi takie androny - wyjaśniła - aż miło posłuchać. Zwłaszcza starszej damie - dodała. - Jak się masz, Tom?

Thomas skłonił się bardzo nisko.

- Jak się masz, Sally?

- Jesteś nieuprzejmy - odparła. - Widzisz przecież, że mam się dobrze. Powiem ci, że schudłeś.

- Naprawdę, moja droga? - zapytał nieśmiało Thomas, prostując się.

Lady Malmerstoke klasnęła w ręce.

- Gimnastykowałeś się! - wykrzyknęła z zachwytem.
- Jeżeli będziesz chudł w takim tempie, przysięgam, że wyjdę za ciebie za miesiąc.

- Chciałbym, żeby tak było - odrzekł z powagą Tom.

- Och, bez obawy, zrobię to któregoś dnia. - Na widok zdumionej miny Jennifer lady Sally się roześmiała.
- Tom, zachowuj się przyzwoicie. Szokujesz naszą matką - szepnęła.

- Ja? Co ja takiego zrobiłem? To ty ją szokujesz swoimi obcesowymi manierami.

Sir Maurice podszedł do Cleone, która wyciągnęła do niego ręce, a on nachylił się, jakby chciał je ucałować.

- Och, nie, nie! - wykrzyknęła, cofając dłonie.

Sir Maurice uśmiechnął się do uniesionej twarzyczki.

- Prawdę mówiąc, moja droga, jesteś tak inna od tej małej Cleone, którą znałem, że nie pozwoliłbym sobie na żadną poufałość.

Usta Cleone nagle zadrżały. Chwyciła go za poły fraka.

- Nie, nie, niech pan tak nie mówi. Jestem wciąż ta sama. O tak, tak.

- Co ta Cleone wyprawia? - zapytała lady Malmerstoke.

- Całuje Maurice'a? I kto tu jest obcesowy?

Cleone uśmiechnęła się przez łzy.

- Ty, ciociu Sally. Widzę też, że jesteś w dokuczliwym nastroju.

Sir Maurice uściśnął delikatnie jej rękę, po czym zwrócił się do dygającej Jennifer.

- Jenny, co za niespodzianka. Jak się miewasz, moje dziecko?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła Jenny. - Ogromnie się cieszę, że jestem w Londynie.

- To twoja pierwsza wizyta. A gdzie się zatrzymałaś?

- U babci, w Kensington.

Lady Malmerstoke chwyciła Toma za rękę.

- W Kensington, biedne dziecko - mruknęła. - Na miłość boską, siadajcie - powiedziała głośniej. - Nie, Maurice, ten fotel jest dla mnie za niski. Wolę kanapę.

- Podeszła do kanapy, a Tom, naturalnym biegiem rzeczy, zajął miejsce obok niej. Pozostali utworzyli dwie pary: sir Maurice poprowadził Jennifer do fotela przy kominku, a Cleone podeszła do kanapki przy oknie wraz z wniebowziętym Jamesem.

Pięć minut później dzwonek zadzwieczał po raz trzeci

i Jennifer przeżyła największy wstrząs tego popołudnia. Czarnoskóry paż zaanonsował pana Philipa Jettana.

Jennifer zachnęła i wbiła wzrok w drzwi, jakby zobaczyła co najmniej trzy zjawy.

Philip podszedł do pani domu i zgiął kolano, by ucałować jej dłoń. Ubrany był w ciemne brązy i stare złoto. Jennifer pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała czegoś równie wspianego i zdumiewającego. Nie mogła wprost uwierzyć, że to dawny towarzysz jej zabaw.

- *Madame*, spóźniłem się - powiedział Philip. - Po tyśiąckroć błagam o wybaczenie.

- Takiś pewny, że je uzyskasz? - odrzekła ze śmiechem lady Malmerstoke. - Wybaczę ci jednak, żebyś mnie już nie męczył. Gdzie masz tę odę? Tylko mi nie mów, że zapomniałeś.

- Ja miałbym zapomnieć? Nigdy w życiu! Powiem też, że to bardzo piękna oda, w moim najlepszym stylu. Proszę, *madame*. - Wręczył jej zrolowany pergamin, przewiązany fioletową wstążką z misternie wplecionymi fiołkami.

- Kochany chłopcze! - wykrzyknęła lady Sally. - Fiołki! Skąd wiedziałeś, że to moje ulubione kwiaty?

- Wyczułem to instynktownie - odparł z powagą Philip.

- Ach, oczywiście, że tak. Co za czarujący gest. Nie odważę się rozwiązać tej wstążki, póki fiołki nie zwiędną. Spójrz, Tom, czy to nie piękne? I czyż nasz Philip nie jest miły, że napisał dla mnie odę?

- Ja wszystko widzę - odezwał się Tom ponuro. - Ty hultaju, próbujesz skraść serce mojej damy? Jak śmiesz?

- Musiałbym chyba być ponadludzką istotą, żeby tego nie próbować - odparował Philip.

Lady Malmerstoke tymczasem pokazywała sir Maurice'owi ozdobny zwój.

- Oda do mojej peruki - wyjaśniła - napisana po francusku.

- Oda do czego? - zapytał Thomas.

- Do mojej peruki, Tom, do mojej peruki. Nie było cię tu, kiedy o niej rozmawialiśmy. Cleone uważała, że jest monstrualnie brzydka, ale Philip nie chciał nawet o tym słyszeć. Mówił o niej tak ładnie i obiecał napisać ode. Czy ci już podziękowałam?

Philip, który pochylał się właśnie nad dłonią Cleone, z miejsca się odwrócił.

- Jakże wymownie, *madame*, spojrzeniem swoich niezrównanych oczu. Podziękowania nie są mi jednak potrzebne. Był to dla mnie wielki zaszczyt i wielka radość.

- Zastanówicie się nad tym. - Lady Malmerstoke spojrzała na Toma, a potem na sir Maurice'a. - Podejdz tu, Philipie. Chcę cię przedstawić pannie Jennifer. Chyba że ją znasz?

Philip puścił rękę Cleone i odwrócił się.

- Jennifer. Oczywiście, że ją znam. - Przeszedł przez pokój. - Skąd się tu wzięłaś? Jak się miewasz?

- Philip? T... to nap... prawdę ty? - wyjąkała dziewczyna.

- Nie poznajesz mnie? To nieładnie z twojej strony, Jenny. Aż tak chyba się nie zmieniłem?

- Zmieniłeś się - wyszeptała. - Nawet bardzo.

- Ależ nie, przysięgam, że nie. Ojczy, idź sobie i pozwól mi usiąść koło Jennifer. Chcę z nią porozmawiać.

Zadowolony w głębi ducha, sir Maurice wstał.

- Mój syn jest bardzo apodyktyczny i autokratyczny, nie sądzisz, moja droga? - rzekł z uśmiechem.

Philip zajął zwolniony fotel.

- Ja... powinnam chyba zwracać się do ciebie per pan - zauważyła nieśmiało Jennifer.

- Spróbuj tylko, to... to...

- To co?

- To napiszę kanconetę do twoich wielkich oczu - odparł ze śmiechem.

Jennifer zarumieniła się i posłała mu drżący uśmiech.

- Naprawdę? Bardzo bym chciała, panie Jettan.

- Wobec tego będzie gotowa jutro koło południa - odparł szybko Philip. - O ile mi obiecasz, że będziesz mówić do mnie po imieniu.

-Ale...

- Jenny, przysięgam, że aż tak bardzo się nie zmienię. To tylko ten głupi strój.

- To samo mówiła Clo, kiedy jej powiedziałam, że się zmieniła.

- Ach tak. - Philip zerknął w stronę nieświadomej niczego Cleone. - Naprawdę tak powiedziała?

- Tak, ale ja uważam, że się zmieniła. A ty?

- *Des pieds a la tete** - wycodził Philip.

- Słucham?? - przeraziła się Jennifer.

* Od stóp do głów

- To taki głupi nawyk. Podobno przez cały dzień paplam po francusku, co jest objawem afektacji.

- Po francusku? Mówisz teraz po francusku? - wyszeptała Jennifer. - Powiedz coś jeszcze! Proszę!

- *La lumiere de tes beaux yeux me penetre jusqu'au coeur** - Skłonił się z uśmiechem.

- Och! A co to znaczy?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - odparł posepnym tonem.

- Ale ja chciałabym wiedzieć.

- Powiedziałem, że... że masz przepiękne oczy.

- Naprawdę? A... nie zapomnisz o tej kan... którą miałeś dla mnie napisać?

- O kanconecie? Nie, myślę, że to jednak musi być sonet. A ten kwiat... twój kwiat jest, niestety, nie na czasie.

- Tak? A jaki to kwiat?

- Stokrotka.

- Nie przepadam za stokrotkami - stwierdziła Jennifer po namyśle. - Jakie kwiaty są dla mnie?

- Śnieżyczki.

- Och, są takie śliczne! - Jenny klasnęła. - Czy już nie jest za późno na śnieżyczki?

- Nie może być za późno - kategorycznie oświadczył Philip. - Dostaniesz je, nawet gdybym musiał udać się po nie na drugi koniec świata.

Jennifer zachichotała.

- Nie mógłbyś. Cleone!

* Światło tych pięknych oczu przenika do mego serca

Cleone podeszła do nich.

- Tak, Jenny? Czy pan Jettan prawi ci jakieś okropne komplementy?

- Nie... tak. Chyba tak. Mówi też, że mam nadal nazywać go Philipem. I... och! I że napisze sonet do moich oczu, związany wstążką ze śnieżyczkami. Panie Jet... Philipie, jaki jest kwiat Cleone?

- Czy trzeba pytać? Jaki, jeśli nie róża?

Cleone usiadła, nie przestając się uśmiechać.

- Róża? To wyniosły, dumny kwiat, prawda, sir?

- Ach, *mademoiselle*, musiałaś nigdy nie widzieć róży, rozkwitającej z pąka.

- Ha, zostałam pokonana! A jeszcze nie podziękowałam za bukiet, który mi pan przysłał dziś rano.

Wzrok Philipa powędrował do fiołków na jej piersi.

- Nie posyłałam ci fiołków - stwierdził z żalem.

W oczach Cleone pojawił się błysk.

- Nie. Te - musnęła kwiaty pieśczośliwym gestem - dostałam od sir Deryka Brenderby'ego.

- Szczęściarz z niego, *mademoiselle*. Jaka szkoda, że nie ze mnie.

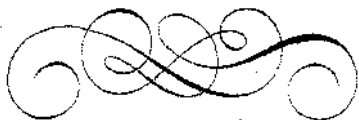
- Myślę, że z pana też, sir. Panna Ann Nutley nosiła wczoraj przez cały wieczór pańskie goździki.

Nagle Cleone uświadomiła sobie, że patrzy Philipowi prosto w oczy, pospiesznie więc odwróciła wzrok, ale żyłka na szyi pulsowała jej szybciej niż zwykle. Przez jedną ulotną chwilę widziała dawnego Philipa, poważnego, uczciwego i prowincjonalnego. Gdyby tylko... gdyby tylko...

- Panie Jet... To znaczy Philipie. Nauczysz mnie trochę francuskiego?

- Ach, oczywiście, *cherie*. A co chciałabyś powiedzieć?

Puls zwolnił rytm; błękitne oczy zatraciły miękki, matczyński wyraz. Cleone odwróciła się zdecydowanie do Jamesa, stojącego u jej boku.



Rozdział piętnasty

W którym lady Malmerstoke mówi o mężach

- Wczorajszego ranka przyniósł mi osobiście bukiet śnieżyczek przewiązany wstążką. Nie wiem, skąd je wziął, bo chyba już przekwitły. Prawda, Clo? Ale je przyniósł, z najładniejszym wierszem, jaki można sobie wyobrazić. Pisze w nim, że moje oczy to dwie bliźniacze, szare sadzawki.

Cleone wzruszyła ramionami.

- To niezbyt oryginalne - powiedziała.
- Nie podoba ci się? - zapytała z żalem Jennifer.
- Ależ oczywiście, kochanie, bardzo mi się podoba. - Cleone zawstydziała się tego nagłego przypływu złego humoru. - Tak więc pan Jettan przyniósł ci go osobiście?

- Tak. Został potem przez całą godzinę i rozmawiał z papą i ze mną. Co o tym sądzisz? Błagał mnie też, żebym zechciała z nim zatańczyć we środę. Czy to nie miłe z jego strony?

- Bardzo - odparła głucho Cleone.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak mu na tym zależało - paplała dalej Jennifer. - Jamie powiada, że on zabiega o względy panny Nutley. Czy ona jest bardzo piękna, Clo?

- Nie wiem. Pewnie tak.

- Philip uczy mnie francuskiego. To takie komiczne. Śmieje się też z mojego akcentu. A ty mówisz po francusku, Clo?

- Trochę. Nie wątpię też, że gdyby mnie usłyszał, śmiałyby się i z mojego akcentu.

- Och, wcale tak nie uważam. Nie mógłby się wyśmiać. Zapytałam go, czy nie sądzi, że jesteś bardzo piękna, a on odpowiedział...

- Jenny, nie wolno ci zadawać takich pytań!

- Ale on wcale nie protestował. Naprawdę. Roześmiał się tylko i powiedział, że nie ma takiego, który by tak nie uważał. Czy to nie miłe?

- Bardzo - odparła Cleone.

Jennifer przysunęła się bliżej.

- Mogę ci wyznać pewien sekret?

Cleone poczuła ukłucie w sercu.

- Sekret? Co to za sekret? - zapytała pospiesznie.

- Ojej, jak ty dziwnie wyglądasz. Chciałam ci tylko powiedzieć, że James jest w tobie zakochany.

Cleone odetchnęła z ulgą, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. - Jenny poczuła się dotknięta.

- Oczywiście, kochanie! To nie... ja nie... to znaczy, wiedziałam oczywiście, że James... że mu na mnie zależy.

- Wiedziałaś? Och! Wyjdiesz za niego? - dopytywała się podniecona Jennifer.

- Zadajesz takie okropne pytania. Nie, nie wyjdę.

- Ale... ale on cię kocha, Clo. A ty go nie kochasz?

- Nie w ten sposób. Jamesowi tylko wydaje się, że mnie kocha. Jest jeszcze za młody. Ja... moja droga, opowiedz mi lepiej o swojej sukni.

- Na ten bal? - ożywiła się Jennifer. - Jest z białego jedwabiu i...

- Sir Deryk Brenderby!

Jennifer zmieszła się.

- Ojej. - Westchnęła z żalem.

Do salonu wkroczył wysoki mężczyzna o niedbałych ruchach.

- Piękna panno Cleone, jestem szczęśliwy, że zastałem panią w domu. Całuję rączki, droga pani.

Cleone z uśmiechem cofnęła ręce.

- Sir Deryk - panna Jennifer Winton.

Brenderby dopiero teraz raczył zauważyć obecność drugiej panny i ukłonił się. Jennifer dygnęła nieśmiało, po czym skryła się za przyjaciółką.

Sir Deryk zasiadł w fotelu.

- Panno Cleone, potrafi pani zgadnąć, po co tu przybyłem?

- Aby mnie zobaczyć - odparła z figlarnym uśmiechem Cleone.

- To wydaje się oczywiste, moja piękna dręczycielko. Mam jednak jeszcze inny powód.

- Ten pierwszy powinien wystarczyć. - Cleone spuściła wzrok.

- I tak też jest, najpiękniejsza. Jednak ten drugi powód również wiąże się z pani osobą.

- Pan mnie intryguje, sir. O cóż więc chodzi?

- Przyszedłem błagać panią na klęczkach, by zechciała pani ze mną zatańczyć we środe.

- Och, sama nie wiem. - Cleone potrząsnęła głową.

- Chyba wszystkie tańce mam zajęte.

- Och nie, najdroższa, nie wszystkie.

- Raczej tak. Nie mogę więc niczego obiecać.

- Ale da mi pani choć nadzieję?

- W każdym razie jej nie odbiorę - powiedziała Cleone.

- Może Jennifer zechce ofiarować panu taniec?

Sir Deryk nie wydawał się zachwycony, skłonił się jednak przed Jennifer.

- Mogę liczyć na to szczęście, pani?

- Dzie... dziękuję - wyjąkała Jennifer. - Jeśli pan tak łaskaw.

Sir Deryk znowu się ukłonił, by natychmiast zapomnieć o jej istnieniu.

- Masz moje pierwiosnki, najśliczniejsza - zwrócił się do Cleone. - Nie śmiałem nawet marzyć, że mój skromny bukiet spotka taki zaszczyt.

Cleone spojrzała na bladożółte kwiaty.

- Ach, to one są od pana? Zapomniałam - rzuciła bezlitośnie.

- Och, niedobra Cleone!
- Słucham? - odezwała się znacząco Cleone.
- Panno Cleone - poprawił się szybko Brenderby i ukłonił się.

W tym momencie do pokoju wkroczyła lady Malmerstoke, wsparta na ramieniu pana Jettana.

- Philipie, czemu jesteś taki smutny? Chyba nie myślisz serio ani jednego słowa z tego, co powiedziałeś? Ooo, trafiłam na istne przyjęcie. Dzień dobry, kochana Jenny. Sir Deryk? Tak wcześnie? Znacie się chyba z panem Jettanem?

Obaj panowie ukłonili się sobie uprzejmie.

- Mam tę przyjemność, lady Malmerstoke - odparł Brenderby. - Nie widziałem cię wczorajszej nocy, Jettan. Nie było cię na kartach u Gregory'ego?

- Wczorajszej nocy? Nie, byłem u White'a, z moim ojcem. *Mademoiselle*, sługa unizony. *Et la petite* *.

- *Bonjour, monsieur* - odezwała się nieśmiało Jennifer. Philip kiwnął głową.

- *Mademoiselle* zrobiła wielkie postępy.

- Ja? Naprawdę? - ucieszyła się Jennifer.

- Oczywiście! A jak *mademoiselle* się miewa?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

Lady Malmerstoke rozsiadła się w wielkim fotelu.

- Chyba wam nie przeszkadzam - oznajmiła. - Clo, gdzie moja robótka? - Odwróciła się do gości. - Oczywiście nie zrobiłam jeszcze ani jednego ściegu. Byłoby to

* O, i mała!

dla mnie zbyt męczące, ale kiedy mam ją przy sobie, wyglądam na zajęta, prawda?

Cleone i Brenderby podeszli do stolika, by poszukać robótki. Cleone spojrzała przez ramię.

- Nie wiercie jej słowom - powiedziała. - Ciocia Sally prześlicznie haftuje. Przesadza, mówiąc o swoim lenistwie.

- Nie lenistwie, moja kochana, tylko indolencji. To znacznie ładniejsze słowo. Dziękuję ci. - Wzięła haft, by go zaraz odłożyć na bok. - A teraz zdradzę wam pewien sekret. Philip już wie, o co chodzi, nie musi więc słuchać.

Philip przysiadł na oparciu fotela.

- Tysięczne dzięki, ciociu.

- To bardzo niegrzecznie z twojej strony! - skarciła go lady Malmerstoke. - Zdradziłeś sekret, zanim zdążyłam powiedzieć choć słowo.

- *Eh, bien!** Nie powinna była ciocia sugerować, że nie chcę słuchać jej głosu.

- Kiedy rzeczywiście zostanę twoją ciotką, będę musiała poważnie z tobą porozmawiać na temat prawienia komplementów starej kobiecie - oznajmiła surowo lady.

Cleone klasnęła w dłonie.

- Och, ciociu Sally. Naprawdę poślubi ciocia pana Jet-tana?

- Jednego z nich. - Ciotka pokiwała głową. - Bo ten tu - uśmiechnęła się do Philipa - zamierza poślubić kogoś innego. Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, bym go zechciała.

* No dobrze!

-I kto tu jest teraz niegrzeczny? - zapytał Philip. - Planuję panią porwać, jak tylko przekroczy pani próg kościoła.

Cleone poczuła, że ogarnia ją lodowaty chłód. Machinalnie pogratulowała ciotce. Głos Brenderby'ego i Jennifer docierał do niej jak przez mgłę. A więc Philip zamierza poślubić kogoś innego? Niewątpliwie chodzi o Ann Nutley, tę podstępna wydrę!

Gdy Philip w końcu do niej podszedł, była weselsza niż kiedykolwiek i wręcz tryskała beztrudną radością. Wciągnęła sir Deryka do rozmowy, flirtując bezwstydnie. Skutecznie odpierała przytyki Philipa i śmiała się z żarcików sir Deryka. Potem Philip zaczął rozmawiać z Jennifer. Para pożądlivych, złych, zazdrosnych, choć z pozoru obojętnych oczu szła za nim krok w krok.

Gdy goście wreszcie poszli, Cleone czuła się okropnie. Ból rozsadał jej czaszkę. Policzki płonęły, a oczy lśniły ogniem.

Lady Malmerstoke przyjrzała jej się uważnie.

- Jakaś ty rozgrzana, moja droga. Otwórz okno.

Cleone posłuchała ciotki i przytknęła rozpalone policzki do chłodnej szyby.

- To nieśmiałe dziecko - rzuciła ciotka.

- Jenny? Tak. Bardzo, prawda?

- Myślałam, że sir Deryk zwróci na nią większą uwagę.

- Nie miał żadnych szans. Została całkiem zmonopolizowana.

Lady Malmerstoke zerknęła na Cleone i uśmiechnęła się ukradkiem.

- Moja droga, wracając do innych spraw, który to będzie z nich: Philip czy sir Deryk?

Cleone zachnęła się.

- Jak mam to rozumieć, ciociu?

- Do którego będziesz się uśmiechać? Obu okazywałaś życzliwą zachętę. Oczywiście nie liczę młodego Jamesa, bo to jeszcze dzieciak.

- Proszę, proszę...

- Sir Deryka nie lubię. Nie, on mi się ani trochę nie podoba. Nie ma w sobie za grosz uprzejmości, bo gdyby było inaczej, porozmawiałby trochę więcej ze mną albo z Jenny. Którego więc zamierzasz poślubić, kochanie?

- Żadnego!

- Moja droga Cleone! - Lady Sally była zaszokowana.

- Po co ich, wobec tego, zachęcasz, żeby się w tobie kochali? Posłuchaj mojej rady. Weź sobie sir Deryka.

Cleone zaśmiała się.

- Sądziłam, że go nie lubisz?

- Bo nie lubię. Co wcale nie znaczy, że byłby złym mężem. Wprost przeciwnie. Dałby ci wolną rękę i nie przesładowałby cię nieustannie swoją obecnością.

- Dla tych właśnie powodów nie chcę o nim słyszeć.

- Wobec tego zostaje Philip?

Cleone odwróciła się gwałtownie.

- Za którego bym nie wyszła, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na tym świecie!

- Na szczęście nim nie jest. Nie unoś się tak, moje dziecko.

Cleone zastygła na moment, niezdecydowana, a potem wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Lady Malmerstoke opadła na poduszki i zamknęła oczy.

- Widzę jeszcze dla ciebie nadzieję, Philipie - powiedziała, szykując się do drzemki, ale nie dane jej było zasnąć. Niespełna pięć minut później do pokoju wprowadzono sir Maurice'a.

Lady Malmerstoke natychmiast usiadła, a jej dłoń powędrowała do peruki.

- Naprawdę, Maurice, powinieneś wiedzieć, że nie wypada zaskakiwać damy - powiedziała surowo. - Twoja rodzina kręci mi się po domu od samego rana. O co chodzi tym razem?

Sir Maurice ucałował jej dłoń.

- Po pierwsze, moje najszczerze gratulacje, Sally. Dopiero co widziałem się z Tomem.

Gdyby damy mogły szczerzyć zęby, uśmiechając się od ucha do ucha, to właśnie można by w tym momencie powiedzieć o Sally Malmerstoke.

- Dziękuję, Maurice. A jak znalazłeś Toma?

- Był dosyć roztrzęsiony - odparł sir Maurice. - Gadał coś bez ładu i składu o tym, że miłosna namiętność to przywilej młodości, ale nigdy w życiu nie widziałem mężczyzny w stanie takiego uniesienia.

- Jakie to miłe. - Lady Sally westchnęła ze wzruszeniem. - A drugi powód?

Sir Maurice podszedł do kominka i zapatrzył się w ogień.

- Chodzi o Cleone.

- Dobry Boże!

- Jeżeli ktoś może mi pomóc, to tylko ty... - zaczął sir Maurice.

Lady Malmerstoke uniosła rękę.

- Nie, Maurice, nie! Jesteś za stary!

- Zabawna z ciebie kobieta. - Sir Maurice uśmiechnął się blado. - Powiedz mi, czy jej w ogóle zależy na Philipie?

- No cóż... - Lady Sally zaczęła obgryzać paznokcie.

- Sama jej ciągle zadaję to pytanie... albo coś w tym rodzaju.

- A co ona na to?

- Że nie wyszłaby za niego, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na tym świecie.

Sir Maurice spojrział na nią zgnębiony.

- Co ją napadło? Myślałem... Nic więcej nie powiedziała?

- Ani słowa. Wybuchnęła płaczem i uciekła.

Sir Maurice nagle się rozpromienił.

- To chyba dobrze mu wróży?

- Nawet bardzo. - Lady Sally pokiwała głową. - Ale..,

- Ale co? Mów!

- Widzę, że się bardzo przejmujesz - stwierdziła. ,

- Pewnie, że się przejmuję. Mówię ci, że Philip jest bez pamięci zakochany w tej dziewczynie. A ona...

- A ona - dokończyła lady Malmerstoke, starannie akcentując każde słowo - nie ma żadnych podstaw, by wierzyć, że tak jest. I niełatwo ją będzie przekonać. Bo co my takiego słyszymy? Że Philip kocha się w Ann Nutley. Że

elegancko zabawiał się z różnymi francuskimi damami. Widzimy, jaki jest miły dla małej Jennifer. I tak dalej.

- Przecież on nie przywiązuje do tego większej wagi. Dobrze o tym wiesz.

- Ja? Jakie to ma znaczenie, co ja wiem? Ważne jest to, co wie Cleone. Z drugiej strony, nie ma bardziej nierozumnej istoty pod słońcem niż zakochana dziewczyna.

- Ale gdyby Philip ją zapewnił...

- Phi! - prychnęła lady Malmerstoke, pstrykając palcami. - Phi!

- Nie uwierzyłaby mu?

- Może i uwierzyłaby, lecz może wolałaby mu tego nie okazywać.

- Przecież to śmieszne! To...

- Oczywiście. Wszystkie dziewczyny są śmieszne.

- Sally, nie męcz mnie. Powiedz lepiej, co trzeba zrobić?

- Zostawić ich w spokoju. Jeżeli zaczniemy się wtrącać, nic dobrego z tego nie wyniknie. Philip musi sam rozegrać swoją partię.

- Taki ma zamiar, ale nie wie, czy ona go kocha.

- Możesz mu ode mnie powiedzieć, że jest nadzieja, ale musi postępować rozważnie. A teraz chcę się zdrzemnąć. Do widzenia, Maurice.



Rozdział szesnasty

W którym panna Cleone przekonuje się, że nie należy ufać liczbom

Gdy w środowy wieczór Philip wkroczył do sali balowej rezydencji Deringów, lady Malmerstoke już tam była. Cleone tańczyła z sir Derykiem, a Jennifer siedziała, onieśmielona i załężniona. Widząc je, Philip skierował się w ten koniec sali.

Lady Malmerstoke powitała go ze śmiechem.

- Dobry wieczór. Przyprowadziłeś papę?

Philip potrząsnął głową.

- Wołał pójść z Tomem do White'a. Jenny, zatańczysz ze mną? Obiecałaś mi. Pamiętasz?

- Ja... wątpię... nie umiem. Tańczyłam tylko kilka razy w życiu, sir.

- Tylko mi nie mów, że te małe stópki nie potrafią tańczyć, *cherie**.

* Kochanie

Jennifer spojrzała na swoje stopy.

- To ogromnie miło z twojej strony, Philipie, ale... ale czy jesteś pewny, że to mnie chcesz poprosić do tańca?

Philip podał jej ramię.

- Widzę, że jesteś w nie najlepszym nastroju.

Jennifer wstała.

-Zatańczę, owszem, ale... och... ale jestem taka zdenerwowana! Przypuszczam, że bardzo dobrze tańczysz.

- Nie sądzę, poza tym jestem pewny, że się nie doceniasz. Chodź, sprawdzimy swoje umiejętności taneczne.

Cleone zobaczyła ich z drugiego końca sali i natychmiast odwróciła wzrok, jednak kątem oka udało się jej śledzić ich ruchy. Widziała, jak Philip odprowadził Jenny na miejsce, po czym usiadł obok i zaczął z nią rozmawiać. Później przywołał przechodzącego znajomego i przedstawił go Jennifer. Odprowadziła go wzrokiem, gdy szedł przez salę do grupki panów, by znów wrócić z kilkoma z nich do Jennifer. Na ten widok Cleone zatrzęsa się z gniewu. Dlaczegoż to Philip tak troskliwie zajmuje się Jennifer? Czemu jej tak wytrwale asystuje? Zganiła się duchu, nazywając się wściekłą kotką, była jednak rzeczywiście zła. W końcu Philip zostawił Jennifer i udał się wprost do Ann Nutley.

Sir Deryk przestał wachlować Cleone.

- Proszę, kogo tu mamy. Śmiem twierdzić, że Philip Jettan zaleca się do każdej ładnej kobiety, jaką tylko spotka na swojej drodze. Wystarczy na nich popatrzeć.

Cleone nie potrzebowała zachęty, już na nich patrzyła, zzymając się w duchu.

- Pan Jettan to znany pochlebca - powiedziała.

- Jest też zawsze tak obrzydliwie francuski. Pannę Ann wydaje się to bawić. O ile wiem, Jettan cieszył się wielkim wzięciem u paryskich dam.

Cleone przypomniała sobie nagle o pojedynku, który Philip stoczył w Paryżu, z powodu „pięknego imienia jakiejś francuskiej dziewczyny”.

- Tak? - rzuciła obojętnie. - Nic dziwnego, jest przecież bardzo przystojny.

- Tak pani uważa? O, już tu idzie. Widocznie śliczna Ann mu nie wystarcza... Sługa uniżony, sir.

Philip skłonił się z uśmiechem.

- *Mademoiselle*, mogę mieć ten zaszczyt i poprowadzić panią do tańca?

Cleone pomyślała, że absolutnie nie może okazać Philipowi, iż ją obchodzi to, co on robi.

- Ojej, ale ja dopiero co usiadłam - odparła. - Jestem taka zmęczona i zgrzana.

- Wiem, że jest tu chłodny salonik - wtrącił się natychmiast Brenderby. - Zaprowadzę tam panią, o najpiękniejszą!

- To bardzo miło z pana strony, sir Deryk, ale raczej nie pójdę. Mogłabym prosić o kieliszek ratafii? - zapytała błagalnym tonem, spoglądając na Philipa.

Tym razem sir Deryk zdołał go uprzedzić.

- Już biegnę, droga pani - oznajmił, kłaniając się. - Zaraz przyniosę.

- Och, dziękuję, sir. - Cleone przecież nie o to chodziło.
- Panie Jettan, widzę, że nie uciekł pan jeszcze do Paryża?

Philip usiadł obok niej.

- Nie, *mademoiselle*, jeszcze nie. Dzisiejszy wieczór zdecyduje, czy wyjadę, czy zostanę - odparł, a jego głos zabrzmiał niezwykle surowo.

- Doprawdy? To niesłychanie interesujące.

- Nie. Pytam cię wprost. Wyjdiesz za mnie?

Cleone zaniemówiła z wrażenia. A potem zatrzęsała nią ślepa furia. Jak Philip śmie przychodzić do niej prosto od Ann Nutley?! Obrzuciła go spojrzeniem i spostrzegła, że jest bardzo poważny. Byłoby to możliwe, że z niej kpi?

- Trudno mi uwierzyć, że mówi pan serio - rzuciła lekkim tonem.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny, Cleone. Już wystarczająco długo bawiliśmy się ze sobą w kotka i myszkę.

Cleone zadrżała. Na moment wydało jej się, że znów stoi przed nią ten dawny Philip z Little Fittledean. Zaraz jednak przypomniała sobie, że już tak nie jest.

- W kotka i myszkę? Nie rozumiem!

- Nie rozumiesz? Czy choć raz byłeś ze mną szczerą?

- A czy pan był choć raz ze mną szczerzy? - rzuciła ostro.

- Tak, Cleone. Zanim mnie odesłałaś, byłem z tobą szczerzy. Natomiast po powrocie już nie. Chciałem się przekonać, czy pragniesz mnie takim, jaki jestem, czy takim, jakiego udaję. Zwyciężyłaś mnie. Teraz znów jestem z tobą szczerzy. Kocham cię i pragnę, byś została moją żoną.

- Mówi pan, że mnie pan kocha... - powtórzyła Cleone, uderzając się wachlarzem w kolano. - Może więc zechce pan nadal być ze mną szczery. Czy jestem jedyną, jaką pan kochał?

- Tak, jesteś jedyną.

Błękitne oczy załśniły.

- A te damy na francuskim dworze, panie Jettan? Podobno pojedykował się pan z pewnym zazdrosnym mężem. Jestem pewna, że potrafi pan to wyjaśnić.

Philip zamilkł na chwilę, marszcząc brwi.

- A więc wiadomość o tej absurdalnej aferze dotarła do ciebie, Cleone?

- O tak, sir! Dotarła. Szkoda, prawda?

- Wielka szkoda, Cleone, jeżeli miałybyś mnie osądzać na podstawie tej plotki.

- Aha! Więc nie było w tym ziarna prawdy? - wyrwało się Cleone zbyt pośpiesznie.

- Będę z tobą szczery. Było w tym źdźbło prawdy. *Monsieur de Foli-Martin* poczuł się urażony, choć nic nie zaszło.

- Czemu, wobec tego... ?

- Pewnie dlatego, że zalecałem się do jego żony.

- Ach tak? - Głos Cleone brzmiał podejrzenie spokojnie. - Zalecał się pan do jego żony? Niewątpliwie musiała być piękna?

- Bardzo - przyznał Philip.

- Czy równie piękna jak *mademoiselle* de Marcherand, o której słyszałam? Albo jak tutaj, w Londynie, panna Ann Nutley? A może taka śliczna jak Jennifer?

W tym momencie Philip zrobił fałszywy krok.

- Nie jesteś chyba zazdrosna o małą Jenny?! - wykrzyknął.

Cleone zachnęła się.

- Zazdrosna? Jakie mam powody być zazdrosna? Jest pan dla mnie nikim, panie Jettan. Owszem, przyznaję, że kiedyś pana... lubiłam. Ale od tamtej pory pan się zmienił. Nie może pan zaprzeczyć, że po wyjeździe z Anglii uwodził pan masami piękne kobiety. Nie mam zresztą o to do pana pretensji. Jest pan przecież wolny i może robić, co mu się podoba. Natomiast nie do przyjęcia jest to, że śmie pan przychodzić do mnie ze swoimi deklaracjami. Odkąd pan wrócił, daje mi pan wyraźnie do zrozumienia, że znaczę dla pana nie więcej niż Ann Nutley albo Julie de Marcherand. „Do perły, która drży w jej uchu”. Nie tak to brzmiało? Bardzo ładnie, sir. A teraz, na odmiannę, interesuje się pan mną, panie Jettan. Nie powiem jednak, by mi to pochlebiało.

Philip pobladł pod warstwą pudru.

- Cleone, krzywdzisz mnie. To prawda, że flirtowałam całkiem niewinnie z tymi damami. Taki jest wymóg mody - a ty kazałaś mi przecież iść za modą. Nigdy pomiędzy mną a żadną kobietą nie doszło do czegoś poważnego. To mogę ci przysiąc!

- To samo przysięgał pan pewnie panu de Foli-Martin?

- Po tym, jak dałem mu satysfakcję, której się domagał, tak.

- A on, jak sędzę, uwierzył?

- Nie. - Philip zagryzł wargi.

- Nie? Dlaczego więc spodziewa się pan, że uwierzę w coś, w co pan de Foli-Martin nie chciał wierzyć, mimo iż był osobiście zaangażowany?

- Mogę ci tylko dać moje słowo.

Cleone walczyła jednak dalej, gdyż chciała zostać pokonana.

- Nigdy nie flirtował pan z żadną z tych dam, sir?

Philip milczał.

- Przychodzi pan do mnie - głos jej zadrżał - ze swoją zszarganą reputacją. Ja nie mam na to ochoty. Kochał się pan w tuzinie innych kobiet. Może nawet je pan całował. A teraz chce pan mnie ofiarować swoje pocałunki. Ja lubię nietknięty towar, sir!

Philip podniósł się, urażony.

- Przykro mi, że obraziłem cię swoją propozycją.

Uniesiona ręka Cleone opadła bezwładnie. Czy on naprawdę nie rozumie, że ona chce, by skruszył jej opór? Czy mu już na tym nie zależy? Czy nie mógłby po prostu wszystkiemu zaprzeczyć i stać się jej panem?

- Spieszę, wobec tego, uwolnić panią od mojej nieznośnej obecności. Sługa uniżony, *mademoiselle*. - Philip skłonił się, obrócił na pięcie i odszedł, pozostawiając oszołomioną Cleone.

Wachlarz niezauważony upadł na podłogę. Philip odszedł! Nie zrozumiał, że chciała zostać pokonana; pragnęła, by miał nad nią władzę. Odszedł, by już nigdy nie wrócić. Przez tych kilka minut znów był tym Philipem, którego pokochała - a nie tym niepoważnym galantem z ostatnich tygodni.

Łzy napływały jej do oczu. Dlaczego zachowała się tak prowokacyjnie? I dlaczego pozwoliła mu odejść? Wiedziała przecież ponad wszelką wątpliwość, że to jedyny mężczyzna, którego może kochać i którego kiedykolwiek kochała. A teraz opuścił ją i wróci pewnie do Paryża. Nic już się nie liczyło; było jej wszystko jedno, co się z nią stanie, skoro straciła Philipa.

James Winton, zawsze w pobliżu, podszedł i usiadł obok Cleone. Powitała go zdawkowo, pogrążona w posępnych myślach. Głos Jamesa, nieśmiały, a zarazem przejęty, zdawał się do niej docierać poprzez mgłę. Nie miała pojęcia, o czym mówił, ale jego natarczywość zaczęła ją lekko irytować. W końcu do jej otępiełego mózgu przesaczyły się następujące słowa:

- Powiedz „tak”, Cleone. Powiedz „tak”. Och, powiedz „tak”, Cleone!

Jak można być takim natrętem! Cleone odwróciła się, zniecierpliwiona.

- Och tak, tak! A o co chodzi?

Dla Jamesa, który właśnie jej się oświadczał starannie dobranymi słowami, jej odpowiedź nie była wcale komplementem. Poderwał się, dotknięty do żywego.

- Widzę, że nie słyszałaś ani słowa z tego, co do ciebie mówiłem!

- Och, nie męcz mnie, James. Powiedziałam przecież „tak”. O co chodzi? Jesteś taki natrętny, a ja pragnę spokoju.

James uklonił się.

- Wobec tego, pozwoli pani, że panią opuszczę. Pro-

ponowałem pani moją rękę i moje serce. - Po tych słowach odszedł, istne uosobienie urażonej dumy.

Cleone wybuchnęła histerycznym śmiechem. W tym momencie pojawił się sir Deryk.

- Widzę, że jest pani bardzo rozbawiona, moja piękna. Mogę poznać przyczyny tej radości?

Cleone poderwała się.

- Proszę mnie stąd zabrać - rzuciła błagalnym tonem.

- Ja... omal nie zemdlałam z gorąca. Potrzebuję spokoju. Ten dźwięk skrzypiec świdruje mi w głowie. Ja... niech mnie pan zabierze w jakieś chłodniejsze miejsce.

Sir Deryk zdumiał się, lecz tego po sobie nie okazał.

- Ależ oczywiście, najdroższa. Znam taki mały zaciszny salonik. Proszę przyjąć moje ramię. Tutaj rzeczywiście można się udusić. - Poprowadził ją przez salę balową do ciężkiej kotary, za którą znajdował się mały pokój, tonący w półmroku.

Philip tymczasem poszedł do lady Malmerstoke i usiadł obok niej, zasępiony.

Lady Malmerstoke przyjrzała mu się uważnie.

- No i co? - zapytała.

Roześmiał się z goryczą.

- Och, dostałem kosza. Czy dobrze to ukrywam?

- Źle - odparła Lady. - Musiałeś fatalnie rozegrać karty. Możesz mi wierzyć.

- Och, nie. Pani siostrzenica po prostu mnie nie kocha.

- Nonsens. Nawet mi tego nie mów. Uważasz mnie za głupia, Philipie?

- Zarzuciła mi, że mam zszarganą opinię. Zabrzmiało to nieodwołalnie.

- Nieodwołalnie, powiadasz? Po co te wzniosłe słowa, dziecko? Powiedz mi lepiej, co się stało.

- Poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła, a ona rzuciła mi w twarz moje wstrętne paryskie afery.

- Oczywiście wszystkiemu zaprzeczyłeś?

- Nie, bynajmniej. Jak bym mógł? Było w tym przecież trochę prawdy.

Lady Malmerstoke odchyliła się, zdegustowana.

- Niech mnie Bóg strzeże przed młodymi mężczyznami. Przyznałeś się do wszystkiego?

- Nie... to znaczy byłem z nią szczerzy.

- Wielkie nieba, Philipie! Szczerzy z kobietą? Dobre sobie. I co dalej? Powiedziałaś Cleone, żeby nie była głupia? Nalegałeś, by zechciała cię wysłuchać?

- Jak mógłbym? Ona...

- Nie zrobiłeś tego. Odszedłeś, kiedy powinieneś ją ujarzmić. Założę się o mój najlepszy naszyjnik, że czekała, byś zechciał dochodzić swoich praw. Teraz jest pewnie w rozpacz. Dobrze jej tak i tobie też.

- Ale lady Malmerstoke...

- Nie powiem, żebym jej nie współczuła - ciągnęła lady Sally, niewzruszona. - Jest, oczywiście, niedoświadczona, jak wszystkie młode dziewczyny. Kobieta w moim wieku ma już na tyle mądrości, by nie wnikać zbyt głęboko w przeszłość mężczyzny. Cleone wie, że flirtowałaś z tuzinem innych kobiet, lecz na pewno nie myśli o tobie źle z tego powodu. Możesz mi wierzyć.

- Ależ tak! Powiedziała...

- Na miłość boską, Philipie, nie próbuj mi mówić, co ci powiedziała. Co to ma do rzeczy?

- Pani nic nie rozumie. Cleone powiedziała...

- Może i powiedziała. Co wcale nie znaczy, że tak myśli. Nie mam racji? - zapytała rozgniewana lady Sally.

- *Mais...*

- Nie zaczynaj mówić do mnie po francusku, moje dziecko, bo tego nie zniosę. Powinieneś już wiedzieć, że jeśli kobieta mówi „nie” do mężczyzny, wcale nie ma tego na myśli.

- Och, dosyć już, dosyć, lady Malmerstoke! Pani nic nie rozumie. Z powodu tych paryskich intryg Cleone ma o mnie jak najgorsze zdanie. Jest na mnie wściekła.

- Oczywiście, że tak. A czego się spodziewałaś?

Philip klasnął.

- *Mais voyons!** A dopiero co zapewniała pani, że ona nie myśli o mnie źle z tego powodu.

- Kto twierdzi, że myśli? Nie można myśleć o dwóch rzeczach naraz?

- Przecież nie o dwóch tak przeciwstawnych rzeczach! Mnie to nigdy w życiu się nie zdarzyło.

- Tobie może i nie, ale ty jesteś tylko mężczyzną. Natura nie wyposażyła cię w takie umiejętności, jakie my mamy.

- Lady Sally rozpostarła wachlarz. - Kobieta potrafi myśleć o tysiącach różnych rzeczy jednocześnie, a wszystkie są ze sobą sprzeczne. Wierz mi. - Pokiwała znacząco głową.

* Coś takiego!

- Ale to śmieszne. To niemożliwe. Czy kobiece mózgi są tak... niekonsekwentne?

- Większość z nich tak - odparła lady Malmerstoke.
- Skaczą, rozumiesz?

- Jak to skaczą? - Philip był już kompletnie skołowany.

- Przeskakują. Z tematu na temat. Ty dochodzisz do pewnych wniosków stopniowo i wiesz, jak do nich dotarłeś. Kobiety nie rozumują w ten sposób. Cleone nie potrafiła ci wyjaśnić, czemu myśli o tobie dobrze i źle zarazem, ale tak właśnie było.

- Z pewnością jednak, jeśli pójdzie po rozum do głowy, zrozumie, że to absurdalne...

- Jeżeli co?

- Pójdzie po rozum do głowy. To znaczy...

- Oszalałeś chyba - stwierdziła z przekonaniem lady Malmerstoke. - Kobiety nie rozumują. To należy do mężczyzn. Sądzisz, że gdyby Cleone myślała tak jak ty i miała rozum mężczyzny, to byś się w niej zakochał? Na pewno nie, bo nie czułbyś swojej nad nią wyższości.

- Nie wydaje mi się...

Lady Malmerstoke zaśmiała się cicho.

- Naprawdę, Philipie? Uważasz, że Clo jest rozsądna i samodzielna i nie potrzebuje nad sobą pana?

- Ja... Nie, tak nie uważam.

- To właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Boże, jakiś ty ślepy! Gdybyś nie sądził, że musisz się opiekować Cleone i bronić jej przed wszystkimi, również przed sobą, to byś jej nie kochał.

- Lady Sally, jest pani krynicą mądrości.

- W moim wieku powinnam. Zebrałam doświadczenie i nigdy nie byłam głupia.

- Proszę mi doradzić, jak należy postępować?

Lady Malmerstoke pogroziła mu palcem.

- Porządnie potrząśnij tą dziewczyną. Ostrzeż, że nie pozwolisz się lekceważyć. Powiedz jej też, że jest małą głuptaską, a potem ją pocałuj. I nawet jeśli będzie protestowała, nie przestawaj jej całować. Boże, co ja wygaduję!

- Tak, ale droga lady Sally, jak mam ją pocałować, skoro jest zimna jak lód i... i taka niedostępna.

- Domyślasz się może, dlaczego jest taka zimna? - zapytała lady Malmerstoke. - Jeżeli tak, to mi powiedz.

- Uważa mnie za eleganckiego lekkoducha.

-Wcale nie. To dlatego, bo traktujesz ją grzecznie i uprzejmie i pozwalasz się lekceważyć. Bóg mi świadkiem, kobiety nie chcą uprzejmości. A już na pewno nie Cleone. Oczekują, że mężczyzna zachowa się jak brutal.

- Brutal?

- Może niezupełnie. Lubią po prostu czuć, że on nie zniesie żadnych dąsów i fochów. Och, oczywiście życzą sobie, by traktować je łagodnie. O to możesz się nie obawiać. Ale chcą też poczuć się bezradne. Wołają, by ktoś nimi kierował. Przynajmniej większość z nich. Kiedy całujesz koniuszki palców Cleone i obchodzisz się z nią, jakby była z porcelany, ona myśli, że nie jesteś mężczyzną i że ci na niej nie zależy.

- To niemożliwe! Ona...

- Ona o tym, rzecz jasna, nie wie, ale to prawda. Po-

słuchaj mojej rady, Philipie, i obstawaj mocno przy swoim. Nie bądź jednak zbyt małostkowy.

- Wszystko to piękne, ale ona mnie nie kocha.

- Och, niech cię diabli! - Lady Malmerstoke straciła cierpliwość. - Męczysz mnie, Philipie. Rób, co uważasz za stosowne, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli wszystko pójdzie na opak. Jeżeli rozgniewałeś Cleone, gotowa popełnić jakieś głupstwo. Pamiętaj chłopcze, że cię ostrzegałam. O, a oto nadchodzi nasz James. Wygląda jak naburmuszony niedźwiedź. James, mój pocziwczu, zostawiłam chusteczkę w drugim pokoju. Możesz mi ją przynieść, proszę? Tam, za tą kotarą. A teraz idźcie już obaj.

Philip ujął Jamesa pod ramię.

- Reasumując, zostaliśmy odprawieni. Chodź, Jamie, znajdziemy lady Sally chusteczkę.

W zacisznym saloniku Cleone grała w kości z sir Derkiem, oddając się z zapałem temu mało dziewczęcemu zajęciu. Przegrała już swoją różę przy staniku i Brenderby próbował właśnie odpiąć szpilkę, która ją przytrzymywała. Kiedy to mu się nie udało, złapał mocno za łodyżkę i Odłamał paśowy kwiat. Niestety, wraz z różą chwycił cienką błękitną wstążkę z wisiorkiem. Wstążka pękła, a ozdóbka potoczyła się po podłodze.

Cleone, która była zmęczona i zirytowana, poderwała się z krzesła.

- Ojej, mój wisior! - Zaczęła gorączkowo szukać go na podłodze.

Zaskoczony jej gorliwością, Brenderby ukląkł i znalazł wisior w tej samej chwili, kiedy i Cleone go zoba-

czyła. Wstał z klęczek i już miał jej go zwrócić, gdy klasnęła i zażądała, by oddał go natychmiast. To rozbudziło ciekawość sir Deryka, więc się zawahał.

- Czemu tak ci spieszo, panno Cleone? Jaki kryje się w nim sekret?

- Żaden. Och, proszę mi go dać, i to już!

Sir Deryk nie wypuszczał z rąk swojej zdobyczy.

- Nie tak szybko, panno Cleone. Dałbym głowę, że kryje się w tym jakaś tajemnica. Chyba zajrzę do środka.

- Zabraniam panu! - zawołała Cleone. - Sir Deryku... - zaczęła, ale się opanowała. - Proszę mi go oddać!

- Tak też zrobię, moja najśliczniejsza, ale najpierw muszę zobaczyć, co jest w środku.

- Nie! Nic w nim nie ma. Nie zniósłabym tego, gdyby pan tam zajrzał. Poza tym jest... pusty. Ja... och, proszę mi go oddać! - Tupnęła gniewnie.

Brenderby popatrzył na Cleone łobuzersko.

- Założymy się, najśłodsza? Musi go pani ode mnie wygrać. - Sięgnął po kubek z kośćmi. - Jeżeli mnie pani przebije w tym rzucie, oddam wisiorek i nie będę do niego zaglądał. Ale jeżeli pani przegra, będzie trzeba go wykupić.

- Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

- Będzie pani musiała mnie pocałować. Jeden uczciwie zarobiony pocałunek. Przyzna chyba pani, że moje warunki nie są zbyt wygórowane.

- Nie, nie przyznam. Jak pan śmie, sir! Poza tym to mój wisiorek. Nie ma pan do niego żadnych praw.

- Znalezione należy do znalazcy. Szanse są pół na pół i w żadnym wypadku nie otworzę wisiorka.

- Ja... myślałam, że jest pan dżentelmenem.

- Bo jestem. Gdybym nim nie był, wziąłbym najpierw nagrodę, a potem wisiołek. Nikt nas tu nie widzi i nikt nie musi się dowiedzieć.

Cleone załamała rękę.

- Umarłabym ze wstydu. Och, niech pan będzie tak miły, sir Deryku.

- Dlaczego miałbym być miły, skoro pani nie jest? Nie chce pani przyjąć moich warunków? Doskonale. - Wykonał gest, jakby chciał otworzyć wisiołek.

- Nie, nie! - wykrzyknęła Cleone. - Zrobię wszystko, wszystko! Tylko niech go pan nie otwiera!

- Zagra pani ze mną?

Cleone wzięła głęboki oddech.

- Tak. Zagram. I nigdy więcej się do pana nie odezwę.

Sir Deryk roześmiał się.

- Och, założę się, że zmieni pani zdanie. No już. - Wyrzucił kości. - Potrafi mnie pani przebić?

Cleone chwyciła kubek i potrząsała nim długo i gwałtownie. Zamknęła oczy. W końcu wyrzuciła kości. Brenderby nachylił się nad stolikiem.

- Niestety.

Otworzyła szybko oczy.

- Wygrałam? Och, wygrałam!

- Nie. Użalałam się nad panią, najśliczniejsza, a nie nad sobą. Przegrała pani.

Na koniuszkach długich rzęs błysnęły łyzy.

- Sir Deryku, niech pan będzie wielkoduszny. Ja... ja nie chcę pana pocałować.

- Co? Wycofuje się pani? - drażnił się z nią sir Deryk.
- Jest pan potwornie nieuprzejmy. To mój wisiorek i nie chcę pana pocałować. Nie chcę. Nienawidzę pana!
- To jeszcze dodaje pikanterii całej sytuacji, moja droga. Mam odebrać siłą wygraną?
- Cleone stłumiła szloch.
- Proszę, może mnie pan pocałować. - Stała nieruchomo jak posąg, z uniesioną głową i miną męczennicy. Brenderby położył jej dłonie na ramionach.
- Na Boga, panno Cleone, jakaś ty piękna - powiedział schrypniętym głosem. - Tej nocy igrała pani z ogniem, ale proszę się nie bać, za mocno pani nie sparzę.
- Pochylił głowę tak, że ich usta się zetknęły.

W tym najbardziej nieodpowiednim momencie do pokoju wkroczyli James i Philip.

- Nie, lady Sally mówiła, że zostawiła ją tutaj, Philipie. Pamiętam...

Z okrzykiem przerażenia Cleone odskoczyła od sir Deryka. Policzki jej płonęły. Szeroko otwartymi oczami popatrzyła na zastygłego ze zdumienia Jamesa, a potem na pobladłego z wściekłości Philipa.

Postąpił pół kroku w przód, a jego ręka już sięgała do szpady. Zaraz jednak się opanował i wsunął ją z powrotem do pochwy. Cleone nie wrywała się przecież z objęć Brenderby'ego. Cóż więc mógł zrobić? Od dawna podejrzewał, że jest zakochana w sir Deryku. A jeśli uwzględnić odpowiedź, z jaką spotkały się jego oświadczenia...

Westchnął zrezygnowany, a potem skłonił się nisko.

- *Mille pardons, mademoiselle** Wygląda na to, że wam przeszkodziłem.

Cleone zachnęła się. Słowa Philipa były przepojone gorzkim sarkazmem. Spróbowała coś odpowiedzieć, ale głos ją zawiódł. Zresztą, co mogła powiedzieć?

James ocknął się w końcu ze swojego stuporu i podszedł bliżej.

- Do stu tysięcy piorunów, co to ma znaczyć...

- Ja.. n...nie wiem - wyjąkała Cleone. - Och, mój, Boże!

Brenderby stanął pospiesznie u jej boku, ujął ją za rękę i uściśnął krzepiąco.

- Panowie, macie zaszczyt zwracać się do mojej przyszłej żony - oznajmił z powagą.

Ręka Philipa zacisnęła się wolno na kotarze. Zastygł, z oczyma wlepionymi w Cleone.

- Och! - wykrzyknęła Cleone. - Och, ja... - Urwała bezradnie.

W jakim straszliwym znalazła się położeniu. Jeżeli teraz zaprzeczy, że jest zaręczona z Brenderbym, co Philip o niej pomyśli? Co będzie zmuszony pomyśleć? Widział ją przecież w objęciach sir Deryka. Jedynym tego usprawiedliwieniem mogły być zaręczyny. I pomyśleć, że to ona oskarżyła Philipa, iż zbyt swobodnie się prowadzi. Dlatego teraz musi zrobić wszystko, by nie uznał jej za kobietę lekkich obyczajów. Ale czy będzie w stanie powiedzieć mu, że jest zaręczona z innym, skoro tak na-

* Po stokroć przepraszam, panienko!

prawdę marzy tylko o jednym, by to on otoczył ją opieką? W tej sytuacji wybrała kompromis.

- Ja... och, słabo mi, zaraz zemdleję - oświadczyła.

Sir Deryk ujął ją pod rękę.

- Nie, nie, moja kochana. Powiedz tym dżentelmenom, że to prawda.

Popatrzyła na Philipa. Czy to możliwe, że krzywi się z pogardą? Tego przecież by nie zniosła.

- Tak - przyznała. - To prawda.

Philip się zachnął, a potem znów się skłonił.

- Zechciej, wobec tego, przyjąć życzenia szczęścia - oznajmił, ale jego głos nie brzmiał zbyt pewnie.

James podbiegł do nich, kipiąc z wściekłości.

- Za przeproszeniem, sir! Pozwolę sobie zaprzeczyć!

Wszyscy spojrzeli na niego z najwyższym zdumieniem. Philip zlustrował go przez lornion.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - wycodził Brenderby.

- To ja jestem z nią zaręczony! - wykrzyknął James.

Cleone ukryła twarz w dłoniach.

- Och - jęknęła. - Och, zaraz zemdleję.

- Wytrzymaj jeszcze chwilkę, kochanie - rzucił Brenderby z błyskiem rozbawienia w oku. - Oczywiście wiem, że nie ma żdźbła prawdy w tym, co mówi pan Winton.

- Kiedy to prawda! - James aż dygotał z furii. - Panna Cleone przed chwilą obiecała, że za mnie wyjdzie. Nie możesz zaprzeczyć, Cleone. Dałaś mi słowo.

- Nie dałam.

- Dałaś! Powiedziałaś „tak"! Dobrze wiesz, że tak było.

Cleone musiała się oprzeć. Traf chciał, że najbliżej stał sir Deryk, ale ona nawet tego nie zauważyła.

- James, niczego takiego nie miałam na myśli.

Philipowi nagle zaczęły drgać usta. Brenderby wręcz dusił się ze źle ukrywanego rozbawienia.

- Moja droga, to poważna sprawa. Czy rzeczywiście przyjęła pani oświadczyzny pana Wintona?

- Tak, ale on wie, że to nie było na serio. Ja...

- Cleone, mam rozumieć, że przyjęłaś jego oświadczyzny i...

- Tak, przyjęła je! Jesteśmy po słowie!

Cleone poczuła, że kolana się pod nią uginają.

- James, nie mogę za ciebie wyjść. Nie wyjdę za ciebie.

- Przrzekłaś mi! - powtórzył James, bliski szału.

- Mnie też. - Sir Deryk opasał ją ramieniem w talii. - Panna Cleone dała mi słowo i musi dotrzymać obietnicy.

- Podejrzewam, że dama ta chętnie usiadzie - wtrącił się Philip. - James, Brenderby, posadźcie waszą przyszłą żonę.

Sir Derykowi ramiona zatrzęśły się z tłumionego śmiechu. Podprowadził Cleone do sofy, na którą osunęła się, kryjąc twarz w dłoniach.

Philip odsunął kotarę.

- Za pozwoleniem, ale się oddalę. Zdecydowanie jestem tu zbyt czyny. *Mademoiselle, messieurs!* - Wyszedł, a kotara opadła na swoje miejsce.

- Och, och, och - jęczała Cleone.

James nachylił się nad nią.

- Chodź, Clo, odprowadzę cię do twojej ciotki.

Brenderby stanął u jej drugiego boku.

- Cleone nie potrzebuje innej eskorty, jak tylko swojego przysłego męża.

- Ja nim jestem!

- Wprost przeciwnie, ja! Panno Cleone, chodź, moja słodka.

Cleone poderwała się na nogi.

- Żaden z was nie jest moim przyszłym mężem. Nie ważcie się mnie dotykać. Boże, co za upokorzenie. Nie wyjdę za ciebie, James. Wiesz przecież, że nawet nie słu-chałam tego, co do mnie mówiłeś.

James zacisnął zęby.

- Nie zwolnię cię z danego mi słowa - powiedział z uporem.

- Ja też nie. - Sir Deryk świetnie się bawił.

- Musisz mnie zwolnić, James! - zawołała Cleone. - Ja... ja zamierzam poślubić... sir Deryka. - Zalała się łzami. - Och, co mam robić? Co robić? Jakie to straszne. Wypuście mnie. Nienawidzę was obu! - Wybiegła z saloniku i zanim którykolwiek zdążył pójść w jej ślady, dopadła ciotki.

- Jezus Maria, dziecino, co się dzieje?! - wykrzyknęła lady Malmerstoke. - Jesteś biała jak moja peruka.

- Zabierz mnie do domu - błagała Cleone. - Jestem zaręczona z sir Derykiem i Jamesem. Och, na miłość boską, ciociu, zabierz mnie do domu.



Rozdział siedemnasty

W którym panna Cleone jest u kresu wytrzymałości

Następnego ranka sir Maurice i jego brat siedzieli właśnie przy śniadaniu, gdy nagle do pokoju wtargnął Philip. Tom podskoczył i zaklął.

- Niech cię, Philipie. O tej godzinie.

Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, Philip chwycił ojca za ramię.

- Ojcze, musisz natychmiast pojechać do lady Malmerstoke.

- Siadaj, mój synu, i uspokój się - powiedział sir Maurice z ustami pełnymi wołowiny. - Co mam zrobić?

- Bóg jeden wie!! - wykrzyknął Philip. Opadł na krzesło, ale odrzucił propozycję wuja, by zjeść z nimi śniadanie. - Śniadanie? Jak mogę myśleć o jedzeniu, kiedy tracę zmysły?!

- Rzeczywiście, lepiej się napić - zgodził się Tom i podsunął bratankowi kufel piwa. - Co cię gnębi, chłopcze?

- Cleone zaręczyła się z Brenderbym - odparł Philip ze zboląłą miną.

- No nie! - Tom osłupiał.

- A także z Wintonem. - Philip spróbował utopić w kuflu swoje troski.

- Co?! - Sir Maurice upuścił nóż. - Zaręczyła się z Brenderbym i Wintonem? Bredzisz, chłopcze.

- Dobrze by było, gdybym bredził. - Philip oderwał się od kufla i wytarł usta w serwetkę ojca. - Wczorajszego wieczoru na balu poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła. Odmówiła - nie będę wam powtarzał jej słów. Pół godziny później przyłapałem ją całującą się z tym draniem Brenderbym w ustronnym kąciuku. - Zaśmiał się jak szalony.

- Chcesz chyba powiedzieć, że to Brenderby ją całował? - zasugerował Tom.

- Nie, bynajmniej. Myślisz, że byłby jeszcze żywy, gdyby ośmielił się obejmować Cleone wbrew jej woli? Ona mu uległa; nawet sobie tego życzyła.

- Nigdy w to nie uwierzę! - wykrzyknął sir Maurice.

- Musisz w to wierzyć! Jest z nim po słowie. Sama to powiedziała. Był ze mną James, który zaraz zaprotestował, twierdząc, że jemu przyrzekła swą rękę wcześniej.

Tom zachichotał.

- Jak mi Bóg miły, ta dziewczyna jest bogata w... - Urwał, widząc wzrok Philipa. - I co dalej?

- Nie wiem co dalej. Uznałem, że pora się wycofać.

- Należało zrobić co innego - stwierdził z powagą Tom. - Powinieneś być przybrać stanowczą pozę i oznajmić: „Nic podobnego! Ta dziewczyna jest moja!”.

- Nie miałem prawa. Nie znalazłem się wśród jej faworytów.

- Po co ten sarkazm, Philipie - wtrącił się sir Maurice.
- Coś musi się za tym kryć.

Philip odwrócił się do ojca.

- Na to liczę. Musisz natychmiast pojechać do lady Mahnerstoke. - Ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się nerwowym śmiechem, po czym powtórzył: - Żaden z nich nie chciał ustąpić. Obaj domagali się od Clo spełnienia obietnicy.

- Mówisz o tym z przerażającą niefrasobliwością - odezwał się jego wuj.

Philip poderwał się.

- Bo przez moment... przez jeden krótki moment, wydawało mi się, że błaga mnie wzrokiem o pomoc.

- A ty odmówiłeś jej tej pomocy? - rzucił sucho sir Maurice.

- *Mon cher pere**, muszę rozegrać własną partię. A teraz jedź do lady Mahnerstoke, błagam.

Sir Maurice wstał.

- Już jadę. Co za diabeł opętał tę Cleone?

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. - Philip zaczął go niemal wypychać z pokoju. - Szybko, ojcze.

Mały czarnoskóry paż otworzył drzwi do buduaru lady Malmerstoke.

- Sir Maurice Jettan - zaanonsował.

* Mój drogi ojciec

- Człowiek, którego akurat życzę sobie widzieć! - wykrzyknęła lady Malmerstoke. - Maurry, nigdy nie zjawiłeś się bardziej na czasie.

Sir Maurice ceremonialnie ucałował jej dłoń, a potem uśmiechnął się do Cleone, która stała przy stole, mizerna i blada.

- Mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu?

- Tak, bardzo dobrym, dziękuję, sir - odparła głucho Cleone.

Lady Malmerstoke usiadła.

- Clo narobiła mi wstydu - oświadczyła z uśmiechem.

- Czy to nie ekscytujące?

Cleone odwróciła głowę. Sir Maurice zobaczył, że usta jej drżą.

- Proszę, ciociu. Proszę, nie... ja muszę... ja wyjdę... za sir Deryka.

- A co będzie z tym drugim? Nie możesz poślubić obu, moje dziecko. A poza wszystkim nie jestem pewna, czy powinnam wyrazić zgodę na twój ślub z którymkolwiek z nich.

- Ale sir Deryk... Dałam mu słowo.

- Tak samo jak Jamesowi.

- O co tu chodzi? - Sir Maurice z powodzeniem odegrał głębokie zdumienie. - Cleone, chyba się nie zaręczyłaś?

- I to z dwoma. - Ciotka pokiwała głową. - W życiu tak się nie ubawiłam. Zawsze uważałam się za istotę niestałą, ale, jak mi Bóg miły, nigdy nie byłam zaręczona z dwoma mężczyznami naraz.

Cleone usiadła i wbiła wzrok w okno, przygryzając wargi.

- Co?! - wykrzyknął z udawanym przerażeniem sir Maurice. - Jesteś zaręczona z dwoma panami?!

Złota główka opadła. Ciałem Cleone wstrząsnął szloch.

- Ależ, na miłość boską, dziecko, to potworne! Jak mogło dojść do tego?

- Oczywiście, że to potworne - powiedziała lady Malmerstoke. - Strach pomyśleć, jaki będzie skandal, kiedy to się wyda. A wyda się już niedługo. Brenderby nie zechce zachować tak pikantnej nowiny tylko dla siebie.

- Mówiąc to, mrugnęła znacząco do sir Maurice'a, który uśmiechnął się ukradkiem.

- Zapominasz, ciociu, że zamierzam poślubić sir Deryka. - Cleone wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

- Nic już z tego nie rozumiem - orzekł sir Maurice.
- Opowiedz mi, jak do tego doszło.

- Tak, opowiedz mu. Może będzie mógł ci pomóc.

- Nikt nie może mi pomóc - stwierdziła z rozpaczą Cleone. - Sama muszę ponieść konsekwencje mojej głupoty. Ja... och, ja byłam taka niedobra.

- Cleone, co ty mówisz? Dlaczego? Co się stało?

- W gruncie rzeczy, mogę wam powiedzieć. I tak do wieczoru całe miasto się dowie, że jestem flirciarą i trzpiotką. Ja...

- Będziesz miała doszczętnie zszarganą reputację - dorzuciła złośliwie lady Malmerstoke.

Cleone przeraziła się.

- Reputację... Och, a ja powiedziałam...

- Co takiego powiedziałaś, kochanie?

- Nic. Ja... ja... Och, jestem taka nieszczęśliwa! - Cleone zalała się łzami.

Sir Maurice poklepał ją po drżącym ramieniu.

- Dobrze już, dobrze. Opowiedz mi, jak to się stało.

- T-to b-było wczorajszej n-nocy, na b-baluu. Ja., ja... nie, najpierw James mi się oświadczył, a ja powiedziałam „tak”, ale nie miałam tego na myśli.

- Powiedziałaś „tak”, ale nie miałaś tego na myśli?

- Nie usłyszałam, co powiedział, ale odparłam „tak”, bo tak usilnie nalegał. A on... a on wiedział, że nie mówiłam poważnie, bo odszedł obrażony. A potem... potem poszłam z sir Derykiem do tego saloniku...

- Cleone!

- Och, wiem, wiem. To było okropne z mojej strony, ale byłam taka przygnębiona, że było mi wszystko jedno.

- Ale dlaczego byłaś przygnębiona? Bo James ci się oświadczył?

- Nie... ja... ja... to coś innego... Nie mogę powiedzieć. Tak czy inaczej, sir Deryk zaprowadził mnie do tego pokoju i nauczył mnie grać w kości. Tak, wiem że to nieprzyzwoite. I... i ja przegrałam moją różę, a kiedy on ją brał, zerwał wstążkę z wisiorkiem i nie chciał mi go oddać, tylko powiedział, że musi najpierw zobaczyć, co jest w środku, a ja nie mogłam mu na to pozwolić. Naprawdę nie mogłam.

- A co było w środku? - zapytał sir Maurice.

- Na miłość boską, nie pytaj jej o to - poprosiła lady Malmerstoke - bo znów uruchomisz potoki łez.

- Ciociu, proszę. Zagrałam z nim o ten wisiołek, ale przegrałam i... musiałam sir Deryka pocałować. Nie patrz tak na mnie, ciociu. A wtedy... wtedy wszedł on... z Jamesem... i nas zobaczył. Co on musiał sobie o mnie pomyśleć. A ja powiedziałam, że on... och, że on musi...

- Co za „on” ? - zapytał sir Maurice i ujrzał, jak wymowny rumieniec wykwita na policzkach Cleone.

- Pan... pan Jettan. Ja... on... zobaczył mnie, jak... całuję się z... sir Derykiem. Potem sir Deryk oświadczył, że jestem jego narzeczoną. Pewnie zrobił tak, by ocalić mój honor. Nie mogłam więc zaprzeczyć, że nią nie jestem, prawda? To było takie okropne. A Phil... pan Jettan nam pogratulował. Wtedy James oznajmił nagle, że to on mnie poślubi, bo powiedziałam mu „tak”. Oczywiście oznajmiłam, że za niego nie wyjdę, ale on nie chciał zwrócić mi danego słowa. Tak samo jak sir Deryk. A wtedy... wtedy on... Phi... to znaczy pan Jettan... uklonił się i odszedł, ale widać było, co sobie o mnie pomyślał. Co mam robić? Żaden z nich nie chce zwrócić mi słowa. Jestem zaręczona z dwoma dżentelmenami.

Sir Maurice pociągnął niucha z tabakierki. Uśmiech błąkał się na jego ustach. Potem głośno zatrzasnęła tabakierę.

- Wydaje mi się, moja droga, że sytuacja wymaga interwencji trzeciego dżentelmena - rzekł, po czym sięgnął po kapelusz.

Cleone zerwała się na równe nogi.

- Och, co pan chce uczynić?! - wykrzyknęła.

Sir Maurice podszedł do drzwi.

- Potrzeba umiejętnej ręki, żeby wyplatać cię z tej delikatnej sytuacji - odparł. - Właśnie udaję się na jej poszukiwanie.

Cleone podbiegła do niego i chwyciła go za rękaw.

- Nie, nie, nie! Na miłość boską, niech pan się zatrzyma!

Sir Maurice nakrył dłonią jej palce, które wczepiła w jego ramię.

- Chcesz skandalu, moja droga?

- Nie, nie! Muszę wyperswadować to Jamesowi.

-I chcesz wyjść za tego Brenderbyego?

- Ja... ja wyjdę za niego.

- Odpowiedz mi, Cleone. Naprawdę chcesz za niego wyjść?

- Ja nie chcę za nikogo wychodzić. Chcę umrzeć.

- Ale jeszcze nie umarłaś, moje dziecko. Nie zamierzam stać z boku i przyglądać się, jak wpadasz w szpony Brenderbyego. Nie mam też ochoty dopuścić do skandalu, jaki z pewnością wybuchnie, jeśli dasz mu kosza. Ja jestem już za stary, by ci służyć, ale znam kogoś, kto nie jest za stary.

- Sir Maurice, błagam pana, niech pan z nim nie rozmawia. Pan... och, niech pan się zatrzyma.

Sir Maurice oswobodził jednak rękę i otworzył drzwi.

- Nie musisz się obawiać, że ten trzeci dżentelmen narobi ci kłopotów. Ręczę za jego dyskrecję.

- Sir Maurice, nic pan nie rozumie. Niech pan nie prosi Phi... pańskiego syna... żeby mi... pomógł. Ja... ja nie wiedziałam panu wszystkiego! Ja... och, proszę wrócić.

Drzwi zamknęły się za sir Maurice'em.

- To człowiek bardzo mądry i stanowczy - zauważyła lady Malmerstoke. - Nie dojdzie do skandalu. Hurra!

- Nie mogę mu spojrzeć w oczy. - Cleone nerwowo krążyła po pokoju. - Nie mogę. Nie mogę. Co on sobie o mnie pomyślał? Ciociu, ty jeszcze wszystkiego nie wiesz.

- Ależ wiem - odparła lady Malmerstoke.

- Nie, nie wiesz. Philip poprosił mnie o rękę... a ja... odmówiłam. Oznajmiłam, że nie wyjdę za człowieka o zszarganej reputacji. I nie tylko to, ale jeszcze gorsze rzeczy. Oskarżyłam go o to, że zbyt swobodnie się prowadzi i... o Boże, jakie to straszne! Że też on musiał to zobaczyć. Jak on musi teraz mną gardzić. Och, ciociu, powiedz coś.

- Powiem jedno: będziesz musiała pokornie przeprosić pana Philipa. On przynajmniej nigdy nie zaręczył się dwukrotnie w ciągu jednej nocy.

Cleone osunęła się na kanapę.

- Nie zobaczę się z nim. Ja... ja muszę natychmiast wracać na wieś. To wszystko moja wina. Źle zrobiłam, każąc mu wyjechać. A teraz on... on mną gardzi.

- Kto tak mówi?

- Ja. Czy może być inaczej? Nie widzisz, jaka byłam okropna? Trzeba było widzieć jego twarz, kiedy wszystko usłyszał. Nigdy w życiu nie uwierzy w to, jaka jest prawda.

- Jakie to ma znaczenie? - powiedziała obojętnie ciotka. - Przecież go nie kochasz...

- Właśnie, że kocham - oznajmiła Cleone i nagle rozpaczliwie się rozpłakała.

Okragła, zatroskana twarz Francois rozjaśniła się nieco na widok sir Maurice'a.

- Ach, *monsieur*, *enter donc!** *Monsieur* Philippe zachowuje się jak szaleniec. Wścieka się i miota po pokoju jak bestia w klatce. To kobieta. Nie wątpię, że chodzi o kobietę. Wiedziałem o tym od dawna. Stało się coś strasznego. *Monsieur* nie jest już sobą.

Sir Maurice roześmiał się.

- Mój biedny Francois! Pojdę pocieszyć *monsieur*.

- Och, gdyby *monsieur* to potrafił.

- Potrafię, i to bardzo skutecznie. Gdzie on jest?

Francois wskazał drzwi do biblioteki.

Philip dosłownie rzucił się na ojca.

.-I co? Widziałeś ją? Kocha się w Brenderbym? Chce go poślubić? Co ci powiedziała?

Sir Maurice odsunął go.

- Jesteś drugą oszalałą z miłości osobą, która dziś się mnie uczepiła. Uspokój się.

- Mów, ojcze, mów! - Philip podrygiwał niecierpliwie.
-Mów!

Sir Maurice rozsiadł się w fotelu i założył nogę na nogę.

- Cleone jest istotnie w tym momencie zaręczona. Nawet bardzo - dodał, śmiejąc się półgłosem. - Zamierzam przekazać tę sprawę w twoje ręce.

- W moje ręce? Czy ona chce mojej pomocy?

- Bynajmniej. Co więcej, nalegała, bym się do ciebie

* Proszę wejść

z tym nie zwracał. Prawdę mówiąc, na samą sugestię wpadła w szal.

- Więc ona nie chce wyjść za Brenderby'ego?

- Z całą pewnością nie. Zrobi to jednak, jeśli nie będziesz interweniował.

Philip załamał ręce.

- Ojczy, opowiedz mi, co zaszło minionej nocy?

- Usiądź i uspokój się - polecił sir Maurice. - Miałem właśnie zamiar ci powiedzieć.

Philip potulnie usłuchał.

-I nie przerywaj mi - dodał sir Maurice, po czym zrelacjonował synowi wszystko, co usłyszał od Cleone. - A ona była taka przygnębiona, że poszła z Brenderbym, nie myśląc o tym, co robi. Oto i cała historia - zakończył.

- Przygnębiona? Czy dlatego, że odrzuciła moje oświadczenia?

- Prawdopodobnie. A teraz czuje się tak skompromitowana, że nie śmie spojrzeć ci w oczy.

Philip ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się śmiechem.

Rzeczywiście, role się odwróciły. Och, Clo, ty przewrotna psotnico. A co było w tym wisiorku?

-O to będziesz musiał ją sam zapytać - odparł sir Maurice.

Philip poderwał się.

-I zapytam. Nie śmiałem nawet marzyć o takim rozwiązaniu moich kłopotów.

- Może cię nadal nie zechce poślubić, Philipie - ostrzegł sir Maurice.

- Niech mnie diabli, poślubi mnie teraz, nawet gdy-

bym ją musiał siłą zawlec do ołtarza. Dzięki tobie spadł mi kamień z serca, drogi ojcze. Myślałem, że Clo kocha się w Brenderbym. Tak wymownie się do niego uśmiechała. A co do *ce cher** Brenderby, zamierzam się nieźle zabawić.

- Tylko pamiętaj, Philipie, żadnych skandali.

- Masz mnie za ofermę? Ani mru-mru. Francois! Kapelusz, peleryna, buty i szpada!

* Tego drogiego Brenderby'ego



Rozdział osiemnasty

W którym Philip staje się panem sytuacji

Lokaj sir Deryka podszedł, ukłonił się i oznajmił:

- Na dole czeka pewien dżentelmen, który chce zamienić z panem słówko, sir.

- Ach tak? A któż to?

- Pan Philip Jettan.

- Jettan? - Sir Deryk uniósł brwi. - Czego on może ode mnie chcieć? No dobrze, już idę. - Wstał i zszedł niespiesznie po schodach. - Co za nietypowa pora, Jettan. Niech pan wejdzie. - Wprowadził Philipa do salonu.

- Czy to zwykła przyjacielska wizyta?

- Wszystko, tylko nie to - odparł Philip. - Przyszedłem, żeby panu zakomunikować, że nie będzie pan mógł poślubić panny Cleone Charteris.

- Ach tak? A to dlaczego?

- Ponieważ - Philip uśmiechnął się - zamierzam ją poślubić.

- Pan? To już jest pan trzeci z kolei.

- Nieparzyste liczby są szczęśliwe, jak wiadomo. Żąda pan satysfakcji?

- Satysfakcji? Nie, na Boga. Dziewczyna jest prześlizczona. Zresztą, to już postanowione.

- Nawet jeżeli powiem, że ona chce, by zwrócił jej pan słowo?

- Nawet gdyby sama to zrobiła.

- Ufam, że zgodzi się pan, bym to panu wyperswadował? - Philip poklepał czule ręką jego szpady.

Brenderbyemu oczy się zaświeciły.

- Chce pan walki? Bóg mi świadkiem, że nie trzeba mnie dwa razy prosić. Tutaj? Teraz? Niech pan pomoże mi odsunąć stół.

- Chwileczkę. Kocha pan hazard, prawda? Będziemy bić się o prawo poślubienia panny Cleone. Jeżeli wygram, zrzeknie się pan wszelkich pretensji wobec niej i przysięgnie, że nie piśnie słówka o tym, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru. A jeżeli pan wygra... jeżeli pan wygra, zrobi pan, jak będzie uważał.

- To samo dotyczy pana. Powiem panu, że od wielu dni rwałem się do bitki. Potrzeba mi tylko było kogoś takiego jak pan. Niech pan poczeka, przyniosę szpadę.

- Sir Deryk wyszedł pospiesznie z pokoju, by wkrótce wrócić. - Powiedziałem mojemu służącemu, że przyszedł pan tu, żeby się ze mną bić. Na wszelki wypadek zamknijemy jednak drzwi na klucz. Czy moja szpada pasuje miarą do pańskiej?

Philip porównał ich długość.

- Bardzo dobrze pasuje. - Nagle oczy mu się

zaświeciły. - *Dieu!** Nigdy bym nie przypuszczał, że przyjdzie mi brać udział w tak dziwnym pojedynku. - Zdjął wysokie buty. - Będziemy walczyć w perukach, dobrze? Głowy pozbawione włosów to bardzo przykry widok.

- Dobrze, jeśli pan tak sobie życzy. - Brenderby ściągnął frak i kamizelkę. - Jest pan niższy ode mnie. Nie jesteśmy zbyt dopasowani.

Philip podwinął ze śmiechem koronkowe mankiety.

- Nie szkodzi. Ja muszę wygrać.

- Dlaczego? - Brenderby wykonał w powietrzu wymaginowany sztych.

- Za wiele od tego zależy - wyjaśnił Philip. - Czy światło jest jednakowo korzystne dla nas obu?

- Owszem - odparł Brenderby.

- Jest pan gotowy?

Dwa nagie ostrza spotkały się z sykiem.

Początkowo Brenderby wydawał się lepszy z tej dwójki. Philip trzymał się w defensywie, parując zręcznie ciosy i pozwalając, by przeciwnik tracił energię. W pewnym momencie ostrze Brenderby'ego błysnęło i omal nie przebiło Philipa, ten jednak zdołał się w porę zasłonić. Oczy miał teraz szeroko otwarte i bardziej uważał. Nagle dostrzegł lukę i zrobił wypad w przód. Po chwilowej wymianie pchnięć Brenderby opuścił na moment ostrze. Wtedy Philip przyspieszył, a widząc, że Brenderby zaczyna ciężko dyszeć, zmienił taktykę i zaczął odpo-

*Boże!

wiadać pchnięciem na każde pchnięcie. Jego nadgarstek był jak giętka stal, praca stóp doskonała, a styl walki zupełnie inny od tego, jaki reprezentował rywal.

Nagle Brenderby spostrzegł odsłonięte miejsce. Rzucił się do przodu, stal zgrzytnęła o stal i wtedy koniec szpady Philipa zadrasnął go w ramię, tuż nad łokciem.

Brenderby zatoczył się do tyłu, chwycił się za rękę i spróbował znów unieść szpadę, ale Philip już podbiegł, by go podtrzymać.

- To tylko powierzchowna rana... teraz boli... *bien sur**

- wydyszał. - Ale się szybko... zagoi. Wiem, co mówię.

- Niech to... Nie jesteśmy jeszcze kwita - wysapał Brenderby.

- Ależ tak. Nie zamierzam bić się dłużej. Nie jest pan w stanie utrzymać broni. Niech pan siada. - Pomógł Brenderby'emu zająć, miejsce w fotelu, wyjął chusteczkę, przewiązał mu ranę, a potem ze stojącej na bufecie kafełki nalał mu kieliszek wina.

- Dzięki. - Sir Deryk wypił je jednym haustem. - Gdzie się podziały moje dobre maniery? Niech pan sobie też naleje, Jettan. Jezu, ale sprytnie pan mnie przygwoździł. Wymiana pchnięć jak się patrzy. Jednak pan fechtował się na modłę francuską.

Philip upił łyk wina.

- Tak. Nauczyłem się tego w Paryżu. U Guillaume'a Corvoisiera.

* Oczywiście

- Nie! - Brenderby aż się poderwał. - U Corvoisiera! Nic dziwnego, że jest pan taki szybki.

Philip skłonił się z uśmiechem.

- Pan napędził mi stracha więcej niż raz, sir.

- Przyznam, że nie było tego widać po panu. Tak bardzo chciał pan wygrać?

- Owszem, bo tak wiele od tego zależy - odparł z prostotą Philip. - Szczęście całego mojego życia.

- Co takiego? Naprawdę zamierza pan poślubić Cleone?

Philip znowu się skłonił.

- Zawsze było to moim celem.

- Naprawdę? - Brenderby wytrzeszczył oczy. - Nie wiedziałem. A ten gołowąs Winton?

- Och, myślę że zdołam mu to wyperswadować.

- W ten sam sposób? - Brenderby spojrzał na swoje ramię.

- Nie, nie w ten sposób. Niech mi pan powie, sir, czy rzeczywiście zamierzał pan poślubić *mademoiselle*?

- Broń Boże. Nie planuję wiązać się jeszcze przez pewien czas. To pańskie wczorajsze wkroczenie zmusiło mnie do ogłoszenia zaręczyn, by oszczędzić panie rumieńców. Nie zamierzałem ciągnąć tej komedii, póki młody Winton nie wystąpił ze swoimi wcześniejszymi roszczeniami. Ale była zabawa! Nie uważa pan?

- Ja? Nie, lecz jestem osobiście zaangażowany w tę sprawę. Mogę wierzyć, że nikomu nie piśnie pan słowa o tym, co wczoraj się zdarzyło?

- Oczywiście, że tak. To był przedni żart, nie posunąłbym się jednak tak daleko, by zniszczyć reputację młodej damy. Może pan też powtórzyć panie Cleone, że przepraszam za to, co zaszło wcześniej. Ona jest po prostu diablo piękna.

- „Diablo” to nie jest słowo, którego bym użył - rzekł Philip, wbijając się we frak - *Ale, n'importe** - Usiadł i zaczął naciągać buty. - Tak jak myślałem, dobrze się ubawiłem.

- Niech mnie kule, ja też. Minęły całe wieki, odkąd miałem szpadę w ręku. Jestem pańskim dłużnikiem, sir.

- Tak, wyszedł pan nieco z wprawy. Los okazał się ła-skawy dla mnie.

- Powalczyłbym z panem dłużej, gdybym wiedział, ja-ki jest prawdziwy powód. Musi pan już iść?

Philip sięgnął po kapelusz.

- Muszę. Powinienem też podziękować za...

- Och, głupstwo. Nie miałem najmniejszego zamiaru trzymać Cleone za słowo, ale nie byłem też w stanie oprzeć się propozycji pojedynku. Chciałbym jednak, żeby pan zrozumiał, jakie to było monstrualnie śmieszne.

Philip roześmiał się.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, a nie Cleone, byłbym w stanie docenić komizm tej sytuacji. Mam nadzieję, że rana szybko się zagoi.

- Och, to drobnostka. Zwyczajne ukłucie. Do widzenia, Jettan. Moje najszczerze gratulacje. Pan gratulował mi wczorajszej nocy, prawda?

* Nieważne

- Z sercem pełnym morderczych zamiarów - przytaknął Philip.

- Oto moja ręka; lewa, niestety.

Philip uściśnął mu dłoń. Brenderby odprowadził go do drzwi frontowych i pomachał mu na pożegnanie.

- *Bonne chance*, * jak by pan powiedział. *Au revoir*. **

Philip zbiegł po schodach, też mu pomachał, po czym odwrócił się, by zatrzymać lektykę i kazał tragarzom się zanieść na Jermyn Street.

Szczęście istotnie zdawało mu się sprzyjać, bo przybył tam w momencie, gdy James wychodził z domu. Philip wyskoczył więc z lektyki, zapłacił, po czym ujął Wintonna pod ramię.

- Przyjacielu, muszę zamienić z tobą słowo.

- Tak? Wydajesz się podekscytowany.

- Bo jestem. Przyszedłem, by pomówić z tobą o Cleone. James zachnął się.

- Nie oddam jej temu typowi Brenderby'emu - powiedział z pasją. - To byłoby nie do zniesienia.

- Absolutnie tak. A czy oddałbyś ją mnie?

James wytrzeszczył oczy.

- Tobie? Przecież ona ma poślubić Brenderby'ego.

- To już nieaktualne. Brenderby zwrócił jej słowo. On nie jest takim złym człowiekiem, jak ci się wydaje. *En effet****, lubię go.

* Powodzenia

** Do widzenia

*** Właściwie

- Brzydzi mnie sam jego widok, tego cedzącego słówka fircyka.

- Dzisiaj zobaczyłem go w innym świetle. Ale nie to mam ci do powiedzenia. Cleone nie chce wyjść za ciebie i byłoby grubiaństwem nalegać.

- Wiedziałem, że nigdy za mnie nie wyjdzie - odparł ponuro James. - Dotrzymania słowa żądałem tylko dlatego, by nie poszła za Brenderby'ego.

- Rozumiem. Zwolnisz ją z obietnicy dla mnie?

- Chyba tak. Dlaczego wczoraj nic nie mówiłeś?

- Miałem swoje powody. Jamie, nie rób takiej ponurej miny. Jesteś jeszcze młody.

- Łatwo ci mówić. Och, zawsze wiedziałem, że nie mam u niej szans. Moje gratulacje.

Philip uścisnął jego rękę.

- Moje podziękowania. Jesteś bardzo wielkoduszny. A teraz muszę już pędzić.

- Dokąd? Mogę ci towarzyszyć?

- Znów piękne dzięki, ale nie. Mam ważne spotkanie.

*Au revoir, mon cher.**

* Do widzenia, mój drogi



Rozdział dziewiętnasty

W którym podbródek Philipa okazuje się usprawiedliwiony

Paź lady Malmerstoke po raz kolejny poszedł na górę, do buduaru.

- Pan Philip Jettan czeka na dole, milady - oznajmił.
Cleone zerwała się na równe nogi.

- Nie chcę się z nim widzieć. Ciociu Sally, błagam, niech ciocia do niego zejdzie! Proszę oszczędzić mi tego... upokorzenia.

Lady Malmerstoke machnęła ręką.

- Wprowadź go, Sambo. Tak, tutaj. Cleone, opanuj się.

- Nie mogę się z nim zobaczyć. Nie odważę się stanąć z nim oko w oko.

- To stań do niego tyłem - poradziła bezlitosna ciotka.

- Ciekawe, czego dokonał.

- Myśli ciocia, że udało mu się wszystko załatwić? - zapytała Cleone.

- Na tyle, na ile go znam, sędzę, że tak. To uparty mło-

dy człowiek, moja droga. Skąd by inaczej tak zdecydowanie zarysowany podbródek?

Podeszła do drzwi. Philip wkroczył do buduaru, nieskazitelny jak zawsze.

Spojrzał ponad jej ramieniem. Cleone uciekła pod okno. Nachylił się i ucałował dłoń lady Malmerstoke.

- *Bonjour, madame!** - Przytrzymał drzwi i ukłonił się.

Lady Malmerstoke wybuchnęła śmiechem.

- Co? Wypraszasz mnie z mojego buduaru?

- Jeśli łaska, *madame*.

- Ciociu Sally! - rozległ się szept od okna.

Philip uśmiechnął się blado.

- - *Madame...*

- Och, ten podbródek. - Lady Malmerstoke westchnęła i pogłaskała Philipa po brodzie.

Po jej wyjściu Philip zamknął drzwi buduaru.

Cleone splotła kurczowo dłonie. Serce podskoczyło jej do gardła tak, że omal się nie udławiła. Słyszała szelest fraka Philipa, nie śmiała jednak na niego spojrzeć. Nigdy w życiu nie było jej tak wstyd; nigdy też nie była taka przerażona.

- Sługa uniżony, *mademoiselle*.

Nie była w stanie wyrzucić słowa, drżała jak osika.

- Mam zaszczyt poinformować panią, *mademoiselle*, że w obu przypadkach jest pani zwolniona z danego słowa.

Czy to możliwe, że w jego surowym głosie zabrzmiała wesoła nutka?

* Dzięki dobrej pani

- Ja... dziękuję panu... - wyszeptała Cleone.

Usiłowała powstrzymać strumień łez, które już ją oślepiały. Piers falowała jej ze wzburzenia.

Nastąpiła krótka przerwa. Czemu on jeszcze sobie nie idzie? Jak długo zamierza napawać się jej poniżeniem?

- Pragnę także, w imieniu sir Deryka, przekazać *mademoiselle* przeprosiny za wydarzenia minionej nocy.

- Dzi...dziękuję, sir.

Znów to szarpiące nerwy milczenie. Niechby już sobie poszedł, zanim ona całkiem się załamie.

- Cleone... - odezwał się łagodnie Philip.

Łzy już płynęły po policzkach, ale nie odwróciła głowy.

- Proszę... odejdz! - poprosiła szeptem.

On tymczasem już szedł ku niej przez pokój. Splotła mocniej palce.

- Cleone... najdroższa.

Zdradził ją rozpaczliwy szloch.

- Moje kochanie. - Philip wziął ją w ramiona. - Płaczesz? Och nie! Nie musisz już się martwić.

Uścisk jego ramion, ich siła, to była czysta rozkosz i niebiański azyl. Mimo to spróbowała go odepchnąć.

- Co ty m... musisz sob... bie o mnie m... myśleć!
- wyszlochała.

Philip przyciągnął ją jeszcze bliżej, aż jej głowa spoczęła na jego ramieniu.

- Że jesteś kochaną, głupiutką, niegrzeczną Cleone. Nie płacz, *cherie*. To tylko twój Philip, który zawsze cię kochał. Ciebie i tylko ciebie. Spójrz na mnie, moje kochanie, spójrz na mnie.

Cleone poddała się naciskowi jego ramion.

- Och, wybacz mi, Philipie. Chyba straciłam rozum.

Uniosła głowę. Uścisk ramion Philipa stał się jeszcze silniejszy. Nachylił się nad nią i mocno pocałował jej rozchylone wargi.

Gdy później usiedli na kanapie, Philip objął Cleone, a ona oparła głowę na jego ramieniu i zapytała z westchnieniem:

- Dlaczego traktowałeś mnie tak okropnie po powrocie do Anglii?

- Czułem się urażony i chciałem sprawdzić, czy chcesz mnie, czy jakąś malowaną kukłę. A potem nagle zmieniłaś się i sam już nie wiedziałem, co myśleć.

Cleone przysunęła się jeszcze bliżej.

- Sądziłam, że ci na mnie nie zależy. Och, Philipie, byłam taka nieszczęśliwa.

W odpowiedzi Philip natychmiast ją pocałował.

- A wczorajszego wieczoru... nie sądzisz chyba, że ja...

- Najdroższa, nie mógłbym źle o tobie myśleć.

Cleone ukryła twarz w dłoniach.

- Ale ja... ja myślałam źle... o tobie - wyszeptała.

- Chyba teraz już w to nie wierzysz, kochanie?

- Nie, nie! Ale... ale ten pojedynek z panem Bancroftem? Czy chodziło o... o jakąś francuską damę?

Philip milczał przez chwilę.

- Nie, Cleone. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Czy tą damą... byłam ja?

Philip nie odpowiedział.

- Więc to ja. Ależ to cudowne.
- Ty się cieszysz, Cleone? - zdumiał się Philip. - Jesteś zadowolona?
- Oczywiście, że tak. Ja... ojej! Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- To jedna z tych rzeczy, których nie opowiada się swojej ukochanej - odparł poważnie Philip.
- Aha. Jak udało ci się przekonać sir Deryka?
- Szpada. Ale on i tak nie zamierzał trzymać cię za słowo.
- Cleone zachnęła się.
- Och, czyżby?
- Nie miałybyś chyba ochoty spełnić swojej obietnicy, prawda, *cherie*?
- Nie. Ja go nie lubię, Philipie.
- Przyznam, że też go nie lubiłem. Ale teraz chyba już go lubię.
- Naprawdę? A co z Jamesem?
- Och, James. Nic mu nie będzie.
- Zapadło milczenie. Cleone zamyśliła się na chwilę.
- Philipie?
- Tak, Cleone.
- Czy ty... ty chyba nie interesujesz się Jenny?
- Jenny? Cleone, czyś ty oszalała! Tylko dlatego, że byłem dla niej uprzejmy...
- Więcej niż uprzejmy.
- Najdroższa, nikt nie zwracał na nią uwagi i nie był dla niej miły. Co ty byś zrobiła na moim miejscu?
- Więc tylko to? A ja sądziłam...

- Następnym razem oskarżysz mnie o to, że się kochałem w Ann Nutley. - Było to isticie mistrzowskie posunięcie, o czym Philip doskonale wiedział.

- A nie kochałeś się w niej? Ani trochę?

- Ani-ani!

- A w Paryżu... był ktoś?

- Nie, nikogo nie było. Udawałem, ale wszyscy i tak wiedzieli, że nie jestem już panem swego serca.

-Udawałeś...? Och!

- Czasami trzeba, najśłodsza.

-Ale...

Philip przytulił ją mocniej do siebie.

- Ale nigdy, przenigdy, moja najśliczniejsza, nie zaręczyłem się dwa razy w ciągu jednego wieczoru. - Stłumił pocałunkiem okrzyk, jaki wyrwał się z jej drżących ust.

- To nieelegancko i... obrzydliwie.

Philip roześmiał się.

- Ach, Cleone. Powiedz mi, moja najdroższa, co chcesz w swoim wisioru?

- Coś, co chciałam spalić - mruknęła.

- Ale nie spaliłaś?

- Nie. Nie potrafiłam. - Sięgnęła za dekolt i wyjęła wisior. - Sam zobacz, Philipie.

Gdy otworzył medalion, wypadł z niego brązowy lok i strzępek pergaminu. Philip odwrócił go.

- „Twój na wieki Philip” - przeczytał. - Cleone, moja ukochana.

Ukryła twarz na jego ramieniu.

- Twoje włosy... twoje biedne włosy - powiedziała.

- Nie ma ich. Popatrz na mnie, Cleone.
Uniosła głowę. Philip spojrział na nią z zachwytem.
- Chyba napiszę sonet do twoich cudownych oczu -
wyszeptał.